PRZYGODY CHŁOPCA W BRAZYLJI.

ARTUR GRUSZECKI.

PRZYGODY CHŁOPCA W BRAZYLJI

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Z RYSUNKAMI B. WISŁOCKIEGO

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095894353

1912. – DRUKARNIA M. ARCTA –
WARSZAWA – ORDYNACKA 3.

Na kolonji.

Słońce brazylijskie, jak to bywa w krajach podzwrotnikowych, weszło nagle, bez świtania i przedednia i w jednej chwili rozproszyło cienie nocy, rzucając jasne, gorące promienie na bujne, zwarte lasy dziewicze i na domki kolonistów, osiadłych w Lucenie.

Z dziewiczego lasu niezbyt odległego odezwały się krzyki i poświsty papug, a na koloniach odpowiedziały im piania kogutów.

Prawie równocześnie z temi odgłosami zerwała się z pościeli kobieta dobrej tuszy, blondynka z piegowatą, rozlaną twarzą, wdowa po koloniście Łyskowskim, a narzuciwszy na siebie starą, poplamioną spódnicę, wsunęła grube, brudne nogi w przydeptane pantofle i cicho, ażeby nie zbudzić dwojga śpiących dzieci, wysunęła się z sypialni i ostrożnie otworzyła drzwi do sionki.

Stanęła nad nizkim tapczanem, zasłanym siennikiem i poduszką, wypchaną miękkiemi

liśćmi, na których spał młody chłopak. Poruszywszy go zlekka, zawołała przyciszonym głosem:

— Jasiek!... Wstawaj! Już dzień!

Chłopak, pogrążony w głębokim śnie, nawet nie drgnął.

Kobieta, z twarzą nachmurzoną, wyciągnęła tłustą, brudnawą rękę, pochwyciła krótkiemi palcami ramię chłopca i, potrząsnąwszy nim silnie, zawołała gniewnie:

— Wstawaj, leniu! Czas na robotę!

Jasiek otworzył ciemno-błękitne oczy, spojrzał niechętnie na budzącą go niewiastę i odrzekł:

— Ledwiem usnął, już mnie budzicie!

— Dzień już, jak wół, ale ty wylegiwałbyś się do południa, bo robota ci cuchnie. Wstawaj!

Poszła do drzwi sionki, wiodących na ganek, i otworzyła je naoścież. Do sieni wpadły jasne promienie słońca i oświetliły postać chłopaka, wstającego leniwie z niewygodnego posłania.

Jasny blondyn, smukły, z twarzą szczupłą, ładną, ziewając, wdziewał swe znoszone ubranie i spytał:

— Śniadanie gotowe?

— Tobie byle jeść, a nie spytasz nawet, czy mam? Cały dzień pracuję, ażeby cię nakarmić, nienasycony żarłoku.

— Alboż ja nie pracuję? — odmruknął niechętnie.

— Ty!? — zawołała tonem oburzenia — na robotę wypędzić cię nie mogę! Pracujesz, jak za napaść, a żreć chcesz za trzech...

— Nie swarzcie — przerwał Jasiek macosze — dzieci pobudzicie!

Na tę uwagę kobieta obejrzała się na drzwi do pokoju, chwileczkę nasłuchiwała i powiedziała tonem już łagodniejszym:

— Jasiek, dam ci chleba i sera, a ty weź fojsę — wskazała na zakrzywiony tasak na długiem drzewcu — i idź na kapoerę. Na południe przybiegnij do domu, a rąk nie żałuj!

— Pójść, pójdę—uśmiechnął się, a wziąwszy fojsę w rękę, palcem spróbował ostrza i dodał:—Wpierw muszę wyostrzyć, bo nie chwyci, wy zaś dajcie mi gorącej herwy — miał na myśli herbatę brazylijską, używaną i lubianą przez kolonistów.

— Skądże ci wezmę! — obruszyła się — jeszcze ognia nie rozpaliłam.

— Iii, zaraz będzie... sam nastawię kociołek z wodą.

— Skaranie z tobą, ty żarłoku... sama ci ugotuję herwę, a ty wyostrz fojsę.

Chłopak w milczeniu wyszedł przed dom, rozejrzał się po jasnym świecie, odetchnął świeżem, chłodnem powietrzem i skierował się ku szopie, ażeby naostrzyć fojsę.

Wkrótce zafurczało koło kamienne i na cichem obejściu rozległ się zgrzyt stali o twar-

de ostrzydło. Chłopak pracował, pogwizdując wesoło.

Po dobrej chwili wyszła gospodyni z domu i, klapiąc pantoflami, śpieszyła ku szopie.

— Jeszcze nie skończyłeś!?—zawołała gniewnie — herwa gotowa, a ten nicpoń bawi się!... Nie gwiżdż!

Chłopak podniósł na swarzącą swe ładne, niebieskie oczy i odrzekł łagodnie:

— Wy, aby krzyczeć... zaraz skończę— i nogą poruszył ostrzydło tak ostro, że koło zaszumiało, a z fojsy posypały się iskry.

Macocha spojrzała na widniejące zdala domy kolonistów i narzekała:

— Widzisz, u Kaczeńców wozy ładują... u Gąsiorów wychodzą na robotę... a ty sterczysz w domu i objadasz mnie i sieroty biedne.

— Jeśli ja wam tak niedogodny —mruknął nachmurzony, zaprzestając roboty—to wydzielcie mi moją ojcowiznę i nie będę was objadał.

Kobieta aż przybladła z gniewu i wybuchnęła:

— A ty smarkaczu! głupcze!... Widzicie, czego mu się zachciewa!... On mi tu będzie bajał o ojcowiźnie! Zasie ci do niej! Nieboszczyk rozkazał, ażebyśmy w kupie siedzieli, i tak być musi... A to szelma chłopak, patrzcie go, ojcowizny mu się zachciewa!? To tak kochasz ojca?! Tak szanujesz jego świętą wolę!? Gdyby

powstał z martwych, położyłby się znów do grobu, widząc, jaki to drab wyrósł z jego syna.

I zaniosła się płaczem.

Wspomnienie ojca, zmarłego przed rokiem, którego kochał i czcił, rozczuliło Jaśka, pożałował swych słów i współczuł z macochą.

— Nie płaczcie — rzekł bardzo łagodnie — niech mnie Bóg skarze, jeśli myślałem o waszej krzywdzie.

— To powiedz mi — mówiła wśród łez — kto cię podbechtał, ażebyś żądał ojcowizny? Jaki to wróg chce mojej krzywdy i sierot?

— Iii — wzruszył ramionami — ktoby mi mówił? Ot powiedziałem sam z gniewu, nie pomyślawszy należycie.

— I jak możesz się dopuszczać takiego grzechu wobec woli umierającego?

— Ano... swarzycie wy, to i we mnie wezbrał żal i gniew... ale co tam gadać, na robotę czas.

Podniósł fojsę.

— Napij się herwy — mówiła udobruchana — i podjedz sobie.

Szła wraz z Jaśkiem do domu.

Po śniadaniu Jasiek włożył za pas fakę, długi, ostry nóż w pochwie, nieodłączną broń każdego kolonisty, zarzucił na ramię dubeltówkę, przywiezioną przez ojca z Europy, wziął fojsę i miał się ku wyjściu.

— Jasiek, zostaw strzelbę, bo zechce ci się

polowania i zmarnujesz czas roboczy—odezwała się kobieta, przygotowując na kuchni śniadanie dla dzieci.

— Polować nie będę —uśmiechnął się —bo czas nie potemu, ale miłe mi życie. Lada kot, albo Bugr mógłby mnie uśmiercić, a na to mam czas.

— No, idź już! idź!—powiedziała gderliwie.— Przyjdę z południa grabić drzewo, to obaczę twoją robotę.

— Bez mała trzy morgi r o s y gotowej... wy i przez tydzień nie urobilibyście połowy — mówił swobodnie, nasypując proch do rożka.

— A ruszaj raz, leniu! — wpadła w swój dawny ton gniewny. - Trejkoczesz mi nad głową, jak stara baba, idź a nie przychodź na obiad, sama ci przyniosę, bo szkoda czasu.

— Już idę!-- zawołał z progu i wyszedł na obejście.

Skierował się na uprawne pola, za domem leżące, i naśladując ojca, najpierw z powagą gospodarza patrzał na rolę, na wielkie, rozłożyste krzaki batatów, rodzaj słodkawych kartofli, pleniących się tak szybko, że po kilku latach trzebić je trzeba, jak u nas chwasty. Miedzą przechodził obok istotnego lasu kukurydzy, tak wysoko strzelała w górę, pyszniąc się szerokiemi, ciemnozielonemi liśćmi. I chociaż to był dopiero październik, czyli drugi miesiąc wiosny w Brazylji, już żyto się wykło-

siło i przy lekkim podmuchu wiatru wschodniego falowało łagodnie.

Ta rola, po której tak często chadzał z ojcem na robotę, nasunęła mu obraz, bolesny dla niego, gdy umierający wezwał go do siebie i polecił mu opiekę nad przyrodniemi bratem i siostrą. I on, o ile umiał i mógł, opiekował się niemi w swem rozumieniu. Bawił się z dziećmi, strugał zabawki, przynosił ptaszki, oswoił papugę. Wprawdzie matka ich, Elza z Haderwaldów, była gniewliwa i łajała go o byle co, a wymysłów nie szczędziła, ale przy dobrej woli można było z nią wyżyć. Rozmyślał nad dzisiejszym rankiem, czuł do niej żal za ostre słowa, lecz gdy wspomniał jej strach i gniew przy wzmiance o ojcowiznie, uśmiechnął się i mruknął:

— Niby to mądra, a uwierzyła, że chcę rozdziału.

— I coby ona sama zrobiła? — rozmyślał, idąc dalej — jeszczeby tych piętnaście morgów uprawnych obrobiła przy pomocy sąsiadów, ale co poczęłaby z kapoerą?

Na wspomnienie ugoru porośniętego gęsto drzewkami leśnemi, przyśpieszył kroku i wkrótce stanął na kapoerze. Na pewnej przestrzeni tego brazylijskiego ugoru leżały ściągnięte z pola pęki świeżo ściętych, cienkich drzewek, a trochę dalej, za ściętemi stała zielona ściana młodych pędów. W ciągu czterech lat, to jest od

czasu, gdy zmarły ojciec przeznaczył to pole na ugor, czyli kapoerę, las dziewiczy, któremu wydarto ten kawał ziemi pod uprawę, z niesłychaną siłą i rozmachem starał się odzyskać wyrwaną dziedzinę. Na to pole, niegdyś uprawne i trochę wyjałowione posiewami, posypały się świeże nasiona bambusów, trzcin, lian, roślin bez nazw; ruszyły się utajone ziarna pasorzytów i z gwałtownością zajęły całe pole, a wszystkie pędy w obawie przygłuszenia dążyły szybko w górę, ku promieniom jasnego słońca.

W piątym roku, na kapoerze utworzyły one gęstą i zwartą masę i swą świeżą zielonością otoczyły osmalone, wyniosłe pnie starodrzewów, pamiętających czasy, gdy tu szumiał las dziewiczy, zanim go zniszczyli koloniści polscy.

Jasiek zrzucił wytartą marynarkę, powiesił dubeltówkę na drzewie, poprawił pasa i ochoczo wziął się do roboty, ścinając ostrą fojsą młode drzewka.

Padały na ziemię, skarżąc się szumem młodych liści, i stopniowo zrobił się głęboki wyłom w zielonej ścianie. Razem z zielonemi drzewkami padały kwieciem osypane oleandry, fuksje, mimozy, filodendrony, magnolie i rozliczne inne kwiaty przecudnych barw.

Z czoła Jaśka, z włosów lał się pot i spływał gęstemi kroplami, bo słońce brazylijskie praży niemiłosiernie i nie zna litości.

Od wczesnej młodości, bo od szóstego roku życia, czyli od czasu przyjazdu z rodzicami do Brazylji, nawykł Jasiek mieć zawsze otwarte oczy i uszy, gdy znajdował się poza domem, czy to w polu, czy w lesie.

I teraz, mimo trzasku ścinanych krzaków i drzewek, posłyszał kroki zbliżające się. Szybko się odwrócił i wsparty na długiem drzewcu fojsy, przysłonił oczy ręką od promieni słońca i patrzał w stronę, skąd go doszły odgłosy kroków.

Z rozsuwanych krzaków doleciały go słowa, powiedziane znanym mu głosem:

— Szczęść, Boże!

— Daj, Panie Boże!... Dziękuję wam, ojcze Mateuszu! — odpowiedział wesoło.

Kolonista, Mateusz Grzęda, człowiek starszy, lekko pochylony, ze szpakowatemi włosami, spojrzał badawczo po ugorze, po sterczących resztkach pniaczków na świeżej porębie i spytał:

— Ile dni pracujesz?

— Cztery.

— No... jesteś chybki w robocie, tylko widzi mi się, że za wysoko ścinasz, a im niżej, tem składniej... Cóż u ciebie w domu?

— Ledwie nastarczyć mogę siłami, matka zajęta dziećmi, a samemu trudno poradzić w polu — westchnął.

— Nic to, pracuj, a owoce mieć będziesz. Ano, widzę, że setnie się zmęczyłeś fojsą...

spocznij drobinę — i podkręcając sumiastego wąsa, Mateusz szedł w stronę cienia cedra, olbrzyma leśnego, z osmalonym pniem.

Usiedli obaj, a posilając się chlebem i serem, Mateusz rzekł:

— Byłem ci wczoraj po tutejszemu w municipium, zaś po naszemu u wójta. Miałem tam interes... a jako wiedzą, że z nieboszczykiem twoim ojcem żyliśmy w przyjaźni, tak pyta mnie pisarz, czy znany mi testament nieboszczyka? Odpowiedziałem mu, że byłem świadkiem, to i wiem.

— Prawda... sam pomnę — dorzucił Jasiek.

— A on mi na to, że wdowa wniosła podanie, jako cała kolonja należy do niej i do jej dzieci.

Umilkł i spojrzał uważnie na słuchającego Jaśka i po chwili zaczął:

— Powiadam mu tedy, że Jasiek Łyskowski z woli ojca jest dziedzicem połowy kolonji, jako nieboszczyk zeznał przed świadkami, Wawrzyńcem i Michałem Kaczeńcami i przede mną, iż twoja nieboszczka matka w połowie jest właścicielką kolonji i tobie się patrzy połowa gruntu... Tak on to wpisał w księgi, a świadków wezwie do przysięgi, no i teraz bezpieczny, że ojcowiznę dostaniesz, bo na nic jej chytre zabiegi.

— Bóg wam zapłać, ojcze Mateuszu — po-

wstał Jasiek, objął kolana kolonisty i ucałował spracowaną rękę.

— Zrobiłem to przez pamięć dla nieboszczyka — mówił poważnie Mateusz — i dla świętej sprawiedliwości; bo i co byłoby na świecie, gdyby zawsze obłuda i chytrość brały górę... Teraz siądź i słuchaj, a dobrze miarkuj.

Jasiek zajął swe dawne miejsce i rzekł z westchnieniem:

— No i powiedzcie, ktoby się był spodziewał, że ona, świadoma wszystkiego, weźmie się na taki sposób?

— Hm... młodyś ty uśmiechnął się pod wąsem Mateusz — to i nienauczały w świecie. Pomnij, że ona nie z naszego rodu, ale Niemka z pochodzenia, a dalej ci powiem, że ona matka dla swoich, a macocha dla ciebie, to i dbała o ich majątek, chociażby z krzywdą twoją.

— Ale, że ona taka zawzięta i gniewna — westchnął Jasiek — prawdę wam mówię, że prawie nie usłyszę dobrego słowa.

— Taka u niej natura—pokiwał głową Mateusz—alboż to ojciec twój mało znosił od niej? Odradzaliśmy mu wszyscy tego ożenku, ale uparł się i, Panie, świeć nad jego duszą, wszelako źle zrobił, żeniąc się z nią, ale stało się i chociaż później sam żałował, nie było sposobu odmiany... Jednak pierworodnego my, sąsiedzi skrzywdzić nie damy.

— Dobrzy wy dla mnie, jako rodzony — szepnął rozczulony Jasiek.

— Alboż ty nie nasz? Nie urodzonyś w Polsce?... Słuchaj tedy, kolonja nieboszczyka ma pięćdziesiąt morgów, ile z tego jest w uprawie?

— Będzie tego, razem z tą kapoerą, jak mi tatuś nieboszczyk mówili — wskazał na ugor — morgów dwadzieścia, a reszta las.

Mateusz się zamyślił, zakurzył fajkę i po chwili rzekł:

— Po sprawiedliwości należałoby się tobie, jak dojdziesz do swych lat, dziesięć morgów uprawnych, a piętnaście lasu... ale to wdowa i masz przyrodnich, myślę tedy, iż dobrze zrobisz i po ludzku, oddając wdowie i sierotom dom i grunt uprawny, a dla ciebie będzie las. Młodyś, siły masz, to i poradzisz.

Jasiek spojrzał na las, który przy skraju kapoery wznosił się potężną, zieloną ścianą, a ponad nią górowały wierzchołki olbrzymów leśnych, ukwieconych lianami, na których kołysały się w tej chwili krzykliwe papugi, i powiedział z westchnieniem:

— Chociaż i porwę się na wydarcie lasowi tych trzydziestu morgów, nie podołają chyba te ręce.

Podniósł kształtną rękę w górę.

— Jeśli zaczniesz od strachu, rzecz nicpotem — zawołał surowo Mateusz — jak my tu przyszli, był tylko las gęsty i tak zwarty, że

siekiery tępiły się dzień w dzień, a jednak stanęły domy i rola obradza.

— Tak, ale i to pomnę, że was była kupa, a któż mi dopomoże?

— Za dobre słowo, po przyjaźni, znajdziesz pomocnych, ale musisz zaskarbić sobie łaskę ludzi. To ja ci mówię, przyjaciel nieboszczyka ojca. Tyle słów moich, a ty sobie miarkuj i dobrze zważ, a i to dodam: co ci mówiłem, zachowaj przy sobie, bo i poco przed czasem budzić licho?

Mateusz wstał, a Jasiek obłapił go za kolana, znów ucałował rękę i rzekł wdzięcznym głosem:

— Bóg wam zapłać za dobrą radę. Posłucham was.

— Tak i ja rozumiem — skinął głową — a bierz się do roboty, bo niedługo do południa.

Wieści i rady, przyniesione przez Mateusza, tak zaniepokoiły Jaśka, że robota nie szła mu składnie, a różne myśli przychodziły do głowy; chwilami stawał, opierał się na fojsie, rozważał słowa Mateusza, a od czasu do czasu rzucał wrogiem okiem na las niedaleki.

W takiej chwili mimowolnego bezrobocia posłyszał kroki ludzkie i głosy rozmowy, obejrzał się. Macocha szła z nizkim, grubym mężczyzną, którego poznał po miarowym kroku i wymachiwaniu długich rąk.

Był to brat macochy, Herman Haderwald

z osady Bismarcksdorf, stanu Katarzyny. Od kiedy go pamiętał, nie lubił Jasiek tego człowieka za jego szorstkość i drwiny, to też i teraz spochmurniał, a nie chcąc patrzeć na zbliżających się, począł silnie ciąć fojsą.

— Przed głupcami takimi, jak ty, udawaj pracowitość, leniu jakiś! — zaśmiał się Herman grubo — mnie nie weźmiesz na plewy.

— Nic mi na tem nie zależy — odpowiedział Jasiek, siekąc dalej.

— Co!? — poczerwieniała mu z gniewu twarz, — coś powiedział, smarkaczu? Powtórz, a nauczę cię posłuchu.

— Milcz, ty darmozjadzie! — dodała ostro macocha.

Za wiele tego było Jaśkowi. Zwrócił twarz do stojących opodal, oparł rękę na fojsie i powstrzymując się od gniewu, rzekł spokojnie:

— Powiedziałem, że nic mi nie zależy na waszem zdaniu. Wy mi ni brat, ni swat, tylko obcy i zasie wam do tego, co robię.

— A ty polska żmijo! — krzyknął z pasją — nauczę ja ciebie — i z podniesioną palicą zrobił kilka kroków ku Jaśkowi, który pobladł lekko, podniósłszy zaś fojsę do cięcia, rzekł głucho:

— Tylko tknijcie mnie, a łeb rozwalę, jak mi Bóg miły!

Macocha szybko pochwyciła za ramię brata i mówiła:

— Hermanie, szkoda twego zdrowia na te-

go draba... daj spokój... a ty, psie, jak przyjdziesz do domu, dam ci dobrą naukę.

— Psu możecie, ale nie mnie!

— Dobrze, Jaśku! — zawołał Klimek Kaczeniec, młody parobczak z sąsiedniego pola, — nie daj się poniewierać, tyś gospodarski syn!

— A tobie co do nas, ty chamskie nasienie! — rozkrzyczała się Elza —swego pilnuj, bo jeszcze co oberwiesz, psubracie jakiś!

— Mielcie ozorem, mielcie! — śmiał się Klimek —tyle was się boję, co poryku krowy!

— A bodajeś sczezł! A bodajeś zgnił! — krzyczała, aż dopiero brat mruknął:

— Daj spokój, niech szczeka, co ci to wadzi?—i głosem spokojnym mówił dalej:—I jaka to robota na kapoerze?—trącił butem wystające pniaczki — jakby zając poogryzał—rzucił okiem na Jaśka — nic tu się nie urodzi, szkoda chleba za taką podłą robotę.

— Nie wasz chleb jem, tylko moich ojców, a nie podoba się wam moja robota, spróbujcie sami —uśmiechnął się Jasiek —a baczcie, ażebyście brzucha nie stracili, bo nie piwa, ale potu się napijecie.

— Milcz, polskie bydlę, nie do ciebie mówię, ale do pani gospodyni —podniósł Niemiec głos.

— Za karę, wałkoniu, nie dostaniesz obiadu, — zawołała macocha i podnosząc koszyk w górę—świniom dam, nie tobie.

— Płakać nie będę — zaśmiał się chłopak — alboż mało zwierza w lesie? Co mi za niewola robić w słońcu?

Poznała macocha, że za daleko posunęła swe groźby i dodała już łagodniej:

— Ty mi nie wykalaj oczu twą robotą, bo robisz dla siebie i dla twego rodzeństwa, a jako starsza, mam prawo i obowiązek dbać o majątek dzieci.

— Jeśli tak, to postawcie mi obiad pod drzewem i idźcie do domu, nie przeszkadzajcie mi waszem swarzeniem.

Po tych słowach odwrócił się i jak gdyby przed sobą miał wrogów, zaczął ciąć porębę z wielką zawziętością.

Macocha wraz z bratem poszli ku pobliskiemu drzewu, ona zostawiła koszyk z warzą i oboje, żywo rozmawiając, skierowali się przez pole do domu.

Gdy zniknęli na zakręcie, zawołał Klimek Kaczeniec wesoło:

— Jasiek, rzuć fojsę, poobiadujemy razem i pogwarzymy.

W odpowiedzi Jasiek wziął fojsę na ramię i szedł ku drzewu, gdzie stał koszyk, a zabrawszy go, udał się na pole Klimka.

— Okrutniem zmachany — ocierał Jasiek kroplisty pot z białego czoła.

— A ja nie? — zaśmiał się Klimek i również ocierał ciemne włosy, z których spływał pot

kroplami — siadaj, cóż te Szwaby? — zaśmiał się — odciąłeś im dobrze, aż mi dziwno, takiś jeszcze młody.

— W biedzie człowiek szybko dojrzewa— odrzekł Jasiek, nabierając zupy z czarnej fasoli.

— Jaka ci bieda?—mówił Klimek wesoło — jesteś sam chłop w domu, nikogo ani bać się, ani słuchać nie potrzebujesz.

— Ale, hale — uśmiechnął się — gdyby ci tak trajkotano od świtu aż do nocy, nie mówiłbyś tak.

— Ba, a od czegóż masz ozór? — zaśmiał się Klimek.

— Alboż babę przegadasz?—wzruszył Jasiek ramionami—niczem potok, co szemrze, niczem deszcz, co pluszcze. Gada i wydziwia... że też to, mój Boże, gęba ją nie zaboli!

— Co ma zaboleć, kiedy nawykła? Jak się trafi koń narowisty, to i bat nie poradzi.

— Otóż tak i z macochą — skinął głową Jaśko —dobra gospodyni, dbała, oszczędna, kochająca dzieci, a języka nie wstrzyma, chociaż chciałaby. Nawykłem już, to znoszę, ale gdybym się kiedy żenił, to tylko z niemą.

— Tak ci obrzydł język ludzki? — zaśmiał się Klimek.

— Nie tak ludzki, jak babski—odpowiedział z miną obrzydzenia.

Klimek wyjął z garnka kuraka gotowanego, podzielił na dwie równe części i podał Jaśkowi:

— Jedz, niech ci będzie na zdrowie.

— Nie żałują ci ojcowie — uśmiechnął się, biorąc pół kuraka.

— Nie kosztuje ich, to dają. Gdyby mogli sprzedać kurę, prosię, cielę, nie widziałbym nic w garnku.

— I macocha nie może sprzedać, a jednak nie daje, chyba przy niedzieli.

— Bo nie widzisz, sama z dzieciskami smakuje... A ten gruby Szwab, kto taki?

— To jej brat z Katarzyny; jak tu zjedzie, to rządzi, jak szara gęś.

— Odgrażał się tobie jednak.

— Tyle się go boję, co wycia psa — odparł Jasiek wzgardliwie. — Przyjedzie, nahałasuje, naklnie, piwska się opije i tyle jego roboty.

— Zawsze te juchy Niemcy dokuczają naszym, chociażbyś na kraniec ziemi pojechał, znajdzie się to psie nasienie.

— Taki dopust Boży, cóż robić? — westchnął Jasiek, który na swej skórze poznał niemieckie rządy w domu.

Jakiś czas jedli w milczeniu, aż Klimek zawołał:

— Słyszałeś, co się stało tej nocy u Macieja Brzozy?

— Skądże? ledwie słońce się pokazało, już zbudziła mnie do roboty, i słowa nie wiem, co się dzieje na kolonji.

— Dzisiejszej nocy u Macieja pochwyciło coś prosiaka i cielę... pewno jaguar albo puma.

— A u którego to Macieja? — spytał zaciekawiony Jasiek.

— U Brzozy... wiesz, co ma kolonję na piątym kilometrze.

— I wzięło z obory?

— Tak, i podobno wysoko zagrodzonej, bo to od ludzi daleko; a jak taki zwierz raz się znęci, to pewno wróci i innych zwoła ku pomocy.

— Wiem, wiem — skinął głową Jasiek — wypróżni jedną oborę, przyjdzie kolej na drugą.

— To samo mówili mój tatuś i powiedzieli, że Maciejowi powinien ktoś pomódz w stróżowaniu, bo stary jest, a w domu tylko żona i dziewczęta.

— Pójdę ja na noc do Macieja — zawołał ochotnie Jasiek — i dobrze się składa, bo nie będę widział wstrętnego Szwaba.

— A idź, chętnie cię przyjmą; a pewnyś strzału?

— Czyś zapomniał?—uśmiechnął się Jasiek z odcieniem dumy — byłem drugi strzelec na Wielkanoc.

— Hm... inna rzecz tarcza, a inna biegnący zwierz.

— Iii... dam mu radę.

— Zobaczymy... poszedłbym sam, ale dziś

mam stróżę. Idźże wcześnie do Macieja, bo to kawał drogi i trzeba za dnia zbadać ślady.

— To się wie! — skinął głową Jasiek — strzelbę i kule mam ze sobą i zejdę w czas z kapoery.

Porozmawiawszy chwilę jeszcze, rozeszli się, każdy do swej roboty.

W czasie gdy dwaj młodzi obiadowali, Herman Haderwald, wracając ze swą siostrą do domu, mówił gniewnie:

— Słyszałaś teraz, jak to polskie szczenię nietylko szczeka, ale zęby pokazuje. Niedługo czekać, a wygryzie ciebie i twoje dzieci z kolonji.

— A, niedoczekanie jego, prędzej go uduszę, zanim pomyśli o tem — powiedziała kobieta z zaciętością — czyż darmo się napracowałam tutaj? Nie pozwolę i koniec.

— On nie będzie pytał ciebie, — zadrwił Niemiec — sam zrobi.. Czy podałaś prośbę do municipium o przyznanie kolonji tobie i dzieciom?

— Kilka dni temu sama odniosłam podanie sekretarzowi.

— Cóż ci powiedział?

— Że zbada sprawę.

— Dałaś mu co w rękę?

— Nie.

— Głupio zrobiłaś... Dziś jeszcze idź do nie-

go, daj chociażby dziesięć milreisów i proś o przyspieszenie.

— Jakżeż dziś pójdę, gdy mam w gościnie ciebie i Wilhelma?

— Pluń na te czułości, gdy idzie o majątek — mruknął gniewnie — już i tak popsułaś sprawę, że wbrew mej radzie nie opłaciłaś sekretarza.

— Żal mi było pieniędzy — szepnęła.

— I ja nie wyrzucam za okno, ale jak trzeba do interesu, to trzeba. Jedź zaraz, siadaj na muła i grzecznie, słodko, pokornie spytaj.

— Wiem sama — uśmiechnęła się —już ja go wezmę.

Herman sam osiodłał muła, pomógł jej siąść, powtórzył przestrogi, a gdy odjechała, otarł spocone czoło kraciastą chustką, rozejrzał się wokoło, na dom, zabudowania, obory i szepnął z uśmiechem zadowolenia:

— Za kilka lat będzie tu Niemiec gospodarzył... Hm... niezła kolonja.

I idąc ku gankowi domu, planował, że należałoby zrobić z domu wendę, czyli sklep z towarami łokciowymi, galanteryjnymi, gospodarskimi i napojami, opłacający się doskonale na kolonji, leżącej daleko od miasta i dróg handlowych.

W ganku, ocienionym pnącą się fasolą, siedział za stołem szwagier Hermana, brat cio-

teczny jego żony, Wilhelm Kostriner. Młody człowiek, lat dwudziestu pięciu, z twarzą kwadratową, ze skąpym zarostem, włosy bowiem na górnej mięsistej wardze i na brodzie rosły kępkami. Cała jego postać zdawała się być wyrąbana toporem, jak gdyby naturze zabrakło czasu na wykończenie lepszych kształtów.

— No, Wilhelm, jak ci się podoba ta kolonja? Widziałeś kukurydzę? — spytał Herman, siadając ciężko na ławie.

— Uf, gorąco djabelnie! – stęknął Wilhelm i wielką ręką ocierał pot obfity z czoła i konopiastych, zlepionych włosów.

— Przyzwyczaisz się do gorąca — zaśmiał się Herman – a kolonja jaka?

— Byłaby dobra, gdyby była moja — odpowiedział chrypliwym głosem.

— O tem ani myśl– nachmurzył się Herman - siostra ma dwoje dzieci, a ty młody wprawdzie, ale bez grosza i żadnego fachu. U naszych chleba nie znajdziesz, bo nie znasz tutejszej gospodarki, i o szczęściu możesz mówić, jeśli u jakiego głupiego Polaka dostaniesz służbę.

— W tem twoja głowa — skrzywił usta do uśmiechu —z głodu nie myślę zdychać, a z domu ci się nie ustąpię, póki mi miejsca nie znajdziesz.

— Djabli mi nadali takiego krewnego! — mruknął Herman i chcąc uciszyć robaka zmartwienia, wypił kufel piwa.

— Ciepłe piwo! — rzekł Wilhelm z miną znawcy.

— Ale lepsze od wody—dodał Herman, nalewając sobie drugi kufel.

— Święta prawda—i wysączył resztę z butelki.

Wszczęli rozmowę o krewnych i znajomych, popijając piwem. Wtem Herman, spoglądający od czasu do czasu na drogę, zawołał:

— No, Elza wraca.

Wilhelm odwrócił się i z cicha się zaśmiał.

— Czego? — spytał Herman.

— Bo siedzi okrakiem i grzywy się trzyma.

— Głupiś! To gospodarna i zamożna kobieta. Rozumiesz ty, że ferma jej ma sto morgów magdeburskich; prócz tego dom, zabudowania i cały inwentarz gospodarski.

— Ale i dwoje dzieci z Polakiem — zamruczał.

Elza podjechała do ganku, zeskoczyła z muła, zdjęła uzdę, siodło i puściła zwierzę na dziedziniec.

Zmęczona, spocona, szła ciężko, a gdy stanęła na ganku, spytał brat:

— Co słychać nowego?

— Źle! — odpowiedziała chmurna — chcę z tobą pogadać.

— Wilhelm — rozporządził Herman — idź w cień pod szopę, prześpij się, bo tu nam zawadzasz.

— Pójdę, ale z piwem.

Wziął flaszkę i stąpając ciężko, poszedł.

— Siadaj, Elzo, i mów—zachęcał brat—dałaś mu w rękę?

— Dałam — mówiła gniewnie — i źle poradziłeś... Ten łajdak wziął i dopiero powiedział mi o podłej intrydze tych zbójów.

— Jakich znów?

— Jakich?—oburzyła się, — a podłych Polaków! Wyobraź sobie, że ten łotr Grzęda był u sekretarza i postawił świadków, że połowę kolonji ma dziedziczyć ten parszywy Jasiek... czy rozumiesz?

— O, to źle! — nachmurzył się. — A łotry umyślnie zeznają, ażeby nas, Niemców, skrzywdzić... Bestjalskie nasienie, zawsze w drogę nam włażą.

— I co ja zrobię, nieszczęśliwa — zalała się łzami. — Za pięć lat ten znajdek dojdzie do pełnoletności, zabierze połowę domu, gospodarstwa i ja z dwojgiem dzieci zostanę na jego łasce; bo czyż wyżyję z dziesięciu morgów?

— Zostaje ci przecież las — pocieszał strapioną.

— Ugryź go sam! — zawołała z pasją — co mi oczy mydlisz lasem, czy nie wiesz, jaka to robota? I po co mnie wydałeś za tego Polaka?... Zmarnowałam najpiękniejsze lata i na starość pójdę na żebry.

Zaszlochała.

— No, no, uspokój się, Elza... daj mi czas pomyśleć nad tem, rozważyć.

Nalał sobie kufel piwa, wypił duszkiem, i zwolna, z namysłem nakładał tytuń do wielkiej porcelanowej fajki z portretem Bismarcka.

Elza, na pokrzepienie sił, wypiła też piwa, ocierając nos i oczy brudnym, niebieskawym fartuchem.

— Ja znam ludzi, Elzo—pyknął dym z cybuszka — a z Polakami handlowałem i poznałem ich nawskróś.

— Ee, co mi tam pleciesz,—zawołała gniewnie, — wpakowałeś mnie sam w biedę, teraz radź.

— Cicho! — krzyknął — ty słuchaj, a potem będziesz gadała... Otóż Polacy zrazu to ogień, gotowi na wszystko, ale to trwa krótko... ot, głupi naród, porywczy, ale bez wytrwałości, a tylko cierpliwy i wytrwały zwycięża.

— No, i co z tego? — mruknęła niechętnie.

— Zaraz — zapalił zgasłą fajkę — teraz nie pora poruszać sprawy testamentu, pamiętają jeszcze twego męża, a co najgorsze, że tego urwipołcia Jaśka mają na oczach. Czekajmy, sekretarzowi trzeba wsunąć w łapę, niech odwlecze sprawę, a Jaśka trzeba wydalić z kolonji. Jak stracą go z oczu sąsiedzi, zapomną o nim, o testamencie i będziesz sama dziedziczką.

— Psu na budę twoja rada — powiedziała

zgorszona — ty mów, jak się pozbyć Jaśka, a resztę sama zrobię bez twej pomocy. Struć go nie struję, bo nie chcę kryminału, a on nie umrze, bo ma żelazne zdrowie.

— Zwarjowałaś, czy co? — krzyknął z gniewem — kto ci mówi o truciu? o zabijaniu?... Pierwsza rzecz — mówił spokojniej — trzeba mu dom obmierzić, ażeby sam poszedł.

— I myślisz, że on pójdzie? — zaśmiała się z goryczą.— Sama wiem, że przykra jestem dla niego, wymyślam mu, gniewam się, karmię byle jak, a on, jak pies wierny, nie rzuca domu.

— Bo czuje się panem i potrzebnym w gospodarstwie... Mam myśl dobrą! — uderzył pięścią w stół—bierz ty Wilhelma na gospodarza, bo Jasiek za młody i leń... jak ten mu zacznie dogryzać i nadzorować, zobaczysz, umknie stąd za tydzień.

Elza zastanowiła się i po dobrej chwili powiedziała:

— Koszt wielki wykarmić takiego chłopa i nie wiem, jaki on do roboty.

— Głupstwo... co mu każesz, to zrobi, i nie idzie o jedzenie lub zapłatę, ale o pozbycie się Jaśka.

— Hm... a ileby Wilhelm chciał?

— Ja myślę, że dasz mu wikt, pranie i dziesięć milreisów na miesiąc...

— A nie ma on smoły w ręku?

— Iii, za głupi na złodzieja! — zaśmiał się

Herman,—trochę leniwy, dużo je i pije, a zresztą dobry chłop.

— Może twój plan niezły... ano, spróbuję jeden miesiąc, zawsze to swój, będę miała do kogo słowo przemówić.

— No tak, ale trzymaj go krótko, bo rozleniwi się, a byłaby go szkoda,—i po chwili namysłu spytał: — Elzo, a czy twój pasierb ma krewnych na tutejszej kolonji?

— Nie... Ma stryja, ale ten mieszka daleko, aż gdzieś pod San Paulo.

— A gdzie, nie wiesz?—ożywił się.

— Pod miastem Villa Rica.

Herman wyjął notatnik, zapisał miejscowość i spytał:

— A jak się ten stryj nazywa?

— Michał Łyskowski, starszy brat mego nieboszczyka... A na co ci to?

— Nie pomoże na twego pasierba Wilhelm, pomoże nam jego stryj,—uśmiechnął się chytrze i wychyliwszy się z ganku, zawołał: — Hej Wilhelm, pójdź no do nas!

Po chwili zjawił się wołany, a dowiedziawszy się o co idzie, zgodził się na służbę, ale wymówił sobie izbę osobną i jedno ubranie wraz z butami na rok.

— Czy dotychczas wy sami tu gospodarowali?—spytał Elzy.

— Sama wraz z pasierbem.

— Pasierb?... ileż ma lat?

— Szesnaście, młody, tylko dozoru potrzebuje.

— Eh, taki smarkacz! — zaśmiał się, — dam sobie radę, a dozoru nie pożałuję.

Jaguar.

Na jakie trzy godziny przed zachodem słońca, Jasiek ukrył fojsę w dziupli drzewa i zarzuciwszy dubeltówkę na ramię poszedł do Macieja Brzozy, ażeby straż pełnić przed oborą, którą w nocy napadł jakiś zwierz dziki.

Dom Macieja stał na piątym kilometrze w stronie przeciwnej od domu Jaśka. Na kolonji, każdy dom osadnika jest oddalony od sąsiada o dwieście pięćdziesiąt metrów, a odmierzony grunt, należący do osadnika, ciągnie się za domem mieszkalnym w głąb, tworząc dość regularny prostokąt.

Wszystkie drogi kolonji zbiegają się na placu, gdzie urzęduje municypium, stoi kościół i szkoła, i gdzie odbywają się targi. Poszczególne te drogi noszą nazwę porządkowej liczby rozkolonizowanych kilometrów ziemi.

Dla skrócenia drogi Jasiek szedł krajem lasu, przedzierając się pomiędzy trzcinami, bambusami, brakafingami, które stanowią niejako

przednią straż lasu w kierunku uprawianej roli.

Stado papużek zielonych obsiadło jedno skrajne drzewo, skrzecząc i kłócąc się pomiędzy sobą.

W innym czasie Jasiek strzeliłby napewno, bo rosół z papug jest smakowity, a ich mięso delikatne jak kurcząt, ale teraz spojrzał na nie wzgardliwie i mruknął:

— Na innego zwierza mam nabój!

Z głębi lasu doleciały go rozgłośne wrzaski wyjców, małp przemieszkujących w głębi boru. I na małpy chętnie polują koloniści, to też Jasiek przystanął, posłuchał chwilę przeraźliwego wycia, ale machnął ręką obojętnie i poszedł dalej.

Gdy wymiarkował, że zbliża się do piątego kilometra, skręcił na uprawne pola i wszedł na drogę.

Ostatnią kolonję na tym kilometrze posiadał Maciej Brzoza.

We wrotach obejścia wznosiły się dwie palmy wysokie z pysznemi wielkiemi liśćmi.

W głębi stał zwykły dom polskiego osadnika, złożony z czterech izb, w pośrodku sień i kuchnia, a przed wchodowemi drzwiami ganek na dwóch słupach, ocieniony winnym krzewem, okrytym obficie gronami nawpół dojrzałego owocu.

Maciej, siwawy, pochylony latami, widocznie

przyjechał z roboty, jak świadczyły dopiero co wyprzęgnięte konie, a on sam majstrował coś koło wozu.

Na skrzyp otwieranej furtki podniósł głowę i ciemnemi, trochę spłowiałemi oczami spojrzał na wchodzącego.

Jasiek, uchylając wielkiego filcowego kapelusza, rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków! A czyjś ty? Co mi powiesz?

— Jestem Jasiek, syn Łyskowskiego z pierwszego kilometra.

— Tak? — podszedł ku Jaśkowi, — witaj w moim domu, znałem twego ojca nieboszczyka, Panie świeć nad jego duszą, dobry człowiek był i honorny. Toś ty syn? — podał rękę, którą Jasiek ucałował, — no, wyrosłeś, jak młoda sosenka, ileż tobie lat?

— Na św. Michał, skończę szesnaście.

Maciej obejrzał Jaśka, spuścił głowę i westchnął, a po chwili rzekł:

— Chodź do izby, gościem mi jesteś.

I sam szedł przodem.

W sieni otworzył drzwi na lewo i zawołał do żony:

— Matka, gościa mamy, Jaśko Łyskowski z pierwszego kilometra!

Na skrzyp otwieranych drzwi, dwoje dziewcząt uciekło do sąsiedniego alkierza, została

w izbie tylko niemłoda niewiasta, trochę zgarbiona, jak gdyby ciężary nosiła, z twarzą smutną, pooraną zmarszczkami.

Jasiek pozdrowił ją słowem bożem, strzelbę postawił w kącie i nizko się skłonił.

— Rada cię widzę, — powiedziała uprzejmie,— siadaj; spokojnie tam u was?

— Chwała Bogu nic złego, — usiadł przy oknie, — ale słyszałem, że u was zdarzyło się w nocy nieszczęście.

— A tak, tak,— westchnęła, — jakiś zwierz zdusił cielę i porwał prosiaka... Zrobił nam szkodę wielką, cieliczka była dorodna, po mlecznej krowie... i prosiak niczego... ot, dopust boży.

Maciej zakurzył fajkę i puszczając cienki kłąb dymu, dodał:

— Szelma jakiś, pewno jaguar albo puma, przeskoczył ogrodzenie i wyniósł prosiaka... Widno po ranie, że chciał cielę zabrać, ale krowy obroniły, tak chwycił prosiaka i uciekł.

— Jak się taki zwierz znęci, rzekł Jasiek, — to nie opuści obory póki nie wypróżni.

— A ty skąd to wiesz? — spytał gospodarz trochę zdziwiony.

— I tatuś nieboszczyk to mówili, i od ludzi słyszałem.

Maciejowa spojrzała baczniej na chłopca i odezwała się:

— Ileż tobie lat?

— Szesnaście.

— Słyszysz?— zwróciła się do męża,—o rok starszy od naszego.

— Wiem — mruknął.

— Miałbyś pociechę i wyrękę, — westchnęła — a teraz został ci ino żal.

— Cóż robić? dopust boży! — odwrócił od żony smutne oczy.

Jasiek mimowoli spytał.

— A co się z nim stało?

I zaraz pożałował pytania, bo przypomniał sobie, że coś nie coś słyszał.

— Nie wiesz? — obruszyła się matka, gdyż jej zdaniem wszyscy powinni byli wiedzieć o utracie jej syna, — toż zginął nam w stepie, cztery lata już miał, a mądry był, a śliczny jak ten kwiat.

Załzawiły się jej oczy.

— Zginął, powiadacie?—bąknął Jasiek.

— Ot nieszczęście, i tyle, mruknął z cicha gospodarz.

Ale Maciejowa, która bolała nad utratą jedynego syna, zaś Jasiek, jako chłopak zaostrzył jej żal, złożyła robotę na kolanach i zaczęła:

— Będzie temu akurat dziesięć lat. Szliśmy całą kompanją emigrancką do tej kolonji, było nas ze trzysta rodzin, a może i więcej... Ano, dzieci jak dzieci. zwłaszcza chłopcy wysforowali się naprzód... Nasz, Karolek, ciekawy i mądry, dalejże z nimi .. Na obiad go nie by-

ło, już mnie coś tknęło, ale mój uspokoił mnie, mówiąc: pognał z chłopczyskami, bawi się..

— Alboż tak nie było? – przerwał jej mąż – nie widziano go w południe?

— Bodajbym cię była niesłuchała, — powiedziała z goryczą — byłby teraz tu z nami... Głupia byłam i czekam wieczora... wszyscy wracają do swoich, a Karolek nie... Szukam, wołam i rozstąp się ziemio, niema go... a wszystko przez ciebie!

Spojrzała z wyrzutem namęża.

— Czyż nie szukałem? — bronił się, — całą noc tłukłem się po stepie, po wertepach, gajach .

— A dlaczego nie szukałeś w obiad?

— Myślałem, że się zabawia...

— Głupie myślenie — zawołała z gniewem — i uważasz,—mówiła, zwrócona do Jaśka,– chłopak zginął, znikł... pół dnia zmitrężyła kompanja szukając dziecka i na nic!... Obiecałam suszyć piątki i soboty całe życie, ale się nie znalazł.

I łzy potoczyły się po zmarszczonej twarzy.

— Ha, cóż robić — wzruszył mąż ramionami —wola boska.

Jasiek nie wiedział, co miał na te żale i skargi powiedzieć, spuścił głowę i milczał, wreszcie zdobył się na słowa:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!. Przed śmiercią nikt nie ucieknie.

— Prawdę mówisz, — dorzucił gospodarz — już to chłopczyna nie miał szczęścia. Raz omal nogi nie stracił, tak mi się podsunął pod kosę.

— Ale wydobrzał, — przemówiła matka — została tylko blizna na prawej nodze... i znamię na lewem ramieniu.

W czasie tej rozmowy wsunęły się z alkierza do izby dwie dziewczyny i stanęły cichutko w rogu; jedna z nich, Kasia, miała lat trzynaście, smukła brunetka, nad wiek wysoka i rozwinięta, druga, Hanka, lat dziewięć.

Po chwilowem milczeniu zawołał ojciec:

— Kasieńko, gość w domu, zmęczył się drogą, daj co posilić się.

— A cóż dam? —pytała dziewczyna zaczerwieniwszy się.

— Co jest w domu... daj chleb, mięsa, mleka... Gospodyniś ty, — uśmiechnął się ojciec,— twój kłopot.

— Kiedy każecie to przygotuję... a co wolisz? — zwróciła się do Jaśka, — mięsa, czy mleka?

— Jedno i drugie — zaśmiał się Jasiek — bom głodny.

— Dawnoś z domu? — spytała gospodyni.

— Od rana ciąłem na kapoerze i obiad tam jadłem.. Przyszedłem do was rozmyślnie —zaczął niepewnym głosem.

— Czegoż to? — odezwał się łagodnie gospodarz?

— Mówił mi sąsiad, Klimek Kaczeniec, że

wartoby postróżować przy waszej oborze i ustrzelić zwierza, bo może szkody narobić nietylko wam, ale i drugim.

— A umiesz strzelać?

— Cobym nie umiał? — zaśmiał się, — raz wraz z fuzją idę w las, jeślim tylko wolny od roboty.

— A któż teraz gospodarzy u was?

— Macocha i ja.

— Czy dużo ściąłeś kapoery?

— Ze trzy morgi, jak miarkuję... Cóż, przyjmiecie mnie do stróży?

— Hm... dobrą twoją wolą nie gardzę, ale widzisz, chłopcze, to nie zabawa spotkać się z takim zwierzem. Możesz chybić, a ów na ciebie skoczy... nie chcę być winny krwi twojej, boś młody.

— Iii, czy to pierwszyzna dla mnie? — zaśmiał się chłopak. — W lesie gorzej bywa, a nic mi dotychczas, jako widzicie.

— No, a pozwolenie od starszych masz?

— Sierotam, skądże mam mieć pozwolenie? Klimek Kaczeniec także miał okrutną ochotę na tego zwierza, ale stróża mu wypadła na pierwszym kilometrze i musiał odstać.

Zamyślił się Maciej, pyknął z fajki kilka razy, splunął, odlał z cybucha sok co się zebrał i spytał:

— Matka, a ty co myślisz?... Zawsze co dwóch to nie jeden. Ja stanę pod kukurudzą,

bo tędy mu droga... a jego postawię bliżej obory.

— Twoja w tem głowa, ale bacz, żeby mu się co nie przytrafiło, bo młody jest, u nas w gościnie i z dobrej woli chce nam usłużyć.

— Ja to wiem.

Podrapał się Maciej w głowę, był bowiem w kłopocie Chciał Jaśka zatrzymać, ażeby ochronić dobytek od szkody, ale obawiał się też jakiego nieszczęśliwego wypadku.

Słysząc tę rozmowę, Kasia, która na stole nakrytym białym obrusem, stawiała mleko zsiadłe, chleb i zimne mięsiwo, odezwała się:

— Gdybyście mi pozwolili, tatusiu, poszłabym z wami i ustrzeliłabym też tę krwawą bestyę.

— Nie bałabyś się? - zaśmiał się ojciec.

— Czegóż mam się bać przy was — zaczerwieniła się.

— Masz pleść ni to, ni owo, — rzekła surowo matka — to wolej siedź cicho... Także mi strzelec do polowania! — wzruszyła ramionami — musiałby ojciec ciebie pilnować, a zwierz zrobiłby swoje.

Kasia, chmurna, stawiała z hałasem talerze na stole, a Jasiek śmiejąc się spytał:

— A strzelać umiesz?

— Wielka mi sztuka! — odcięła się, pociągnę za cyngiel i już. Nie tylko ty jeden mądry na świecie.

— Kasiu! — upomniała matka - czy cię giez ugryzł? Co tobie?

— Wiem ja, co robię, — odburknęła, — nie dość, że idzie z tatusiem na okrutnego zwierza po nocy, ale przekpiwa sobie ze mnie.

— Boga mi, jeślim krzyw tobie, — zawołał Jaśko —tylko dziwna mi była twoja ochota.

— Nie dziwiłbyś się, gdybyś ją widział przy robocie, — chwalił ojciec — niczem chłopiec. Garnki jej śmierdzą, a do konia to się ino rwie.

— Gadanie i tyle, — mówiła gospodyni wstając z krzesła, — dobra ona i do domu, i tak być powinno dla dziewczyny, a teraz siadajcie i pożywcie się.

— Pozwólcie, wy matko, — wstał Jasiek, — i wy, panie gospodarzu, że wpierw za dnia opatrzę miejsce, kędy ta bestja dostała się do obory. Anuż zechce iść tą samą drogą!?

— Racya twoja, — rzekł Maciej biorąc kapelusz —widno zaraz żeś przemyślny.

Ruszyli obaj ku drzwiom, a Kasia:

— Tatusiu, pozwólcie i mnie!

Sekundę się zawahał, rzucił okiem na żonę i rzekł:

— A czemużby nie? Chodź!

— I poco wleczesz ją ze sobą? — swarzyła żona —rozpuścisz ją do cna.

Byłaby może i więcej mówiła, ale wszystko troje wyszli z izby.

Przez obejście udali się na pole, a gospodarz objaśniał:

— Tu widzisz, — wskazał na okólnik wysoko na trzy metry ogrodzony, a jednym bokiem dotykający roli z jarzynami —stoi w nocy zawsze latem i zimą bydło... Zwierz przeskoczył płot i gospodarzył tutaj.

Jasiek wysłuchał uważnie i po chwili spytał:

— Na oborze jest ślad krwi?

— A chodź, pokażę ci.

Weszli, obejrzeli ślad spiekłej krwi na podścielisku, Jasiek z wielką bacznością począł przeglądać każdy kołek w ogrodzeniu, wreszcie zawołał:

— Tędy wlókł prosię!

Podeszli szybko i istotnie, na jednym z kołów widać było kilka kropli krwi i troszeczkę sierści.

— Prawda! Wypatrzyłeś — rzekł Maciej, — dobre masz oczy.

— Zmyślnyś! — pochwaliła Kasia.

Te pochwały ucieszyły Jaśka i już śmielej mówił:

— Teraz pójdziem na pole. Obaczym kędy niósł zdobycz.

— To już wiem — rzekł gospodarz.

— Tatuniu, ja pokażę! — zawołała Kasia — wypatrzyłam dobrze.

— Ano, idź przodem.

Wyszli na pole za ogrodzeniem, Kasia szybko

weszła pomiędzy grzędy marchwi, pietruszki, cebuli, ogórków i wskazując ręką:

– Tu na naciach pietruszki krew.

— Hm... czy to pierwszy ślad? — wątpił Jasiek — za daleki skok, — i rozpatrując się bacznie po grzędach zawołał: — jest i tu! — Ciężki zwierz bo pazurami wrył się w rolę.

Kasia prowadziła dalej, między kukurudzą, aż wreszcie ślad zaginął w gęstych i zwarto rosnących krzakach.

Jasiek rozpatrzywszy dokładnie okolicę, rzekł do Macieja:

— Myślę panie gospodarzu, że ja stanę pod tą araukarją, — wskazał na wyniosłą sosnę brazylijską, gładką aż do szczytu, z którego zwieszały się konary, tworząc rodzaj parasola,— przez ten przesmyk pomiędzy kapoerą a rolą, musi zwierz przejść Jeśli ja go nie wypatrzę, ustrzelicie go przy ogrodzeniu.

— Hm... planujesz dobrze, ale nie ty staniesz na otwartem miejscu, tylko ja, bo nuż chybisz, to twoja śmierć.

— Moja śmierć nikogo nie skrzywdzi, nawet macocha rada będzie, co innego wy, panie gospodarzu.

— Wiem co robię, a jeśli jesteś nieusłuchany, to idź do siebie, — powiedział Maciej surowym tonem.

— Tatuś ma rację, strzela celnie i napewno

zabije,—odezwała się Kasia—zaś w twój strzał nie wierzę.

— Wola wasza - rzekł Jaśko spokojnie,— stanę przy oborze.

— Usłuchaneś dziecko, to i dobrze — mówił już Maciej łagodniej.

W milczeniu doszli do ogrodzenia obory; Jaśko wybrał sobie miejsce przy rozłożystem drzewie, rzucającem cień na oborę.

Weszli do izby, zasiedli do wieczerzy, a Maciej opowiedział żonie o wybranem stanowisku swojem i Jaśka.

— Byle ci się nie trafiło co złego,—westchnęła —niechby wszystko zdusił, byleś ty nie ucierpiał.

— Iii, co mi się stanie! mam przecież fuzję w garści, a za pas włożę pistolety.

— O, tatusiowi nic się nie stanie, — przemówiła Kasia —bo tatuś odważny i mocny.

— Co ty wiesz — ganiła matka—taki zwierz zdusi wołu, cóż dopiero człowieka. Zaś ty, Jaśku, nie strzelaj jeśliś niepewny, bo nie chcę mieć krwi twojej na sumieniu.

— I ja to mówię —potwierdził Maciej.

Po wieczerzy, gdy gospodarz i Jasiek opatrywali broń, Kasia kręcąca się po izbie, podeszła do ojca i szepnęła:

— Tatusiu, weźcie mnie ze sobą.

— Także coś, ani myśl!

— Tatusiu, pomogę wam, broń potrzymam.

— Nie! Jeszcze, gdybym stał przy oborze pod drzewem... a i na to matka nie pozwoliłaby za nic.

— Mama nie będą wiedzieli.. smyrknę przez okno.

— Ani się waż! — zaszeptał głośniej, co zwróciło uwagę matki, która zawołała surowo:

— Kasiu, a to co za konszachty z ojcem!? Pewno coś niebywałego zachciewa się tobie! Zawsze mi robisz zmartwienie.. idź do Hanki, pomóż zmyć naczynia.

Smutna i chmurna wyszła Kasia z izby, a przez drzwi słychać było jak rozprawia z Hanką o surowości matki.

Jaśkowi żal było Kasi, rozumiał dobrze jej ciekawość, ale milczał, czuł, że nie jego rzecz mieszać się do tej sprawy.

Ściemniło się, a Maciej, zarzucając strzelbę na ramię, rzekł:

— Ano, czas na nas!

— Z Panem Bogiem! a wracajcie szczęśliwie!—zawołała gospodyni.

— Zostańcie z Bogiem — odpowiedział Maciej, — śpijcie spokojnie, zresztą kto wie, czy zwierz przyjdzie dzisiaj, jutro tymczasem czeka nas robota.

Gdy przechodzili przez ganek, Kasia oczekująca ich, szepnęła z prośbą:

— Tatusiu! A ja?

— Ani się waż!

I nacisnąwszy kapelusz szybko wszedł na oświetlony od okien dziedziniec.

Wyszli na pole, a Jasiek skręcił ku swemu stanowisku szepcząc:

— Za ciemno na strzał.

— Boś ze światła, a noc będzie jasna... księżyc o północy pokaże się na niebie... A pomnij strzelać tylko na pewniaka!

Istotnie noc była gwiaździsta, pogodna, tylko lekki wietrzyk płynął z czarnego lasu i trącał o liście.

Wokoło brzmiały tysiączne odgłosy skoczków, w rodzaju naszych świerszczów, tylko tony ich były cieńsze i bardziej harmonijne. Od czasu do czasu przelatywały wielkie, jasno błyszczące świetliki, a promienie ich oświecały liście i kwiaty. Zaszumiały też chwilami w powietrzu inne nocne owady i na jasnem tle nieba widać było wielkie skrzydła ciem i szybki, cichy, zygzakowaty lot olbrzymich nietoperzy.

Z głębi czarnego lasu wyrwał się czasami rozpaczliwy pisk ptasi, to znów przerażony wrzask małpy, przy towarzyszeniu przeciągłych, skarżących się jęków szakala brazylijskiego.

Na razie Jasiek utopił oczy i uszy na grzędach warzywnych, przed kukurudzą, odległych od niego o jakie siedemdziesiąt kroków. Ale to naprężenie zmęczyło go, oparł się tedy o pień drzewa i spokojnie czekał na wschód księżyca.

Wśród ciszy posłyszał szelest potrącanych roślin. Odwrócił się i ku swemu zdumieniu, ujrzał przed sobą Kasię.

— A ty tu czego? — szepnął.

— Cicho, nie mogłam usnąć, nie zdradź mnie. Zostanę tu, dobrze?

— Wleź na drzewo i ani się rusz, bo zwierz ucieknie.

Wspięła się na drzewo, usiadła na grubej gałęzi, rękami objęła wyższy konar, a nogi spuściła tuż nad głową Jaśka.

— Był już? — spytała cichutko.

— Nie, nie mów ani słowa.

Minęła może godzina. Jasiek z nudów patrzał zrazu na pole, potem na niebo, na którem przepięknie błyszczał na północy wielki krzyż, a od niego ku południowemu wschodowi gwiazdozbiór tworzący mały krzyż. Wreszcie pokazał się księżyc, światło jego posrebrzyło wierzchołki drzew leśnych, padło na pola i grzędy. Cienie zarysowały się ostrzej i pociemniały.

Całodzienna praca i natężone wyczekiwanie zmogły Jaśka i zmorzył go sen. Wsparł głowę o pień, w ręku trzymając strzelbę i usnął.

Wtem bydło w oborze poruszyło się niespokojnie, na dziedzińcu zaszczekał pies lękliwie, widocznie wiatr od lasu przyniósł woń zbliżającego się wroga.

Kasię, która nie spała, zdziwił ten nagły

Jaguar wyprężył się, gotując się do skoku... (str. 49)

niepokój, a nie chcąc mówić, opuściła bose nogi na głowę śpiącego Jaśka i nacisnęła.

Wzdrygnął się, natychmiast strząsnął sen ze siebie, wyprostował się i oczy utkwił w cień czarny, rzucony na grzędy przez wysoką kukurudzę.

Nagle ujrzał dwa błyszczące ogniki w głębokim cieniu. Zrazu myślał, że to świetliki, ale te żółtawe blaski nie ruszały się z miejsca. Zadrżał z uciechy i niecierpliwości, domyślił się, że to oczy wielkiego kota. Bez szelestu podniósł strzelbę w górę, przyłożył twarz do łożyska i błyszczące oczy wziął na cel.

Ogniki owe poczęły się ruszać na prawo i lewo; Jasiek już uspokojony, rozważał, że strzał na jakie siedemdziesiąt kroków nie jest zawsze pewny, postanowił tedy czekać.

Spojrzał w górę ku Kasi i palec przyłożył do ust, poczuł bowiem drżenie konara, na którym niecierpliwiła się dziewczyna.

Błyszczące ślepia zrobiły kilka kroków naprzód i przystanęły, rozglądając się wokoło.

I znów zbliżyły się do grzęd, a z głębokiego cienia wysunęła się na światło, olbrzymia paszczęka z białemi zębiskami.

Nagle cała postać wygięła się, jaguar, on to był bowiem, wyprężył się, gotując się do skoku, ażeby w dwóch susach skoczyć do obory.

Tę chwilę upatrzył Jaśko na strzał. Nacisnął, rozległ się ogłuszający huk i równocześnie

przerażający grozą ryk ranionego jaguara. Na mgnienie oka przypadł do ziemi, lecz porwał się, a ujrzawszy swego wroga, zrobił skok w stronę Jaśka.

Ten nie stracił zimnej krwi, i gdy jaguar, gotował się do drugiego skoku, ażeby dosięgnąć strzelca, Jasiek strzelił z drugiej lufy.

Raniony zwierz skręcił się, zaryczał przeraźliwie, przystanął, długim ogonem uderzał o boki i rozdziawiwszy krwawą paszczękę szedł na Jaśka.

— Boże wszechmogący! — jęknęła przerażona Kasia.

Jasiek odrzucił strzelbę, pochwycił z za pasa pistolet, i o jakie dziesięć kroków strzelił w paszczę jaguara.

Zwierz zaskowytał z bólu, sekundę stał, nagle się zwrócił i włócząc zadnią nogą pobiegł w kukurudzę.

— Trafiłeś! — zawołała Kasia zeskakując z drzewa — gońmy go!

Jasiek schwycił ją za rękę i rzekł:

— Miej zastanowienie! Lecieć po nocy .. w krzaki, w gąszcz... ranny jest jeszcze straszniejszy.

— Chcesz go wypuścić?!

Wyrywała mu rękę.

— Rankiem go znajdziemy.

Na odgłos trzech strzałów, przybiegł Maciej, a widząc Kasię, zawołał:

— A ty co tu robisz?

— Nie mogłam usnąć — powiedziała z nieśmiałością.

Wtem posłyszeli wołanie Maciejowej z ganku domu:

— A co? Czyście żywi?

— Widzi tatuś, i mama się przebudzili.

— Ale z izby wyszła – mruknął, a głośniej dodał:—Żyjemy!... wracamy! – i spytał Jaśka:— do czego strzelałeś?

— Do jaguara.

— Ejże? czy tylko nie zwidziało się tobie?... bo przecież i ja byłbym go dostrzegł. Ryk słyszałem, ale może to był inny zwierz.

— Naprawdę tatusiu, to był straszny jaguar—upewniała Kasia.

— A ty skąd wiesz?

— Widziałam na własne oczy — zapalała się,—raz strzelił, a ten nic, tylko ryknął i skoczył ku nam.

— Jakto ku wam? Gdzież byłaś?

— Spać nie mogłam i wybiegłam trochę na przeszpiegi.

— Jakim sposobem dojrzałaś go?

— Z tego drzewa—szepnęła.

— No, no, dostaniesz ty od matki!

— A przecież tatuś mnie nie przeskarżą?

— Gadać nie będę, ale i tak wywie się matka.

— Ej, nie... ja nie powiem, Jasiek także,

a tatuś też obiecali.. Ale żebyście widzieli, jak nie skoczy zwierz po drugim strzale, myślałam, oho, już po nas.. czułam jak gorąco buchało mu z pyska, ozór wywalił, zęby wyszczerzył... ale Jaśko nie taki, jak myślałam, z pistoletu: buch! a ten w nogi...

— Chwała Bogu, że się tak skończyło, pewno go raniłeś, to może nie wróci.

— Ale z pewnością ranny... leży w kukurudzy, w same gardło dostał—chodźmy a znajdziemy go.

— Widzisz ją, jaka skora! — zaśmiał się ojciec,—ale ty, Jaśku, spisałeś się dzielnie, czy ręka ci drżała?

— Z początku trochę, ale po pierwszym strzale ani drgnęła... jednak szelma twarde ma życie, trzy kule wpakowałem, a ten się powlókł.

— Kiedyż przyjdziecie? — zawołała gospodyni z ganka, — śniadanie uwarzone, a Kasia z wami?

— Jestem mamo.

— Bardzoś tam potrzebna! Chodźcie!

Weszli do izby jasno oświetlonej wiszącą lampą. Na stole stały już przygotowane przyrządy do picia herbaty brazylijskiej.

U bogatszych, a do tych należał Maciej, dla każdego gościa było oddzielne naczynie, zwane kują. Jest to tykwa twarda i nieprzemakalna z gatunku dyni, oczyszczona i wygładzona wewnątrz. Do tej kui wsypuje się trochę her-

wy, cukru i zaparza się wrzątkiem, a pije się tę herbatę przyrządem, zwanym bombą. Jest to rurka trzcinowa zakończona okrągłem sitkiem, ażeby listeczki nie zanieczyszczały rurki. Ten sposób picia herwy przyjęli też i polscy osadnicy od krajowców.

Prócz tego na stole leżał chleb, masło, ser i upieczone zimne kuraki.

— Pewnoście głodni —mówiła gospodyni— siadajcie i jedzcie.

Nie dali się prosić, prócz głodu byli zziębnięci, gdyż noce brazylijskie bywają chłodne. Do stołu zasiadła nietylko Kasia, ale i Hanka.

— Słyszałam straszny ryk—przemówiła gospodyni — już myślałam, że nieszczęście... i co to za zwierz?

— Ano, wielki kot—odpowiedział Maciej— co go nazywają jaguarem.

— I kto strzelał?

— Mów Jasiek—zachęcał gospodarz.

— Ja miałem to szczęście, że wyszedł na mnie — rzekł Jasiek - i strzeliłem pierwszy raz na jakie pięćdziesiąt kroków...

— Opowiedz od początku – przerwał mu Maciej.

— Ano, stoję pod drzewem, i trochę sen mnie zmorzył, aż tu czuję, że mnie coś...

— Zbudziło—dodała szybko Kasia zaczerwieniona, bojąc się, że Jasiek powie o jej nogach.

Zrozumiał Jasiek i trochę zmieszany mówił dalej:

— Tak, tak... zbudziło mnie szczekanie psa, w tem widzę na grzędach świecące ślipia...

Gdy Jasiek opowiadał przebieg polowania po drugim strzale, Kasia przeżywająca w wyobraźni to zdarzenie na nowo, dodała:

— A ta bestja prosto sunie z rozdziawioną paszczęką, aż mnie ciarki przeszły.

— Skąd ty wiesz o tem? — zawołała matka.

— Bom już nie spała.

— Skaranie boskie z tą dziewczyną, gdzie najniepotrzebniejsza, tam ona już jest. Kiedy ty się ustatkujesz?

— Iii, przyjdzie czas—odezwał się łagodząco ojciec — no, opowiadaj, Jaśku, dalej.

Gdy skończyło się opowiadanie, Maciej, kurząc lulkę rzekł:

— Jeśliś go tak silnie postrzelił, pewnikiem odechce się mu naszej obory.

— A ja pewna jestem, że zdechł i leży w kukurudzy — poruszyła się Kasia niespokojnie na krześle.

— Jużbyś pewnie pogoniła latawce, — gromiła matka—ale ani się waż... I jak ty wyglądasz? Rozczochrana, brudna, spódnica mokra... idź, umyj się, zaczesz włosy i zmień spódnicę.

Kasia szybko wyszła z izby, a Maciejowa zaczęła:

— Tak ją rozpuściłeś jak bicz dziadowski, co z niej wyrośnie?

— Eee, tylebym miał turbacji! — wzruszył Maciej ramionami i spojrzałna wielki wiszący zegar z wagami—niedługo i słońce się pokaże, a możebyś się Jaśku zdrzemnął.

— Ja nie senny, a skoro dzień, pójdę śladami jaguara, pewno broczył posoką, to go znajdę.

— Pójdę i ja z tobą... opatrz strzelbę.

Wzięli się do czyszczenia broni, nabili kulkami, i Maciej wyszedł na dziedziniec, ażeby zobaczyć pogodę.

— Gwiazdy już bledną i pogoda pewna... Matko, ja zostanę na kapoerze, a Kasia przyniesie mi jedzenie.

Porozmawiali chwilę i nagle izbę napełniło jasne światło dnia, przy którem płomień lampy wydał się mdły i brudny.

Już mieli wychodzić, gdy wpadła do izby Kasia i przymilając się ucałowała obie ręce matki prosząc:

— Matusiu, moja złota, pozwólcie mi ten jedyny raz pójść z tatusiem.

— Z tatusiem zawsze ci pozwalam, ale nie za jaguarem.

— Jeśli pozwoliliście mi być przy strzelaniu, to co mi zrobi zdechły?

— Ja ci pozwoliłam?—zdumiała się.

— Ale nie zakazaliście i nie gniewaliście

się na mnie... pozwólcie mi ten jeden, jedyny raz.

Matka zawahała się, trochę rozczulona tą prośbą, co widząc ojciec dodał:

— Po prawdzie nic jej nie grozi.

— Cóż mam robić? — westchnęła matka — idź już, idź, ale pilnuj się.

— Dobrze matusiu - ucałowała jej ręce i do ojca: — zaczekajcie chwilkę, przebiorę się, bo rosisko wielkie.

— Także coś nowego!?—zawołała matka,— tatuś ma czekać na ciebie, dopadniesz ich w polu.

Maciej z Jaśkiem wyszli, ale gospodarz szedł tak marudnie, że nim przyszli za oborę, Kasia ich dopędziła, wołając wesoło:

— I ja już jestem! Prawda, że w mig byłam gotowa?

— No, tak... ale teraz idź za nami... Zwierz może ranny leży i może się porwać.

— Dobrze, tatusiu... ach, ile tu krwi, a taka czerwona!

— Jak zwykle krew— zaśmiał się Jasiek— przecież nie bywa zielona.

— Drwinki ci w głowie, a byłbyś prześlepił jaguara, gdyby nie ja.

Jasiek, poczuwając się do winy, umilkł i pilnie śledził krwawe tropy rannego zwierza.

Z wielką ostrożnością przeszli przez zagony kukurudzy i przekonali się, że jaguar powlókł

się wgęste zarośla. Z trudnością przebili się przez nie i ujrzeli, że trop prowadził w las.

— Wróćmy - doradzał Maciej — niedopadniemy go, powlókł się milami.

— Ach, tatusiu, on pewno leży na skraju, chodźmy!

— Nie uszedł daleko — odezwał się Jaśko,— a skóra dobrze się płaci.

Przed nimi była zielona ściana, którą tworzą gęsto splątane liany niedopuszczające wejścia. Kto chce wejść do lasu, musi wpierw utorować sobie ścieżkę, nazywaną z brazylijska pikadą.

Obznajomieni z tem, oba wyjęli z pochew długie i ostre noże, tak zwane faki i poczęli przecinać liany na szerokość człowieka. Przedarli się wreszcie do lasu, a Kasia zawołała:

— Jak tu ciemno! Nawet nieba nie widać!

Istotnie, w lesie panowało zielonkawe, przyćmione światło, gdyż na wierzchołkach drzew rozpostarta była gęsta powłoka z lian, niedopuszczająca promieni słońca do wnętrza.

To też spód lasu, zarzucony zwiędłemi liśćmi był wilgotny i wydzielał mdły zapach gnijącej roślinności.

Żadnej trawy, kwiatka, tylko bronzowe, zwiędłe podłoże, a z drzew zwisały, na kształt wężów, długie wypustki lian; często skłębione, zagmatwane, zagradzały dalszą dro-

gę, trzeba było torować ją sobie tnąc znów ostrą faką.

W lesie panowała niemiła cisza, żadnych śpiewów ptasich, brzęczenia owadów, skoków wiewiórek, kucia dzięciołów, tylko cmentarzysko gnijących liści i jednostajne trupie światło.

Od czasu do czasu, gdzieś na niewidzialnych wierzchołkach zaskrzeczały papugi, odezwał się piskliwy gwizd pieprzojadów t. z. tukanów, to znów doleciały krzyki wyjców.

Przedzierali się już z dobrą godzinę przez las po tropach, aż zniechęcony Maciej stanął i zawołał.

— Dość tej mordęgi, nie stanie skórka za wyprawę, wracajmy!

Kasia, nachmurzona, przystanęła, ale Jasiek udał, że nie słyszy i szedł dalej, tnąc faką na prawo i lewo.

— Jasiek! Wracaj!

— Nie mogę być wam posłuszny, ojcze Macieju. Zmitrężyliśmy sporo czasu i czy ma to być po próżnicy? Za kilka minut, za kwadrans znajdziemy go... O, patrzcie, ledwie się wlókł, tu przystanął, nawet legł i zostawił kałużę krwi.

Maciej obejrzał wskazane miejsce i w milczeniu szedł dalej za Jaśkiem.

Wtem, wśród chwilowej ciszy, gdzieś z ponad wierzchołków odezwały się chrypliwe nawoływania ptasie.

Maciej przystanął i po krótkiem nasłuchiwaniu rzekł:

— Korwo! Padlina musi być blizko!

Korwo, z brazylijska, nazywają osadnicy czarnego sępa, żywiącego się wszelaką padliną. Ten ptak w gorącym klimacie jest prawdziwym dobroczyńcą ludzi i nikt go nie zabija. Jest to jedyny, bezpłatny urzędnik sanitarny po miastach i osadach brazylijskich. Obdarzony nadzwyczajnym węchem, natychmiast zwołuje się w gromadę, leci na żer, i usuwając nader szybko rozkładającą się padlinę, zapobiega bezzwiednie zanieczyszczeniu powietrza.

— To napewno nasz jaguar!—zawołał Jaśko uradowany i przyśpieszył kroku.

Istotnie, w jaki kwadrans doszli do miejsca, oplątanego lianami, i pierwszy Jaśko dostrzegł leżącego jaguara zwiniętego w kłębek.

— To on!—krzyknął.

— Ostrożnie! Pistolet w garść! — upomniał Maciej.

Lecz zanim skończył to zdanie, Kasia niecierpliwa podbiegła i nogą trąciła leżącego.

Z widocznym wysiłkiem umierający zwierz zerwał się jeszcze, kłapnął zębami i przednią łapą pochwycił za spódnicę dziewczyny. Szarpnięcie było tak silne, że Kasia się zachwiała i już miała wpaść w szpony i zęby strasznego zwierzęcia, gdy Jasiek podskoczył, odrzucił w bok Kasię i sam do jaguara gotującego się

do napadu strzelił z pistoletu. Strzał był niespodzianie szczęśliwy, kula bowiem przez oko dostała się do mózgu i po kilku gwałtownych drganiach, jaguar leżał nieżywy.

Kasię leżącą na ziemi podnosił ojciec pytając troskliwie:

— Nie skaleczył cię?

— Nic mi tatusiu, tylko trochę strachu się najadłam, odpowiedziała jeszcze blada, ale uśmiechnięta.

— A ostrzegałem, ale ty taka nieusłuchana! Toż mógł cię zdusić jak kurczę.

— Ale nic mi!... A dlaczego mówiliście, że skoro są korwy, jest i padlina?

— Pewno już poczuły krew, którą broczył i przyleciały... Całe szczęście, że Jaśko był w pobliżu, dziękuję ci chłopcze! No, a ty Kasiu!

— Za to żeś mną rzucił jak piłką nie dziękuję, ale żeś mnie wyrwał z pazurów, dobrze zrobiłeś—i spojrzawszy w dół zawołała, — ach, Boże! Co też matusia powiedzą? — podniosła rozszarpaną spódnicę — dobrze, że stara, ale i tak będą swarzyli.

I z miną zmartwioną oglądała spódnicę.

— Nie za spódnicę — rzekł ojciec — ale że popadłaś pod łapę jaguara.

— O, tego nie powiecie tatuniu! - zawołała z żywością.

— Dlaczegoby nie?

— Raz, żem się dosyć nastrachała, a potem, że matusia na was by się gniewali, żeście mnie nie dopilnowali.

— No, no, zobaczymy!

Odwrócił się, ażeby nie dojrzała śmiechu.

Jasiek przez ten czas przypatrywał się zabitemu jaguarowi.

Podobało mu się uwłosienie i kolor, owe centki czarne na tle żółtawem. Szukał śladów kul.

— Patrzcie!... Kasiu! Wiesz, ta kula z pistoletu pod drzewem przeszła bokiem... o! jedną nogę, zadnią, ma zranioną... i na boku skóra rozerwana, i jak głęboko! Dopiero ostatnia dobiła go.

Spróbował podnieść jaguara, ale nie mógł.

— Ho, ho, ciężka szelma, ledwie trochę dźwignę... chyba tu obłupimy go ze skóry.

— Nie inaczej - rzekł Maciej, zrzucił marynarkę i zakasał rękawy.

Dużo czasu i pracy zajęło im ściągnięcie skóry, a zaledwie byli w połowie roboty, gdy po przez gęstą plątaninę lian u wierzchołków drzew przedarły się korwy i usiadły bez bojaźni opodal, spoglądając chciwie na padlinę i podskakując niezgrabnie.

Kasia rzucała im patrochy i kawałki mięsa, które pożerały chciwie, widocznie z wielkiem zadowoleniem, co cieszyło dziewczynę.

Wreszcie ściągnięto skórę ze zwierza i rozesłano na ziemi. Był to stary samiec, jeden z większych, skóra jego bowiem od pyska do nasady ogona miała długości półtora metra, a sam ogon sześćdziesiąt dziewięć centymetrów.

Ze skóry zrobił Maciej węzełek, okręcił go lianami jak sznurami, a Jaśko zarzucił go sobie na plecy.

Wrócili do domu na obiad, a gdy Jaśko wybierał się do siebie, rzekł Maciej:

— Bierz skórę, zarobiłeś ją sumiennie, sam ustrzeliłeś i pierwszy dostrzegłeś zdychającego.

Kasia nie bez żalu spojrzała na piękne futro i westchnęła. Spostrzegł to Jasiek i powiedział z uśmiechem:

— Na waszej kolonji, ojcze Macieju zabiłem tego zwierza i wam się należy ta skóra, ale skoro mi robicie prezent, przyjmuję.

Kasia znów westchnęła, a Jaśko mówił dalej:

— Jako skóra jest moja, mogę nią rozporządzać wedle mojej woli?

— A możesz, dorzucił Maciej.

— Tak ofiaruję ją tobie, Kasiu, boś ty niemało pomogła.

Domyśliła się dziewczyna, co miał Jaśko na myśli, ale milczała i zaczerwieniona spojrzała na matkę.

— Co taki dzieciuch może pomódz! uśmiechnęła się Maciejowa — a skórę tę bierz, Jaśku, przyda ci się.

Nastąpiły jeszcze ceregiele, lecz wreszcie skóra została dla Kasi.

— Zachodź Jaśku do nas—zapraszał gospodarz chłopca na odchodnem — będziesz nam zawsze miłym gościem!

— Bylem tylko mógł, to chętnie przyjdę— odpowiedział chłopiec.

— No idź teraz z Bogiem, i pamiętaj o nas— dodała Maciejowa.

Wilhelm Kostriner.

Wieść o nocnej zasadzce na jaguara i o tak skutecznych strzałach rozniosła się szybko, nietylko na piątym kilometrze, ale i na innych. Wszyscy byli ciekawi czy szkodnik zabity i czy zbójecki sąsiad przestał być niebezpiecznym.

To też gdy ujrzano Jaśka ze strzelbą na drodze, w czas roboczy, zaczepiali go ci i owi z przydrożnych domów, pytając o zwierza.

Jasiek nie bez dumy odpowiadał:

— Jaguar zabity, skóra z niego u Macieja Brzozy, możecie być spokojni o wasze obory.

— A któż go uśmiercił?

— Poszczęściło mi się i ustrzeliłem go.

— No, no.. nie wiary! — mówili jedni, a drudzy znów:—Taki chłopak młody, a starym strzelcom dorówna!

I taka paliła ich ciekawość, czy Jasiek prawdę mówi, że co gorętsi z dzieci i dziewuch pobiegli do kolonji Macieja.

Gdy Jasiek przechodził obok domu Kaczeńców, Klimek jako wypoczywał po nocnej stróży, dojrzawszy go, krzyknął:

— Jasiek! Bywaj tu! Cóż było?

Zaszedł Jasiek do niego i opowiedział mu wszystko, zamilczał tylko, że go Kasia snem zmorzonego zbudziła, bo jak sobie rozważył, nie wypadało rozpowiadać o Kasi siedzącej nad nim na drzewie.

Już na przedwieczerz się zebrało, gdy Jasiek wszedł do swego domu. Pierwsza spostrzegła go macocha i zawołała gniewliwie:

— A gdzie ty się włóczysz nicponiu? I w nocy cię nie było, i dzień gdzieś przebarłożyłeś. Cóż ty sobie myślisz?

— Nie swarzcie — zbliżył się do ganku — stróżowałem u Macieja Brzozy na piątym kilometrze, bo mu onegdaj jaguar porwał prosiaka. No, i zabiłem bestję.

— Innym ćmij oczy, nie mnie! Pewno włóczyłeś się z lampartami od wendy do wendy... Umyśliłeś sobie bajkę o jaguarze. Kłamiesz bezczelnie, ty wyrzutku rodziny!

Aż zachodziła się z wielkiej pasji.

— Kiedy kłamię, to i [illegible]wa nie powiem.

Zaciął usta.

— Nic nie robisz, leniu! — krzyczała dalej — kapoera porosła, a ty łajdaczysz się, darmozjadzie.

— Będzie na czas — mruknął.

— Nie potrzebuję twego czasu, ruszaj sobie w świat, nie będę cię darmo karmiła. Od dziś dom mój dla ciebie zamknięty!

— A zamknijcie sobie wasz — mówił rozdrażniony—ale dom mego ojca musi być otwarty dla mnie.

— Co ty mówisz, zbóju jakiś?

— Tyle domu, gospodarstwa i ziemi jest tu waszej, ile mojej.

— Ach, ja nieszczęśliwa!—uderzyła w płacz— i to za moje starania, opiekę, za dobre serce... Bóg cię pokarze za moją krzywdę.

Wzruszył się Jaśko, pomnąc, że za życia ojca nie była zła i rzekł łagodniej:

— Nie dogryzłbym wam słowami, gdybyście tak nie wydziwiali, ale i cierpliwość ma swój koniec.

Na krzyk matki wybiegły z izby dzieci: dziewczyna Marysia, lat dziewięciu i sześcioletni Franek. Widząc matkę płaczącą, przytuliły się do niej, a dziewczynka dopytywała się troskliwie:

— Mamo, co się stało? Czego płaczesz?

— Jakże nie mam płakać — mówiła wśród szlochów — kiedy ten oto wyrodek — wskazała na Jaśka — chce mnie i was puścić na żebry. Wydziera mi moją krwawę pracę, wypędza z domu...

— Jasiek!?— zawołała Maryś zdumiona — to nie może być!

— I nie jest, Maryś,—rzekł chłopiec—gdzieżbym ja was skrzywdził? Czy nie jestem dobrym bratem dla ciebie? Biłem cię kiedy? Wymyślałem tobie?

— To nie .. ale dlaczego dokuczasz mamie? Niedobry jesteś... nie lubię ciebie, i nic nie chcę od ciebie — mówiła na wpół z płaczem — zabierz sobie i ten koszyczek z pancernika.

Ten koszyczek z pancerza zwierzątka był dumą i radością Marysi; postanowiwszy go oddać, na myśl o tej stracie, uderzyła w głośny płacz.

Naturalnie i mały Franek, widząc matkę i siostrę płaczące, uznał za stosowne rozbeczeć się głośno.

Jasiek nie znosił płaczów, aż tu nagle wszystko troje przelewało łzy przed nim. Stał niezdecydowany, zmieszany i myślał: zapewne bardzo coś zawiniłem, gdy wszyscy płaczą, jak na pogrzebie.

Wspomnienie pogrzebu łączyło się z ojcem, i poczuł skruchę, że on, ich opiekun, jest powodem ich łez.

— Maryś, Franek, cicho! —powiedział łagodnie — przyniosę wam ptaszków. I wy przestańcie—zwrócił się do macochy—jak mi Boga przy skonaniu, nie miałem na myśli nic złego... Ot z prędkości i gniewu wyrwało mi się niepotrzebne słowo. Nie gniewajcie się!

— Teraz to przepraszasz, a chciałeś mnie wypędzić z dziećmi!

— Przysięgam wam na Mękę Chrystusową, że mi to w głowie nie postało. Jako ojciec kazał, będziem siedzieć i zawsze wy będziecie gospodynią i panią w tym domu.

— I nie będziesz żądał swej połowy? — spytała spokojnie.

— Zmiłujcie się, a jakim prawem? I lat nie mam, i żadnej ochoty po temu.

— A jak dojdziesz swego wieku?

— To i co? — zaśmiał się. — Marysię zamąż wydamy, a z Frankiem będziemy gospodarowali.

— Pamiętaj, że przysiągłeś, a Pan Bóg strasznie karze krzywoprzysięstwo!

— Wiem, i co rzekłem, to dotrzymam.

— Pewnoś głodny, jest coś z obiadu, zjedz. Poszła do kuchni.

Marysia zmartwiona i zaniepokojona zwróceniem koszyczka, widząc, że zgoda nastała, zwróciła się do Jaśka:

— Słuchaj, ale koszyczka nie weźmiesz?

— Cóż znów? jeśli raz ci podarowałem, to na zawsze twój.

— A ptaszki przyniesiesz? — upomniał się Franek.

— Przyniosę.

Wszedł do sieni i na swój tapczan rzucił strzelbę i torbę.

Nagle obaczył drzwi otwarte do izby, zazwyczaj zamknięte, służyła bowiem za śpiżarnię. Zajrzał i zdumiał się, obaczywszy tam zasłane łóżko, stolik i krzesła. Zrazu sądził, że zakwaterował się do izby Herman Haderwald i niezadowolony spytał Marysię:

— Czy wuj nie odjechał?

— O, jeszcze wczoraj, przed wieczorem.

— A dla kogóż ta izba?

Na to pytanie weszła do sieni gospodyni i powiedziała:

— Zaraz ci rozpowiem, siadaj i jedz. Masz fiżon okraszony.

Postawiła talerz z czarną fasolą na stole.

— Nie bardzom głodny — zasiadł — bo nakarmili mnie u Macieja Brzozy.

— To naprawdę byłeś tam?

— Byłem.

— I zabiłeś jaguara?

— Jakom rzekł.

— A skóra gdzie? —spytała szybko.

— Darowałem Kasi Brzoziance.

— Darowałeś!? — zgorszyła się macocha — alboż ty nie masz domu własnego? Siostry? Taka skóra dobrze się płaci i poco ta darowizna?

— Widziałem, że jej się zachciało, a ona taka dzielna, gdyby nie spódnica wziąłbym ją za chłopaka.

— Jakaż ona? Ładna?

— Alboż wiem? — odpowiedział obojętnie— czarniawa, wyrośnięta, ale ciekawa do polowania.

— Ileż jej lat? — patrzała podejrzliwie.

— Nie wiem, może piętnaście, może więcej albo mniej.

— I jak tam u tych kolonistów?

— Ho, ho, dostatek — odsunął talerz z niedojedzoną fasolą.— Na wieczerzę herwa, chleb, masło, cielęcina na zimno, z tego cielaka, co go zdusił jaguar.

— Ale to prości ludzie... chłopi! — rzekła wzgardliwie.

— Jako i my.

— No, nie ja!— rzekła z godnością.

— A tak, wy miejska... Dla kogóż ta izba przygotowana?

— Przyjęłam parobka do pomocy. Tobie ciężko samemu, ja nie mam czasu, a szkoda marnowania ziemi.

— Parobka przyjęliście!? — zdziwił się — i któż to taki?

— Krewny mego brata, Wilhelm Kostriner, przyjechał z Europy.

— I rolnik z niego?

— Nie wiem, ale chce pracować na roli, to niech pracuje.

— Ileż mu płacicie?

— Dziesięć milreisów na miesiąc i życie.

— Hm... nie bardzo drogi, czy on Niemiec?

— Jako i ja, ale rodził się na kaszubskiej ziemi, to zna wasz język.

— Jeśli on robotny, dobrze zrobiliście, bo na mnie samego za ciężko było. A gdzież on teraz?

— Pojechał z bratem do Bismarksdorfu po swoje rzeczy.

— Naszemi końmi?

Zachmurzył się.

— A tak... mojemi — powiedziała z naciskiem.

— Nie mógł się przysiąść z furmanami? Taki świat gnać konie!? Kiedyż wróci? Chyba jutro, bo to z okładem sześćdziesiąt kilometrów po złej drodze.

— Może dziś, może jutro... dlaczego nie jesz fiżonu?

— Nie głodnym.

— Nie smakuje ci po chłopskich przysmakach — zadrwiła, zabierając talerz — ale jutro zjesz.

— Jak będę głodny, to zjem.

Wszedł za macochą do sieni, wziął kapelusz i strzelbę w rękę.

— Znów idziesz na włóczęgę! — zawołała surowo.

— A coż mam robić? Pójdę w pole.

— Posiedziałbyś w domu, zabaw dzieci, nudzą się, a ja pójdę po krowy.

— Sam przyżenię je do obory.

I nie czekając jej narzekań, wyszedł.

Chciał zostać sam, bo nie zdając sobie sprawy, poczuł wielki niesmak i przykrość w domu, a tak mu było dobrze i miło u Macieja.

Wyszedłszy na uprawne pole, przypomniał sobie swój obowiązek gospodarza. Obejrzał zboże, kiście kukurudzy i przyszedłszy na pastwisko krów, wziął je obie na postronek i pognał do obory.

Nagle uszu jego doszedł turkot wozu; zaciekawiony, zajrzał na obejście i ujrzał wjeżdżający wóz, zaprzężony końmi ich własnego chowu, a na wozie mężczyznę dość grubego, z kwadratową twarzą i skąpym zarostem na mięsistej górnej wardze i na brodzie.

Konie były srodze zmęczone, robiły bokami, a tak spocone, jak gdyby wyszły z wody.

Jasiek lubił konie, to też oburzył się na takie zgonienie i podszedłszy szybko do wozu, zawołał z gniewem:

— Jak można tak gnać konie!? Tylko warjat albo głupiec może zrobić coś podobnego! — a widząc macochę stojącą na ganku, dodał: — zwymyślajcież go, bo pomarnuje nam konie!

Wilhelm zlazł z wozu i spytał gospodynię po niemiecku, co to za chłopiec?

— Mój pasierb, o którym wam mówiłam— odpowiedziała w tym samym języku.

Wilhelm nasrożył się i krzyknął:

— Ty klupi klopa! Konie do stajni, wóz do szopa!

Jasiek aż oniemiał, ale spojrzawszy na zbiedzone konie, nie chciał wszczynać kłótni, tylko zaklął z cicha i powiódł konie wraz z wozem w stronę obory.

Wilhelm, dumny z posłuszeństwa Jaśka, zwrócił się z uśmiechem do gospodyni:

— Mówiliście, że leń, a usłuchał mnie i robi co każę. Na Polaków tylko z góry, a kładą uszy po sobie.

— Aż mi dziwno—powiedziała — widać, że chłopiec potrzebuje silnej ręki.

— Gdzie moja izba, gospodyni?

— Już gotowa... a wasze rzeczy?

— Prawda — i krzyknął w stronę Jaśka — hej! klopa, przynieść mój mantelzak do cymry!

Jasiek rozkiełznał konie, zdejmował chomąty, udał, że nie słyszy. Wilhelm wszedł na ganek, odwrócił się i krzyknął gniewnie:

— Zaraz przynieść, bo będzie źle!

Znów żadnej odpowiedzi. Tymczasem Jasiek wiechciem ze słomy wycierał konie.

Wilhemowi zabłysły pasją małe zielonkawe oczy i mruknął:

— Trzeba nauczyć szelmę!

— Dajcie spokój, poco te awantury—przemówiła gospodyni.

— Taką hardość trzeba zaraz ukarać, niech

wie, że że mną niema żartów — odpowiedział z wielką zawziętością.

— Na drugi raz — uspakajała go gospodyni — sposobność się znajdzie.

— Ja z rozkazu brata waszego mam go trzymać krótko, na hardość taką nie pozwolę. Nawet nie odpowiada, chociaż wołam.

I ciężko stąpając, szedł w stronę szopy, do której Jaśko wóz wtaczał. W pół drogi przystanął i krzyknął:

— Wiesz ty, lajdak, co rozkaz?

Żadnej odpowiedzi.

— Ja ciebie nauka dam.

Zbliżył się, o ile mógł szybko do Jaśka. Macocha i dzieci patrzały ciekawie z ganku.

— Czy ty głucha klopa? — stanął przed nim—zaraz przynieść mój mantelzak!

— A to sobie bierz sam Szwabie jakiś — odrzekł Jasiek, pokrywając gniew śmiechem.

— Co!? — wrzasnął Niemiec i rzucił się na Jaśka, lecz ten uskoczył, a Wilhelm popchnięty własnym ciężarem zatoczył się i siadł ciężko na ziemi.

— Ciepło ci, małpo zielona? — śmiał się Jasiek wesoło, a dzieci z ganku wtórowały mu głośno. Nawet gospodyni chciało się śmiać, lecz zawołała surowo:

— Jasiek! Przynieś rzeczy, a wy, Wilhelmie, uspokójcie się!

Jednak Niemca rozsierdził nietylko śmiech

Jaśka i dzieci, ale i upadek. Trzymając się jedną ręką za stłuczoną część ciała, podniósł się niezgrabnie, wrzeszcząc łamaną polszczyzną:

— Ty lajdak, rozbójnik, ja tobie kości polamać!

Jasiek przez ten czas rozważał co lepsze, czy, nie czekając dalszych awantur, oduczyć Wilhelma od podobnego wymyślania i zamiarów bicia, czy też przeczekać jego pasję i rozmówić się z nim spokojnie.

Zdecydował się na drugie, bo widział przed sobą chłopa mocnego, z ciężką ręką. Cofnął się tedy ku drzewu, oparł się o gruby pień i zawołał:

— Nie zabierajcie się do bicia, bo wy tu parobek u macochy, a ja syn gospodarski!

— Ja tu gospodarz i nauczę ciebie, ty verfluchter Polak! – biegł niezgrabnie ku Jaśkowi – ty tchórz! ty zając!

Wprawdzie Jaśkowi błysnęła myśl ucieczki, ale gdy słuchał tych wymysłów, opanował go zawzięty gniew, i, nie czekając aż Wilhelm go dopadnie, podbiegł do niego i użył fortelu chłopców. Wilhelm nie zorjentował się i widząc Jaśka biegnącego przeciw niemu, na pół schylonego, postanowił schwycić go za kark i biciem ukarać.

W tej chwili dopadł go Jaśko, uderzył głową brzuch i wyprostował się.

— Aj, aj! Moje kiszki!—wrzeszczał Niemiec,

który cudem utrzymał równowagę i chwyciwszy się za brzuch obu rękami, jęczał głośno.

— Nic wam nie będzie — uśmiechnął się Jaśko — tylko trochę poboli, chcieliście bitwy, to ją macie. A teraz, chcecie zgody, to dobrze, a nie, to was faką naznaczę i odechce się wam bójki — wyjął długi nóż z pochwy.

Wilhelm, sam bezbronny, spojrzał nienawistnie na Jaśka, na nóż błyszczący i syknął:

— Jeszcze mnie poznasz!

Odwrócił się, wziął swe rzeczy z wozu, i zwolna postępując, poszedł ku gankowi.

— To łotr i zbój — powiedział do gospodyni—dziwi mnie, że was dotychczas nie zamordował.

— E, co znów gadacie!? Nicpoń jest, próżniak, obżartuch, to prawda, ale gdzieżby śmiał porwać się na mnie.

Wilhelm stanął przed nią, spojrzał w jej oczy surowo i rzekł z naciskiem:

— Wy macie wielki błąd i on was przyprawi o niechybną zgubę. To wam mówi wasz ziomek i krewny waszego brata. Poprawcie się, bo będzie źle!

To zdanie wypowiedziane stanowczym tonem zrobiło na niej wrażenie i z pewną nieśmiałością spytała:

— Co wy też wiecie o moich błędach? Znacie mnie tak krótko.

— Człowieka poznaje się w chwili próby, ja was przejrzałem i wiem, że grozi wam nieszczęście.

— Ale co? ale jak? — mówiła niespokojnie.

— Zginiecie nagłą śmiercią.

— Dajcie spokój... poco mnie przerażacie? — pobladła.

— To mój obowiązek, ja przywykłem spełniać, co do mnie należy, zresztą, zrobicie, jak zechcecie, ale ja tu długo popasać nie będę.

Słowo „obowiązek" i nagłe wypowiedzenie służby, przeraziły ją. A może istotnie grozi jej nieszczęście? może zginie? Cóż się stanie z jej dziećmi?

— Powiedzcież raz, co jest? Widzicie przecież moje wzruszenie.

— Co wam będę gadał tu na ganku, po takiej długiej podróży? Głodny jestem, spragniony... przy wieczerzy powiem.

Nie pozwolił siebie zatrzymać i poszedł do swej izby.

Gospodyni żwawo zakrzątnęła się około wieczerzy, a z myśli nie schodziły jej słowa Wilhelma. On może ma i słuszność, ona sama z dziećmi na kolonji, mogą zakraść się złodzieje, zbóje, a w oknach nawet krat niema, zamki we drzwiach słabe, kto zechce, to wejdzie. O, ona to musi zmienić! Da okute okiennice, a drzwi opatrzy sztabami. I co to znaczy zio-

mek, myślała z wdzięcznością, tylko co przyjechał, już pomyślał o jej bezpieczeństwie.

Rozczulona, dała mu kurę, a zupę z czarnej fasoli suto okrasiła słoniną i na uczczenie dnia przybycia postawiła piwo na stole.

Gdy Wilhelm zaspokoił pierwszy głód, odpowiedział wreszcie na nalegające zapytania gospodyni:

— Zważcie tylko dobrze na moje słowa, bo nie lubię powtarzać.

— Uważam... mówcie!

— Przyjeżdża do was krewny brata, z Europy, z Niemiec, uproszony przez was na gospodarza... i przy pierwszem spotkaniu jakiś smarkacz, głupiec i łajdak stawia mu opór. Mało tego, porywa się do bicia, i to kogo? Rozumiecie?

— Ale cóż ja winna temu?

— Tylko wy! Zamiast skarcić go, ukarać, wy pozwalacie dzieciom na śmiechy... No i co się dzieje? Oto taki osioł polski, na mnie, Niemca, porywa się z nożem i grozi zabiciem.

— Tak, tak... i co ja poradzę biedna, opuszczona kobieta?

— Otóż i wasz błąd, który was przyprawi o zgubę. Wy, jako prawdziwa Niemka, macie za dobre serce, za dużo wyrozumiałości. I ja byłem taki, ale życie mnie nauczyło i teraz wiem, że złe trzeba karać natychmiast i nie pozwolić mu się rozrosnąć.

Gospodyni zastanowiła się chwilę i przyszła do przekonania, że istotnie ma serce za dobre. Westchnęła głęboko, mówiąc:

— Tak, tak, mam serce.

— Ten wasz pasierb porwał się na mnie, mężczyznę, na Niemca, z nożem. Zważcie, że to Polak, a jednak ośmielił się!

— To prawda.

— Trzeba dać znać policji, żandarmerji, bo to zbrodnicza zuchwałość.

— Kiedy tu niema żandarmów, a policję tworzą sami koloniści.

— Co!? —krzyknął niema żandarmów, policji urzędowej! A to piękny kraj! — zaśmiał się—no, teraz się nie dziwię niczemu. Przecież w Prusach, taki Polak grożący nam, zginąłby w kryminale, a tu miałoby mu ujść?!

— Tak, tak, to kraj barbarzyński—westchnęła smutnie.

— Hm... ale poradzić musimy temu łajdakowi. Wiem, że chce was wyzuć z majątku, a teraz, zobaczywszy co się tu dzieje, nie wątpię, że on was zabije.

— Więc ratujcie mnie!

— Hm... namyślę się— nalał sobie piwa do kufla.

Wtem mały Franek rozpłakał się żałośnie i rozkrzyczał. Matka wstała pośpiesznie i po chwili przyprowadziła ze sobą syna i córkę, karcąc surowemi słowami Marysię.

— Cóż? Namyśliliście się, Wilhelmie?

— Już wiem – odrzekł. — Najpierw trz temu przeklętemu Polakowi odebrać broń, ten nóż błyszczący.

— Odebrać?... ale jak?

— Śpi przecież w sieni, wstanę w nocy i zabiorę. Nie wolno nieletnim posiadać bron a jak odbiorę, wytłukę go porządnie—uśmiec nął się.

— Hm... róbcie jak chcecie, ale ja do te go się nie mieszam —powiedziała po namyśle, bo z jednej strony dogadzało jej pozbycie się Jaśka, a znów nie chciała podniecać go przeciw sobie.

Marysia, która uważnie słuchałą tej rozmowy, szepnęła matce:

— Mamo, to przecież faka Jaśka.

— Co ona szepcze?—spytał Wilhelm.

— Ot dziecko, mówi, że nóż jego.

— A ty co się mieszasz do rozmowy starszych?— zawołał surowo — to nie twoja rzecz. Pilnuj swej lalki i nie bij brata!

Marysia niechętnie spojrzała na Wilhelma i milczała zaczerwieniona.

— Idź do izby!—rozporządziła matka—Wilhelm ma rację, ja mam za dobre serce!

Następnie wszczęła się rozmowa o gospodarstwie, póki znużony Wilhelm nie poszedł do swej izby.

Jakiś stanął na tapczanie z odwiedzionym pistoletem
(str 82).

Po dobrej chwili przyszedł Jaśko, zdziwiony, że mu macocha nie czyni wymówek, lecz nawet kazała Marysi dać mu fiżonu na wieczerzę.

Gdy mu dziewczynka podawała talerz, rzekł z dobrym uśmiechem:

— A wiesz, Maryś, nastawiłem sidła na papugę, jutro ją dostaniesz.

— Napewno?—zawołała ucieszona.

— Jestem pewny, że złapie się jedna, a może dwie. Raniutko pójdę w las i obaczę.

— W las? Jakże pójdziesz bez faki?

— Alboż nie mam? —zaśmiał się i dotknął rękojeści.

— Kiedy Wilhelm mówił, że ci odbierze.

— On!? Alboż mu ją oddam?

— Zabierze ci dzisiaj, jak tylko zaśniesz.

— Hm... nie bój się Maryś, nie dostanie jej.

Na wołanie matki dziewczynka odeszła, a Jasiek rozważał usłyszaną nowinę. Najprostszą rzeczą byłoby schować fakę, ale w takim razie byłby bezbronny wobec Wilhelma; umyślił tedy inny sposób, ażeby raz na zawsze uwolnić się od jego napaści.

Spokojnie, jak gdyby mu nic nie groziło, przygotował sobie pościel na tapczanie, fakę zawiewiesił na gwoździu i ułożył się do snu. Gospodyni, która miała zwyczaj sprawdzać, czy drzwi zamknięte na klucz, weszła do sieni, i nie

bez zadowolenia ujrzała fakę wiszącą jak zwykle nad tapczanem.

Jasiek czuł, że go sen morzy i ażeby uchronić się od nagłego zaskoczenia przez Wilhelma, wstał i cichutko ustawił grube polano drzewa pod drzwiami, tak, że przy otwieraniu musiało upaść i narobić hałasu.

Zasnął, trzymając w ręku pod nakryciem pistolet.

Po północy obudził go stuk padającego drzewa, lecz udał śpiącego i ani drgnął. Po przez przymknięte powieki dojrzał światło świecy.

To Wilhelm zbliżał się, boso, na palcach, do jego tapczana. Szedł zwolna, zatrzymując się chwilami, ażeby posłuchać oddechu śpiącego. Wreszcie stanął przed tapczanem, i trzymając świecę w lewej ręce, prawą wyciągnął po fakę z uśmiechem złośliwego tryumfu.

W tej chwili zerwał się Jaśko, stanął na tapczanie z odwiedzionym pistoletem i zawołał:

— Mam cię, złodzieju!

Wilhelm, widząc lufę pistoletu wymierzoną na niego, zbladł, zatrząsł się ze strachu i bełkotał niezrozumiałe słowa.

— Stój na miejscu, bo strzelam!—krzyknął Jaśko—co chciałeś ukraść?

— Ja... ja... nóż!

— I nie udało ci się!—zaśmiał się Jaśko— teraz pójdziemy do twej izby... zechcesz uciekać, albo krzyczeć, to zastrzelę.

Trzymając w ręku pistolet wymierzony, zeskoczył Jaśko z tapczana i cofając się w tył, rozkazał:

— Idź naprzód do twej izby.

Wilhelm zamagnetyzowany lufą pistoletu szedł, a po chwili prosił:

— Czy nie mógłbyś kurka spuścić?

— Nie!

— Przynajmniej nie trzymaj palca na cynglu, może być nieszczęście.

— Wątpię, czy śmierć twoja byłaby nieszczęściem! — zaśmiał się Jasiek.

W izbie, pod grozą wystrzału kazał Wilhelmowi usiąść za stołem i rzekł:

— Weź leżący ołówek i pisz, co ci podyktuję, ale wyraźnie.

Wilhelm, posłuszny, usiadł, mając oczy utkwione w pistolet.

— Jak się nazywasz?

— Wilhelm Kostriner.

— Pisz tedy— i dyktował: — Ja, Wilhelm Kostriner, wyznaję, że chciałem ukraść fakę, lecz schwycił mnie na gorącym uczynku Jaśko Łyskowski. Oświadczam pod przysięgą, że nie skrzywdzę tegoż Jaśka Łyskowskiego ani słowem, ani czynem, a gdybym się tego dopu-

ścił, może mi on w łeb strzelić... Czy już napisałeś?

Wilhelm blady, skinął głową.

— Teraz odczytaj głośno i podpisz.

Wilhelm skwapliwie spełnił rozkaz.

— Kładź się do łóżka! — rozkazał Jasiek.

Wilhelm zatrząsł się i szczękając zębami wybełkotał:

— Czy zabijesz teraz?

— Nie, teraz nie zabiję, zrobię to, gdy złamiesz dane słowo. No idź, kładź się!

Wilhelm powlókł się do łóżka, nie odrywając oczu od Jaśka. Ten wyjął klucz z zamka, wyszedł do sieni, i zamykając drzwi na klucz, rzekł:

— Teraz śpij, obudzę cię na robotę.

I zadowolony, uśmiechnięty, schował starannie papier z podpisem Wilhelma, położył się na tapczanie i zasnął.

Macocha nie śpieszyła się z budzeniem Jaśka, nie chcąc słuchać jego narzekań i pretensji za schowanie faki, aż wreszcie sam Jaśko przetarł oczy, otworzył drzwi wejściowe i spostrzegł, że już duży dzień. Ubrał się tedy pośpiesznie, wyjął z pod poduszki klucz, otworzył drzwi do izby Wilhelma i rzekł niby uprzejmie:

— Wstawaj, czas na śniadanie i na robotę.

Wilhelm był już prawie gotowy, spojrzał nienawistnie na chłopca i powiedział opryskliwie:

— Ja słucham gospodyni, nie ciebie.

— Niech i tak będzie—uśmiechnął się Jaśko—ale uprzedzam cię, że twoją kartkę złodziejską oddam na przechowanie przyjacielowi mego ojca, nie szukaj jej więc daremnie.

Poczem wyszedł z izby.

Wilhelm zgrzytnął zębami w bezsilnej złości i zamruczał:

— Jakież to podłe i chytre plemię!

Gospodyni, gdy Jasiek poprosił o śniadanie, spojrzała najpierw na fakę, a widząc ją przy nim, bardzo się zdziwiła; lecz pomyślała równocześnie, że pewno Wilhelm zaspał i nie zdążył wstać dość wcześnie.

— Tobie tylko jedzenie na myśli —swarzyła — a gdzie robota?

— Właśnie chciałem was prosić, ażebyście sami wyznaczyli nam robotę na kapoerze. Odmierzycie kawałek dla mnie i kawałek dla Wilhelma.

— A to co nowego? — ofuknęła - czy nie możecie razem pracować?.

— Ja nie chcę razem z nim ciąć fojsą, jeszcze zawadzę o niego — uśmiechnął się Jasiek — wolę oddzielnie, a nie zgodzicie się na moje, nie tknę kapoery, niech zarasta.

— Ach, ty niedobry chłopcze, zawsze uparty i nieustąpliwy. Wyrosłeś na lenia, na zakałę twego rodu!

— Wiem, wiem — zaśmiał się — no dajcie herwy, bo czas na robotę.

Zanim gospodyni podała śniadanie Jaśkowi, przyszedł Wilhelm i chmurny siadł przy stole.

Podeszła szybko gospodyni, rozlewając po drodze z pośpiechu herwę, obawiała się bowiem awantury między Wilhelmem a Jaśkiem.

Spojrzawszy na spokojnie siedzących, aż usta otworzyła z wielkiego zdziwienia i trzymając kubek z herwą, patrzyła na obu.

Jasiek wziął jej z ręki kubek, postawił przed sobą i odkrajał sobie kromkę chleba, mówiąc:

— Możebyście dali kawałek słoniny, albo masła do chleba.

— Dobrze... zaraz — powiedziała bezmyślnie i zwracając się do Wilhelma: — wam przyniosę kawy, bo nawykliście do niej.

Za chwilę wniosła kubek kawy, a Jasiek do niej:

— A moja słonina?

— Zachciewa ci się? — zakrzyczała — nic nie robisz, a objadasz mnie!

— Nie chcecie dać słoniny, dajcież mi kubek kawy, jak Wilhelmowi, cóż ja gorszego?

Gospodyni uznała w duchu rację Jaśka i powiedziała złym głosem;

— Dam ci już tej słoniny, zapchaj sobie gardło nienasycone.

— Do obiadu mi starczy, tylko dawajcie.

Po śniadaniu gospodyni poszła z nimi na kapoerę, odmierzyła dwa kawałki zarośnięte i z uśmiechem zachęcającym rzekła do Wilhelma:

— Jak widzicie sami, niewielki to kawałek, jestem pewna, że do południa skończycie, a ten wałkoń i do nocy nie upora się z tak małą robotą.

Wilhelm obejrzał wyznaczony dla niego kawałek kapoery i odpowiedział z przechwałką:

— Do południa nie skończę, ale za trzy godziny będę gotów, zobaczy ten polski... — zawahał się, bo na języku miał jakieś brzydkie słowo i poprawił się: — młokos, jak robi Niemiec.

— Wiem i ja, że wasz przykład może zachęcić tego darmozjada, a obiad przygotuję dla was dobry.

Uśmiechnęła się i odeszła.

Zaledwie zrobiła kilkanaście kroków, gdy zdjął ją lęk, że oni mogą się pobić, poranić, może nawet śmiertelnie. Wróciła tedy pośpiesznie do Wilhelma i rzekła:

— Proszę was usilnie, zostawcie na czas późniejszy ukaranie tego nicponia za jego bezczelność.

— Dobrze; zrobię to tylko na wasze prośby, z tego bierzcie miarę, jak was szanuję.

— Dziękuję wam -uśmiechnęła się wdzięcz-

nie, a do Jaśka zawołała surowo: · Słuchaj!... Jeśli kochałeś twego ojca, nie rozpoczniesz kłótni z Wilhelmem.

— Bądźcie pewni, że się nie pozjadamy i przyrzekam wam, że obydwaj zdrowo i cało powrócimy do domu.

— Pamiętaj, że przysiągłeś na pamięć ojca— dodała z powagą.

— Dobrze, pamiętam —i wyszedłszy zaczął ciąć fojsą gęstwinę krzaków.

Wilhelm w butach wysokich, z obawy węży, w spodniach aksamitnych i w kamizeli wełnianej, brudnoczerwonej, wziął się z zapałem do roboty i w pierwszym kwadransie znacznie wyprzedził Jaśka, który ciął równo, bez pośpiechu, spokojnie.

Słońce jednak brazylijskie, jak mówią doświadczeni robotnicy, ssie siły z człowieka. Już po pół godzinie gruby i tęgi Niemiec poczuł działanie tych promieni. Pot spływał z niego, zalewał mu oczy, w nogach czuł ociężałość, ręce omdlewały, a cięcia fojsy ześlizgiwały się na twardych a giętkich drzewkach.

Czuł potrzebę odpoczynku i usiadł w cieniu drzewa. Z zazdrością i gniewem patrzał na Jaśka, który, pogwizdując wesoło, ciął fojsą, jak się zdawało, bez żadnego wysiłku, a jednak robił się wyrąb coraz większy i szerszy. To tak podnieciło niemca, że zerwał się z miejsca, zrzucił kamizelę i porwał się do roboty.

Tym razem nie upłynął i kwadrans, a już czuł się wyczerpanym i był mocno spocony; zasapany poszedł w cień, mrucząc:

— Takiemu polskiemu djabłu niestraszne i słońce, on przywykł do ognia.

Jaśko po pewnym czasie usiadł na spoczynek.

— No, jak ci tam idzie? — zawołał.

— Źle!—odkrzyknął Wilhelm — daliście mi tępą fojsę, nie bierze... Gdybym miał twoją, zobaczylibyśmy, kto lepszy!?

— Tak? Więc bierz moją! Spróbujemy się!

— Zgoda, tylko wypocznę.

Zamienili się na fojsy i po pewnym czasie wzięli się do cięcia.

Wkrótce Wilhelm zaklął, podszedł do Jaśka i zawołał:

— Oddaj mi moją fojsę, twoja djabła warta.

— A widzisz! Bierz swoją!

W południe Jaśko w trzech czwartych urobił swój dział, gdy Wilhelm z wielkim wysiłkiem ściął zaledwie jedną trzecią.

Gospodyni zainteresowana postępem w robocie, przyniosła sama obiad, a spojrzawszy na kapoerę, spochmurniała i rzekła z przekąsem:

— Bez mała sześć godzin minęło, Wilhelmie, a do końca daleko.

— Prawda! —odpowiedział mrukliwie - ale próbowaliście kiedy ciąć fojsą?

— Ja, nie!

— To wpierw spróbujcie! Djabelski to kraj, djabelskie drzewo, co tnę, to korę złupi, a pręt stoi.

— A jednak ten djabeł zrobił swoje – wskazała na dział Jaśka.

— Co takiemu!? Sama skóra i kości, nawet się nie spoci.

— Ale dziś skończycie, Wilhelmie?

— Dlaczegóż nie? Jak sobie podjem, nabiorę sił.

I wziął się do obiadu.

Minęła dobra godzina od jedzenia, a Jaśko, leżąc pod drzewem, nie ruszył się. Pewno usnął, pomyślał Wilhelm, nie będę go budził, ale teraz nadążę z robotą, i poszedł ciąć krzewy.

Objedzony, pracując w czasie gdy słońce najsilniej dopiekało, zmęczył się wkrótce i przeklinając słońce, kraj, robotę, ułożył się znów pod drzewem, wkrótce usnął.

Obudziwszy się, spostrzegł, że słońce ma się ku zachodowi i Jasiek widocznie odszedł, skończywszy robotę; więc zły, zniechęcony do pracy, poszedł zwolna do domu.

— Nieprzyzwyczajony jestem do waszego kraju – usprawiedliwiał się przed gospodynią – ubrałem się za ciężko, ale zobaczycie za kilka dni, co Niemiec potrafi.

Gospodyni uznała słuszność słów jego i czekała cierpliwie na czas, gdy jej ziomek przyzwyczai się do klimatu i słońca.

Kartka poświadczająca złodziejstwo nie dawała spokoju Wilhelmowi; obawiał się kary i hańby, tem samem rosła też nienawiść do Jaśka.

Przemyśliwał też nieustannie nad usunięciem chłopca. Zabić go nie miał ani chęci, ani odwagi, ale byłby dał dużo, bardzo dużo, gdyby Jaśka spotkała jaka przygoda, któraby go pozbawiła życia, a przynajmniej, ażeby znikł z kolonji.

W tem utrapieniu i zmartwieniu postanowił szukać pomocy i rady u swego szwagra Hermana Haderwalda.

Napisał też obszerny list, nie żałując wcale barw ciemnych a nawet ponurych w odmalowaniu Jaśka, który był w jego liście łotrem skończonym, i za najłagodniejszą wymówkę groził zaraz faką. Jego zdaniem Jaśko prowadzi tajną intrygę z innymi kolonistami, ażeby swą macochę i jej dzieci pozbawić majątku i wypędzić z domu.

Po wysłaniu tego listu trochę się uspokoił, sądził bowiem, że Herman, otrzymawszy tak niepokojące doniesienia o Jaśku, jego intrygach i o gospodarstwie zrujnowanem, napewno sam zjedzie, a wówczas we dwóch dadzą radę chłopcu.

Istotnie całe gospodarstwo szło nieszczególnie, Wilhelm bowiem nie mógł się ciągle przyzwyczaić do słońca brazylijskiego, a że ono nie zmieniało siły swych promieni, więc Niemiec nie kwapił się do polowej roboty, i zajmował się tylko i to dość niedbale dozorem bydła i koni.

Sarkał na to przed macochą Jasiek, chmurzyła się gospodyni, ale Wilhelm umiał usprawiedliwić się przed nią i wszystko zostawało po dawnemu.

Przyszedł wkrótce czas żniwa, urosło żyto, tak wysokie i gęste, że ani myśleć było brać go na kosy, tylko żąć sierpem. Jaśko, wracając z pola na wieczerzę, spotkał w ganku gospodynię i rzekł:

— Przyniosłem garść kłosów—pokazał zerwane — dał Pan Bóg urodzaj, będzie pewno pięćdziesiąte ziarno...

— Gadanie!—mruknął Wilhelm z drwiącym uśmiechem u nas, w Niemczech, gdzie umieją gospodarować, daje żyto dziesiąte, a najwyżej piętnaste ziarno.

— To u was, a tu u nas bywa i sześćdziesiąte – odparł Jasiek — i nie w tem rzecz, ale jutro trzeba rozpocząć żniwo, bo żyto zacznie się sypać.

— Hm... prawda, że już dojrzałe—gospody-

ni wzięła kłosy i spróbowała twardości ziarna — pójdziemy żąć... sierpy gotowe, i wy, Wilhelm, z nami.

— Nigdy sierpem nie robiłem.

— To się nauczysz — rzekł Jaśko twardo— chcesz chleba, nie żałuj pracy.

— Nie twoja rzecz - zgromiła go macocha— ja tu rozporządzam... Maryś, daj im wieczerzę, stoi na kuchni, a ja idę do udoju.

Zasiedli w ganku, Jaśko chmurny i rozdrażniony, Wilhelm uśmiechnięty i pewny siebie.

Maryś przyniosła wieczerzę, wzięli sobie porcję na talerze, Jasiek niewiele, Wilhelm kopczaty talerz; Maryś wsparta łokciami o stół, widząc Wilhelma łapczywie jedzącego, uśmiechnęła się drwiąco i rzekła:

— Hej, żeby to Wilhelm tak dobrze robił, jak dobrze je!

— Zasie tobie do mnie! - odburknął - pracuję i tak ciężko.

— O jej, tyle co podświnek w chlewie — zaśmiała się.

Tego było za wiele Wilhelmowi. Pochwycił ją jedną ręką, a drugą zamierzył ją uderzyć. Nagle Jaśko skoczył, jednem pchnięciem w pierś przewrócił Wilhelma wraz ze stołkiem na ziemię; padający, chcąc się zatrzymać, puścił Marysię i uczepił się ręką stołu. Natu-

ralnie stół się przewalił, a czarna polewka oblała szeroką i wygoloną twarz Wilhelma.

Maryś przestraszona krzyczała, Wilhelm klął i wymyślał, obcierając twarz i tem więcej ją czernił, Franek wrzeszczał, Jaśko śmiał się. Na ten dziki koncert wpadła gospodyni, wołając z przerażeniem:

— Na Boga! Co tu się stało!?... Kto stół przewrócił? ach, moje talerze!.. Wilhelmie, co to jest?

Ten podniósł się z ziemi, spojrzał na swoje splamione ubranie i rzekł gniewnie:

— Któż miał zrobić? To wasz kochany pasierb.

— A ty łajdaku, a podły urwisie...—krzyczała kobieta rozindyczona, i biegła, ażeby go uderzyć, lecz przytrzymała ją Marysia, mówiąc:

— Jasiek nie winien, on mnie obronił, bo Wilhelm chciał mnie bić.

— Ładny mi obrońca! — krzyczała kobieta z pasją — a moje talerze? a zupa? a ubranie Wilhelma?... Mów, co się stało?

— Wilhelm chciał mnie bić, a Jasiek...

— To wiem już! Wilhelmie, jak to było?

— Ona nazwała mnie świnią, chciałem dać jej klapsa, a ten— wskazał na Jaśka — pchnął mnie i przewróciłem się... to wszystko.

— Ty Maryś, dostaniesz ode mnie tak, że

ci się odechce wymyślać. A wam, Wilhelmie nie wolno tknąć mego dziecka, powiedźcie mi, a ukarzę sama. A takiego obrońcy, jak ty, Jaśku, Maryś ani ja nie potrzebujemy i nie mieszaj się do moich dzieci.

Zaczęły się skargi, wyrzekania, ale tych już Jasiek nie słuchał, wziął kapelusz i poszedł do swych sąsiadów Kaczeńców.

List.

Na drugi dzień zawiadomiono Elizę Łyskowską i jej pasierba Jaśka, że do kancelarji gminnej przyszedł list pod ich adresem.

Koloniści wogóle mają tak mało korespondencji, że nadejście listu i to przez municipium, stanowi ważną nowinę dnia. Ciekawość Elzy i Jaśka była tak wielka, że mimo żniw udali się do municipium, w którem oboje poświadczyli, że odebrali list z Villa Rica, położonego nad rzeką Ivahy.

Sam sekretarz, ciekawy listu, zaproponował im, że odczyta głośno, ale po otworzeniu koperty i zajrzeniu do listu, zwrócił go z niesmakiem, mówiąc:

— To zdaje się po polsku, czy po niemiecku, a tych języków nie znam.

Elza schowała list starannie, mówiąc do Jaśka:

— W domu przeczytamy, a ponieważ list z Villa Rica, to pewno od brata twego ojca

nieboszczyka... może to spadek po nim, w takim razie i moje dzieci dziedziczą.

— Dajcie, to przeczytam.

— Nie... dopiero w domu, przy świadkach, kto wie, co tam jest.

Blizko swego domu spotkali Mateusza Grzędę i jego zaprosiła Elza na świadka.

Mateusz zasiadł w ganku, nałożył okulary i zaczął czytać list, a gospodyni i Jasiek słuchali w wielkiem skupieniu:

„*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*

Miła sercu mojemu bratowo i ty kochany mój bratanku Jaśku! Dowiedziałem się, jako podobało się Najwyższemu powołać do swej wiecznej chwały mego brata Piotra, twego bratowo, męża, i twego ojca, mój Jaśku. Pomodliłem się, dałem na mszę świętą i wysyłam do was to pismo. Jestem już stary, sterany latami i pracą, a sam zostałem na świecie, bo nie liczę tych krewnych, co w Polsce zostali. Pan Bóg mi poszczęścił, dorobiłem się majątku, mam kolonję zagospodarowaną, dziesięć krów, osiem koni, pięć mułów, a dobrej ziemi do stu morgów. Niedługie już me życie, a gdy umrę, wszystko się zmarnuje. Umyśliłem tedy oddać całą majętność tobie, mój bratanku, jako jesteś z mojej krwi. Przyjeżdżaj do mnie, póki świecą się moje oczy i bierz sercem, co daję od serca. Ślę to pismo

do waszego municipium, ażeby nie zaginęło i ażebyś mi mój miły bratanku sam zamknął oczy, gdy przyjdzie moja ostatnia godzina.

Gdy przyjedziesz do Villa Rica, pytaj o kolonję Łyskowskiego, a każdy ci ją wskaże.

Zostawiam was Panu Bogu i polecam Jego świętej Opiece

Wasz brat i stryj

Michał Łyskowski".

Nastało głębokie milczenie. Jasiek z płonącemi radością oczyma wpatrywał się to w list stryja, to znów w Mateusza i radby był sam odczytać to obiecujące pismo. Elza patrzała nienawistnie i z zazdrością na Jaśka, a na myśl o krzywdzie swych dzieci w spadku, wzrastała gorycz w jej sercu i łzy cisnęły się do oczu.

Mateusz jeden był spokojny, ważył list w ręku, badał podpis, przypatrywał się kopercie, wreszcie z uśmiechem przyjaźni zwrócił się do Jaśka:

— No, jeśli stryj twój Michał myśli rzetelnie, to masz dużo szczęścia w życiu, ale to sobie miarkuj, że od obiecanki do jej spełnienia droga daleka i niepewna.

— Dlaczegożby pisał? — zawołał Jasiek gorąco — taki list, to prawie dokument. Poco

wzywałby mnie do siebie? obiecywał oddać wszystko?

— Hm... hm... niełatwo wybadać, co tam w człowieku rośnie i waży się. Dziwna mi ta niespodziana łaska i to tylko dla ciebie; przecież wie, że z drugiego małżeństwa masz przyrodnich, a wszyscy wy jednego ojca, dlaczegoż ich krzywdzi?

— Tak, tak, — mówiła gorączkowo Elza — to krzywda dla moich dzieci okrutna i Pan Bóg pokarze go srogo, chyba, że ty, Jaśku, przypuścisz nas do równego działu po sprawiedliwości. Przecież wy jednego ojca dzieci, i on na łożu śmiertelnym upominał cię, żebyś im żadnej krzywdy nie zrobił.

Jasiek zmieszał się, czuł słuszność słów macochy, a z drugiej strony żal mu było tych ośmiu koni, pięciu mułów, no i majątku.

— Nie moja to wola— mówił zwolna — lecz stryja, rozmówię się z nim... a gdyby się uparł przy swojem, to już odstąpię wam moją połowę kolonji po ojcu.

— Odstąpisz!? — zawołała uradowana — daj to na piśmie i dodaj, że sam wyposażysz Marysię.

— Dobrze — zaczął Jasiek.

Ale nie dał mu skończyć Mateusz, mówiąc:

— O, ty głupi! I któż to zrzeka się ojcowizny!? To przecież praca i krwawy pot twego ojca, a ty z lekkiem sercem pozbywasz się

owoców jego życia? Las tu był, że ani ugryźć, a on z matką twoją karczował, pocił się, nie dojedli, nie dospali, oboje zmarli przedwcześnie z tej okrutnej pracy, a ty, syn, rzucasz to tak lekko?

— Czego wy się mieszacie do familii?! — zawołała Elza z gniewem — jeśli jego taka wola, co wam do tego?

— A do tego!—uderzył ręką w stół—bo byłem przyjacielem nieboszczyka — i po chwili spokojniej: — zmiarkujcież kobieto, że podpis małoletniego nie ma znaczenia i w municipium nie przyjmą, a sąd taki papier unieważni.

— Więc mam pozwolić na krzywdę moich dzieci?—zawołała z płaczem.

— A któż je krzywdzi?—wzruszył ramionami — ten spadek po stryju, to skóra na niedźwiedziu, co sobie chodzi w kniei; znając Jaśka, jestem przekonany, że Franka dopuści do działu, a Marysię spłaci.

— I tak mi daj Boże dożyć, że zrobię jako mówicie ojcze Mateuszu — uderzył się w piersi Jasiek.

— Prawda wasza, Mateuszu - westchnęła wdowa głęboko—ale biorę was za świadka, że Jasiek dał słowo święte, iż do działu dopuści moje dzieci i odstąpi Frankowi tę kolonję.

— O, co to, to nie!— zawołał Jasiek —a co mi za niewola siedzieć gdzieś na krańcu świata. Tu się wychowałem, znam wszystkich

i mnie znają, tu są groby moje, zaś gdzieżbym to porzucił?

Elza chciała coś rzec z gniewem, ale nie dopuścił Mateusz:

— Miejcież pomiarkowanie, dopuszcza Franka do działu, Marysi nie zostawi bez niczego, to i czego chcecie więcej?... A gdzie to miejsce, ta Villa Rica?

— Nad rzeką Ivahy, w Paranie, jak mówił sekretarz – odpowiedział Jasiek — jak daleko, w której stronie, tego nie wiem, ale przecież to nie za światami, wywiem się.

— A możeby tak pójść do naszego proboszcza albo nauczyciela... może oni coś powiedzą?

— Dobrze, ojcze Mateuszu.

— A kiedy się wybierzesz?... chyba po zebraniu żyta, bo zawsze ręce potrzebne na ten czas.

Elza uznawała słuszność uwagi Macieja, ale tak ją zaślepiła chęć pozbycia się z domu pasierba, że dodała pośpiesznie:

— Żyto nie przepadnie, chociażbym i donajęła kogoś do zbiórki, a żelazo należy kuć póki gorące. Żąda stryj, ażebyś się stawił, to jedź, chociażby i jutro.

Nie podobał się ten pośpiech Mateuszowi, pokręcił głową i rzekł:

— Pozwólcież mu się wybrać, jak się patrzy, droga to pewno daleka, bo list szedł dwa

tygodnie. Musi mieć przyodziewek dobry, buty i parę groszy, przecież to syn gospodarski, nie pójdzie po żebraninie.

Elzie, na myśl tak znacznych wydatków dla pasierba, zrobiło się gorąco, wprawdzie idzie on po majątek i zrażać chłopca do siebie nie można, ale grosz w skrzyni pewny, a ten udział Franka w schedzie pisany na bystrej wodzie. Coś jednak trzeba odpowiedzieć, więc rzekła:

— W tej sprawie to moja głowa, przecież tyle lat byłam mu matką i nie puszczę go bez opatrzenia. A ty, Jaśku, kiedy myślisz wyruszyć?

Chłopcu uśmiechała się swoboda, daleka podróż, przygody, i rad byłby chociaż i dzisiaj puścić się w drogę, ale wstyd mu było Mateusza i powiedział ze sztuczną powagą:

— Ja myślę, że dziś dowiem się dokładnie, gdzie owa Villa Rica, jutro pożegnam starszych, a wy obmyślicie jakiś przyodziewek. Zaś pojutrze puszczę się w drogę.

— Ja się na to zgadzam — dodała szybko Elza, rada końcowi rozmowy.

— Ha, niech i tak będzie - rzekł Mateusz i pożegnawszy ich, poszedł.

— Jasiek, jak wyszedł z domu przed południem, nie wrócił aż późnym wieczorem.

Najpierw poszedł do księdza spytać, gdzie leży Villa Rica, ale nie zastał go, więc udał

się do nauczyciela. Ten wskazał mu na mapie Villa Rica, dość daleko na północ od Luceny, aż na granicy stanu San Paolo. Doradzał mu jechać z Rio Negro koleją do Kurytyby, a dalej do Ponta Grossa. Zaś z tego miasta zabrać się z furmanami do Theresiny, a następnie do Villa Rica. Wprawdzie podróż to kosztowna, gdyż z najbliższej stacji Rio Negro do Kurytyby kosztuje kolej drugą klasą, trzeciej klasy niema wcale w Brazylji, dziewięć milreisów i trzysta reisów, zaś do Ponta Grossa jedenaście milreisów i 200 reisów, czyli razem dwadzieścia milreisów i 500 reisów, ale przynajmniej większą część podróży odbędzie szybko i bezpiecznie.

Jasiek, znając skąpstwo macochy, prosił nauczyciela o wskazanie mu drogi tańszej Po przestudjowaniu mapy, oświadczył nauczyciel, że z Rio Negro należy skierować się do Guarapuava, z tego miasta do Theresina, a następnie brzegiem rzeki Ivahy do Villa Rica. Odległość wynosi mniej więcej tysiąc kilometrów, przez „campy" czyli stepy, przez lasy i dwa pasma gór.

Nauczyciel usilnie odradzał Jaśkowi tej podróży, nie licząc już możliwego braku żywności i zbłąkania, grożą mu węże, drapieżne zwierzęta, różni łotrzyki i zbóje, wreszcie Indjanie, koczujący wewnątrz kraju na stepach i w lasach.

Ale właśnie ta pewność nadzwyczajnych przygód ogromnie podobała się Jaśkowi i podniecała go do tej ryzykownej podróży.

Od nauczyciela poszedł na poradę do swych znajomych chłopców, kolegów, ze szkoły. Opowiadania Jaśka o otrzymaniu schedy po stryju wysłuchali jego trzej przyjaciele, Klimek Kaczeniec, Michał Bruzda i Julek Głogowczyk, dość obojętnie, z wyjątkiem Julka, który może przez zazdrość kpił sobie z owego majątku stryja, ale chciwie dopytywał się o szczegóły. Dopiero gdy Jasiek powiedział im o swej przyszłej podróży, posypały się rady, co do strzelby, nabojów, pistoletów.

Narady te trwały do zachodu słońca i pewno przeciągnęłyby się dłużej, gdyby głód nie zmusił wszystkich do rozstania się.

Jeszcze jeden dzień minął Jaśkowi na przygotowaniach i pożegnaniach ze znajomymi. Nie ominął też Macieja Brzozy, do którego wstąpił o zachodzie słońca.

Gdy Kasia posłyszała o podróży pieszej do Villa Rica, przez campy, lasy i góry, poczerwieniała, zabłysły jej oczy i rzekła:

— Taki to ma szczęście, a ja muszę siedzieć w domu, nawet do lasu mi nie wolno. Czy jest na świecie sprawiedliwość!?

— Nie obrażaj Pana Boga — zgromiła ją matka—szczęśliwaś, że masz dom, ojca i matkę. Gdyby ojce jego żyli, nie puściliby takiego

dzieciucha samego, ale macosze w to graj. Czy nie tak?

Spojrzała surowo na Jaśka.

— Czyby mnie puścili, tego nie wiem — odpowiedział z wahaniem – ale że macocha rada z mego odjazdu, to i ślepy by obaczył.

— Prawdę powiedziałeś — rzekła Maciejowa przyjaźnie—i na intencję twej podróży niebezpiecznej dam na mszę świętą, wszyscy jej wysłuchamy i prosić będziemy o opiekę Boską nad tobą.

Ta troskliwość Maciejowej rozczuliła Jaśka, wstał, ucałował jej rękę, mówiąc:

— Wy bardzo dobrzy dla mnie.

— Miłyś dla mnie, bo przypominasz mi syna, którego utraciłam.

Maciej spytał o gospodarstwo na kolonji, z czego wywiązała się rozmowa o Wilhelmie, któremu Maciej niedowierzał, wreszcie Jasiek pożegnał Maciejów pobłogosławiony na drogę, zaś Maciejowa dała mu medalik z Matką Boską, mówiąc:

— Taki sam medalik dałam wtedy i memu synowi, i mam tę wiarę, że Matka Boska uchroniła go od nieszczęścia, niechże i ciebie ma w swej opiece.

I zawiesiła mu na szyi mały medalik.

Poruszyło to Jaśka do głębi i gdyby się nie wstydził, byłby się rozpłakał, ale ukrył cisnące się łzy, całując rękę gospodyni.

Gdy wyszedł na drogę, ujrzał Kasię, która przystąpiła do niego i rzekła:

— Nie ze złego serca zazdroszczę ci tej podróży, ale żal mi, że nie mogę pójść z tobą. Jako dobrze ci życzę, weź ten woreczek ze skóry, sama go zrobiłam — pokazała ładnie wyszyty woreczek – ta strona na kule, a ta na śrót... No, bywaj zdrów! Szczęśliwego powrotu!

I nie czekając odpowiedzi, pobiegła do domu.

Niespodziewany towarzysz.

Już drugi dzień był Jaśko w podróży. Szedł traktem handlowym, a nieliczni przejezdni, widząc go ze strzelbą i torbą myśliwską, byli pewni, że młody chłopiec wybrał się na polowanie i życzyli mu powodzenia.

Dzień zapowiadał się gorący, a że Jaśko od rana prócz chleba nie miał nic w ustach, czuł się trochę znużonym i wstąpił do przydrożnej wendy. Był to dość wielki budynek, sklecony z pni i desek. Z jednej strony był obszerny sklep z wyszynkiem, za nim mieszkanie wendzisty, a z drugiej strony stajnia zajezdna ze żłobem i drabiną na siano dla mułów i koni.

Do sklepu wchodziło się przez rodzaj obszernej werandy, opatrzonej dachem z liści palmy wachlarzowej.

Jasiek wszedł na pustą werandę, usiadł na ławie za stołem z desek niehebłowanych, odłożył torbę, strzelbę i udał się do sklepu, gdzie

za ladą spostrzegł szpakowatego człowieka, zajętego porządkowaniem flaszek z napojami.

Ukończywszy szkołę w kolonji, Jasiek władał językiem brazylijskim, wprawdzie nie bardzo biegle, ale o tyle dobrze, że wszystko rozumiał i mógł się rozmówić.

— „Bom dia, senhor!" (dzień dobry, panie)— powiedział.

— „Bom dia, senhor, como esta?" (jak się pan ma?)—odrzekł wendzista.

— „Obrigado, senhor, muito bem" (dziękuję panu, bardzo dobrze)

— To mnie bardzo cieszy—rzekł wendzista, zawsze po brazylijsku — czem mogę służyć panu?

— Chciałbym herwy.

— Czy nie lepiej kaszasu kieliszek, bo widzę po butach, że odbył pan daleką drogę — uśmiechnął się wendzista i wskazał na flaszkę kaszasu, wódki brazylijskiej, pędzonej z trzciny cukrowej.

— Proszę o herwę, nie lubię kaszasu.

Gdy Jasiek odmówił i wina kieliszek, gospodarz poszedł po herwę, zostawiając go samego w wendzie.

W sklepie tym można było ubrać się od stóp do głowy: leżało też żelaziwo, pistolety, rewolwery, na półkach towary łokciowe, galanteryjne, ale najgłówniejszą część stanowiły na-

poje i liście tytuniowe, zwinięte w grubą linę, a sprzedawane na wagę.

Po chwili gospodarz wniósł kuję i bombę z herwą, do której Jasiek wziął zeschłą bułkę i kawałek suszonego mięsa. Usiadł na werandzie i spokojnie pożywał skromne śniadanie.

Nie skończył jeszcze, gdy posłyszał tętent na głównym trakcie. W oddaleniu dojrzał jakiegoś młodego człowieka, galopującego na białym, jak mleko, mule. Zaciekawił go ten cwał w dzień gorący i nie odwracał oczu od jadącego. Był to młody, z ubrania sądząc, Brazylijczyk, Kabokl, to jest trudniący się chowem bydła na stepie, zwykle właściciel bardzo znacznej przestrzeni ziemi.

Jeździec zbliżał się szybko i Jasiek dostrzegł, że miał na sobie opończę żółtą w czerwone pasy, t. zw. „poncho", z otworami na ręce; na głowie kapelusz pleciony z wielkiem rondem; na bosych nogach trepki, a do nagiej prawej pięty ostrogę przywiązaną rzemykiem. O ile jeździec był ubrany bardzo skromnie, o tyle znów muł był ładny, rząd na nim suto srebrem nabijany, a tebinki kulbaki wyszywane jedwabiem.

Młody Kabokl zatrzymał się przed wendą, lekko i zgrabnie zeskoczył z muła, rozkulbaczył go, zdjął trenzlę i puścił zwierzę swobodnie. Sam zaniósł kulbakę na werandę, zło-

żył ją na ławce i spojrzawszy na siedzącego Jaśka, odezwał się swobodnie po brazylijsku:

— Dzień dobry, panu, dobrze panu w cieniu?

— Dzień dobry, jest mi znośnie.

— Za wiele pan chcesz— zaśmiał się —pozwoli pan, że usiądę przy nim.

— Proszę.

Podszedł i kłaniając się nizko kapeluszem bardzo ładnym ruchem, przedstawił się dźwięcznym głosem:

— Elpidio Sokrates da Forga.

Wyciągnął prawą rękę i dodał: — może wasza łaskawość zechce zaszczycić mnie swą znajomością.

— Jestem Jan Łyskowski.—Podał mu rękę.

— A narodowość pana?

— Polak.

— Słyszałem o nich, podobno dobrze jeżdżą na koniu. Pozwoli pan, że usiądę.

Po chwili klasnął w dłonie i do gospodarza, stojącego we drzwiach wendy:

— Panie, spragniony jestem, proszę o herwę, jajecznicę i dużo chleba.

— Może kieliszek wina?

— Gdybym chciał, poprosiłbym nie o szklankę, lecz o beczkę całą – rzekł z dumą – ale nie żądam.

Gospodarz rzucił badawcze spojrzenie na muła, na leżącą kulbakę i trzęzlę, i widocznie ocenił, że można podać żądaną herwę.

Elpidio rzucił kapelusz na ławę, ręką przygładził wijące się, ciemne włosy i spytał:

— Pan z polowania, czy na polowanie?

— Ani jedno, ani drugie. Idę z Luceny do Villa Rica.

— Villa Rica? Nie słyszałem o takiem mieście, gdzie to?

— Idzie się na Guarapuava, Theresina, Ivahy, do Villa Rica.

— W Guarapuavie byłem raz, będzie do trzysta kilometrów, a do Villa Rica jest chyba czterysta?

— Dodaj pan jeszcze sześćset, a będziesz bliższy prawdy—uśmiechnął się Jasiek.

— Do djabła! Dobry kawał drogi! I pan sam idzie?

— O, nie!—zaśmiał się Jaśko wesoło—mam dobrych towarzyszy: strzelbę, pistolet i fakę.

— Tak... dobrzy i pewni są to towarzysze, ale dla tego, który umie obchodzić się z nimi... Pozwoli pan, że obejrzę dubeltówkę.—Wziął do ręki, zważył, złożył się i oddając—dobra sztuka—rzekł.—I umie pan celnie strzelać? Ja, trafiam z pistoletu w pieniądz na dwanaście kroków, a pan?

— Nie próbowałem, ale może trafię.

— Spróbujmy!—wstał z ławy.

— Zgoda!

Gdy wychodzili z werandy, wnosił gospodarz herwę i jajecznicę.

— Hej, panowie, a wy gdzie?

— Zobaczysz, mój panie — odpowiedział Elpidio.

Do pnia drzewa przybili ćwiarteczkę papieru, wielkości pięciu milreisów, odmierzyli kroki i po pewnych ceremoniach strzelił Elpidio i trafił. Jasiek przedłużył metę o trzy kroki. Padł strzał w sam środek karteczki.

— Brawo, panie Polak! — zawołał wesoło Elpidio—masz doskonałych towarzyszy. A teraz jeść! od wczorajszego obiadu nie miałem nic w ustach.

Gdy zjedli, spytał Jasiek:

— Pan zapewne zdaleka, bo muł sypał mydłem.

— Jadę wprost od śmierci—a widząc zdziwienie Jaśka, dodał z uśmiechem: — jeślim zasłużył na niebo, to z nieba, a jeśli na piekło, to z piekła.

— O, to kawał drogi—zaśmiał się Jaśko – i jak pan wrócił na ziemię?

— Bardzo prosto, na moim kochanym mule. Ten łotr, Perykles de Oliveira, a może jego towarzysze, gonili mnie, posłali dwie kulki za mną, ale umknąłem, bo też mój Beiżo leci jak wicher—spojrzał w stronę muła

— Czy napadli pana?—spytał zaciekawiony Jasiek.

— Ach, to cała historja! Chcesz pan, opowiem, ale wpierw herwy! — klasnął w dłonie

i z miną wielkopańską kazał podać dwie porcje herbaty brazylijskiej.

Od wązkiego paska odwiązał skórzany kapciuch z tytuniem, zamiast bibułki wyjął z kieszeni delikatny liść kukurydziany, z tych, co kiść osłaniają, skręcił papierosa, zapalił i przysunął tytuń Jaśkowi.

— Dziękuję panu, nie palę. Jakże to było z tym napadem?

Elpidio rozparł się wygodnie na stole i puszczając kłęby dymu gryzącego, zaczął:

— Otóż wczoraj, przed wieczorem, przyleciał mój stary, ledwie żywy, do domu, a koń jego padł przed wrotami.

— Jaki stary?

— Ach, prawda, pan go nie znasz. Mój stary, to Arystydes Basileo da Forga, właściciel ogromnego kawała stepu, na którym niegdyś miał tabuny koni i mułów. Postarzał się, zbiedniał i handlował końmi, a ja mu pomagałem. Dobry człowiek, ale kłótnik i zawadjaka, to też bali się go wszyscy, tylko nie ja.

— I cóż się stało wczoraj? — przerwał mu Jaśko.

— Przyjechał okrutnie zmordowany, domyśliłem się, że miał jakiś zatarg, dałem mu herwy, a on do mnie:

— Słuchaj, Elpidio, poczęstowałem jednego z szajki, tego łotra Peryklesa de Oliveira, ołowiem, może zechcą załatwić rachunki ze mną.

Przygotuj dwa najlepsze muły, niech stoją okulbaczone. Ty położysz się przy nich; gdy księżyc zejdzie, pojedziemy na zwiady.—Zrobiłem co kazał i śpię przy mułach. Naraz zbudziły mnie strzały; patrzę, przed naszym dworem trzech ludzi na koniach, a czwarty łotr wyciąga z dworu ranionego starego. Wszyscy zawyli z radości.

Umilkł na chwilę, lecz Jasiek spytał gorączkowo:

— I co było dalej?

— Czterem nie dam rady, pomyślałem, siadłem więc na mego muła i strzeliłem do nich. Zwrócili się do mnie, ja znów strzeliłem, trafiłem któregoś konia, bo słyszałem przekleństwa, i zaraz zwrócili się na mnie. Konie ich były widocznie zmęczone, bo znacznie ich wyprzedziłem. Uciekając zrobiłem ogromny krąg i wróciłem do dworu. Stary już nie żył, leżał zimny, ale nie miałem czasu nawet zamknąć mu oczu, bo i oni szybko wrócili. Gonili mnie ze cztery kilometry, dwa razy zagwizdały mi kule nad głową, ale im uciekłem.

Po krótkiem milczeniu spytał Jasiek:

— A teraz co pan zamierza?

— Co? alboż wiem? Stary zginął, do dworu nie mam po co wracać, bo pewno czatują, ażeby mnie zgładzić, jestem dla nich niewygodnym świadkiem... No, kiedyś zemszczę się, ale nie teraz... Pójdę w świat, gdzie mnie oczy

poniosą, nie zginę, bo człowiek ma przecież jakieś doświadczenie.

Jasiek spojrzał na niego badawczo i rzekł zwolna.

— Po swobodzie obowiązek będzie ciężki.

— Ee, co mi tam! Gdy człowiek ma tyle lat, co ja, da sobie radę.

— Ileż pan ma lat?—spytał Jasiek—pewno z osiemnaście, może więcej?

— Nie zgadł pan!—śmiał się wesoło—każdy bierze mnie za starszego, tak urosłem, mam dopiero piętnaście lat!

— Tego nie spodziewałem się—zdziwił się Jaśko—to my w równym prawie wieku, bo ja mam szesnaście.

— Wie pan co – zawołał wesoło Elpidio—kiedy tak, to bądźmy przyjaciółmi!

Gospodarz wniósł herwę, postawił na stole i spytał:

— Może przekąski?

— Dobrze. Ma pan ananasa?

— Wczoraj dostałem, sprzedam tanio, dwadzieścia rejsów.

— Za dwa ananasy, to zgoda!—rzekł Elpidio.

Po krótkich targach zgodził się gospodarz, a Elpidio:

— Słuchaj, Janie, ta twoja podróż, tysiąc kilometrów, to bajki. Co?

— Nie, to prawda.

— I jaki djabeł tam cię niesie?

Jasiek opowiedział mu o liście stryja i przyrzeczeniu w nim zawartem.

— Wiesz co, Janie? I tak nie mam nic do roboty, pójdę z tobą, chcesz?

— Chcieć, chcę, ale ty masz muła, a ja nie posiadam.

— Ileż masz pieniędzy?

— Cztery i pół milreisa.

— Toś bogatszy w gotówkę, bo ja nic nie mam. Chciałem temu szachrajowi wendziście sprzedać kulbakę, a muła spieniężyć w Rio Negro, tam jutro jarmark ale gdy idziemy razem do Villa Rica, to może się uda sprzedać muła tutaj.

— I naprawdę poszedłbyś ze mną?—spytał Jasiek niedowierzająco.

— Ja dotrzymuję danego słowa, a ty?

— Ja również.

— Zatem idziemy razem... Teraz pójdę do wendysty zobaczyć, jaką ma broń i czy dostanę wszystkiego, co nam potrzebne do drogi... a może i ty ze mną?

— Dobrze.

Elpidio, z miną pańską, jak gdyby w pugilaresie posiadał setki milreisów, wybrał dla siebie odtylcówkę, rewolwer, dwa tornistry, ubranie, buty, stosowną ilość prochu, kul, śrutu i zapasy na drogę. Wytargował się zawzięcie i za wszystko miał zapłacić sto sześćdziesiąt milreisów.

— A teraz, panie gospodarzu, kupi pan muła—zakończył targi Elpidio.

— Ja? Muła?

— Czy sądzi pan, że w takiej budzie przepłacałbym towar lichy, gdybym miał gotówkę— oburzył się Elpidio—albo kupisz pan muła, albo schowaj dla siebie te graty— wskazał na odłożone rzeczy.

Gospodarz po dłuższym namyśle rzekł zwolna, z niechęcią:

— Dziwny z pana klijent... no, zobaczę muła.

Wyszli przed wendę. Elpidio poszedł do pasącego się muła, wskoczył na oklep i podjechał do gospodarza, mówiąc:

— Ten muł wart więcej, aniżeli cała pańska wenda. Nogi ma stalowe, pierś szeroką, lekki jak panna na wydaniu, a kolor lilji białej!—zachwalał wymownie.

— Ile ma lat?

— Dziecko jeszcze, zaledwie siódmy rok.

Wendzista zajrzał w zęby i rzekł surowo:

— Ma lat dziesięć.. jeśli inne zalety są tak prawdziwe...

— Idź pan do szkoły uczyć się — zawołał ostro Elpidio—z pana nieuk, to muł mego własnego chowu, znam go od dziecka.

W czasie tych sporów nadjechali konno trzej kabokle. Dwóch z nich prowadziło muły objuczone, a jeden dwa luźne konie.

Słysząc targi, natychmiast przystąpili, obejrzeli muła, a jeden z nich, wysoki, szczupły, ze szpakowatą brodą, poszeptał z gospodarzem i, zbliżywszy się do Elpidia, rzekł:

— Ja, panie, kupię tego muła. Ile pan chce?

— Pięćset milreisów.

— Zapewne omyliłeś się pan, muł wart najwyżej pięćdziesiąt.

— Zdaje się, że wasza miłość miałeś wypadek w drodze—rzekł Elpidio.

— Ja? Jaki?

— Upadłeś wasza łaskawość na głowę i pleciesz głupstwa.

— Każdy oszust prawdę nazywa głupstwem, wiem o tem!

— W pięknem towarzystwie dochowałeś się pan siwej brody—zaśmiał się Elpidio.

— Panie, u mnie znajdzie się faka—zawołał groźnie kupujący.

— A u mnie pistolet.

I w mgnieniu oka zmierzył się.

— Ależ, szlachetni panowie — wmieszał się jeden z tamtych kaboklów — schowajcie broń! Wszyscy wiemy, że jesteście odważni jak lwy, a honorowi jak rycerze, ale w targach niema obrazy.

— Wasza łaskawość mówi jak sama mądrość—skłonił się Elpidio — żądam psich, marnych pieniędzy, tylko pięćset.

Zaczęto targować się zawzięcie. Kupujący dawał wreszcie sto osiemdziesiąt milreisów, Elpidio opuścił do dwustu dwudziestu.

Wmieszali się w to inni kabokle i ustalono cenę na dwieście milreisów.

— A teraz proszę waszej łaskawości – skłonił się nizko kupujący przed Elpidiem - daj mi pan dowód własności muła... To nie żadne podejrzenie, ale zwykła forma grzeczności.

— Pewno wasza miłość ma stado wołów i od nich przyjąłeś formy grzeczności towarzyskiej. Zważ pan, w swej wolej mózgownicy, że jeśli sprzedają muła na publicznym trakcie, przy wendzie, wobec tylu czcigodnych panów, to ten wspaniały muł jest tylko moją własnością.

— Tępy dowcip pana rozbija się o moją dumę—uśmiechnął się kupujący—ale i bezczelność rzezimieszków nie miewa granic. Muł podobał mi się, cena ustalona, wypłacę ją panu w municypium w Rio Negro.

Elpidio, z rękami założonemi na piersiach, zmierzył oczami wzgardliwie przeciwnika i rzekł:

— Znam się i ja na tych oszustwach i wiem, że to głupie żarty waszej łaskawości; jeszcze żaden szlachetnie urodzony nie odbierał u podłego skrybenta pieniędzy za muła.

— A wasza łaskawość albo odbierze, albo

staniesz w sądzie—zadrwił kupujący zbliżając się do muła.

— Tak, tak—dodał gospodarz—jego miłość ma rację... do municypium!

— Milcz, ty trucicielu!—krzyknął Elpidio—bo ci łeb roztrzaskam. Do budy! Wiem, że to zmowa!

Wtem ten co kupował, korzystając z chwilowego zajęcia się Elpidia wendzistą, wskoczył na muła i pomknął w stronę miasta, wołając drwiąco:

— Do widzenia w municypium!

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem z tego dowcipu, jeden tylko Jaśko, który z wielkim podziwem i zachwytem cieszył się z zachowania swego nowego przyjaciela, pobladł z gniewu i szybko wyciągnął pistolet, ale wstrzymał go ręką Elpidio mówiąc:

— Zaczekaj!

Włożył w usta dwa palce i gwizdnął przeraźliwie.

Muł, pędzący cwałem, nagle wrył się czterema kopytami w ziemię i starał się nawrócić do wendy. Jeździec jednak nie pozwolił, daremnie muł stawał dęba, rzucał się na prawo i lewo, jeździec siedział na nim i kłuł ostrogami.

— Ujdzie!—szepnął Jaśko z żalem.

Elpidio gwizdnął znowu, i ku zdziwieniu obecnych, muł, zamiast zawrócić się, pędził cwałem dalej wprost na drzewa. Jeździec, jeśli

chciał uchronić głowę od rozbicia, a nogę od zgniecenia, musiał zeskoczyć. Tego tylko zdawał się muł czekać, stanął dęba zwrócony do jeźdźca i byłby go niechybnie stratował, gdyby jeździec nie ratował się ucieczkę między drzewa.

Wtedy Elpidio z uśmiechem zadowolenia zawołał na muła:

— „Beiżo!"—co znaczy pocałunek.

I w pełnym cwale muł przybiegł, rżąc radośnie ze swego zwycięstwa.

Pozostali dwaj Brazylijczycy przystąpili do Elpidia, przedstawili się, a jeden z nich, ściskając mu rękę, zawołał:

— Mistrzem jesteś! Artystą!

— Nigdy nie sprzedałbym takiego szlachetnego muła—rzekł drugi.

W odpowiedzi, Elpidio odsłonił opończę i pokazał spodnie dziurawe, marynarkę wystrzępioną i koszulę czarną od brudu.

— Ja tak chodzę, z czegóż wyżywię mego ulubionego Beiżo?! a on przywykł do wygód.

Nadszedł i kupujący, jeździec, którego muł zrzucił, skłonił się nizko kapeluszem i rzekł:

— Żart mój skończył się zwycięstwem waszej łaskawości.

— Każdy złodziej znajdzie obrońcę w waszej łaskawości—zadrwił Elpidio.

— Zostawiłem przecież moje konie— bronił się Brazylijczyk.

— Jeśli nie są schwytane u sąsiada, możeby głupi dał po pięć milreisów za tę skórę i kości.

— Wasza łaskawość żartuje... no, płacę umówioną cenę.

— O nie! Za głupi żart dodasz pan dwadzieścia milreisów.

Nowe targi, wreszcie skończyło się na tem, że kupujący musiał wszystkim obecnym postawić jedzenie i wino. Kulbakę i trzęzlę oddał Elpidio z konieczności bardzo tanio, bo za piętnaście milreisów. Wendziście zapłacił za jedzenie z Jaśkiem, poszedł do izby mieszkalnej wendy, ażeby się przebrać. Zrzucił opończę i już miał rozebrać się z marynarki, gdy przypomniał sobie o strzelbie zostawionej na werandzie:

— Idź Janie i przynieś, ostrożność z nimi nie zawadzi.

Wrócił Jasiek ze strzelbą i rzekł z wielkiem uznaniem:

— Elpidio, gdzie ty się nauczyłeś takich sposobów i targów przy sprzedaży? Ja cię podziwiam!

— Stary mnie wyuczył, ale wobec niego jestem głupcem. On byłby ich wszystkich wystrychnął na dudków.

— Tak umiał mówić!?

— Nietylko wmawiać, ale kręcić to na pra-

wo, to na lewo, jak mu się podobało... ale miał też wrogów.

— Czy długo tu zabawimy?

— Nie! Ten wendzista nie podoba mi się, pójdziemy, gdy sobie podjemy. Kupiłem też opończę dla ciebie i rewolwer.

— Szkoda pieniędzy.

— Ale!? Opończa konieczna i w dzień i w nocy, a rewolwer na łotrzyków i Indjan.

— Czy dużo tu Indjan po drodze do Guarapuava?

— Włóczy się ich sporo. Stary miał z nimi konszachty, a częściej spory i bójki... znam ich trochę... No, jestem gotów!... Ciężko mi w tych waszych butach.

— Przyzwyczaisz się; zawsze one bezpieczniejsze od waszych trepków.

— Panowie, uczta podana!—zapukał do drzwi wendzista.

— Idziemy!

Uczta owa składała się z feiżoady czyli zupy z czarnej fasoli, manioki, gatunku grubej mąki do zupy, z mięsa suszonego na słońcu, owoców, wreszcie z kaszasu i wina krajowego, cierpkiego i dosyć mocnego.

Jasiek zauważył, że istotnie gospodarz szczególnie uprzejmie zachęcał Elpidia do trunków i pilnował, ażeby jego kieliszek nie był próżny. Szepnął o tem przyjacielowi:

— Strzeż się Elpidio trunków!

— Wiem! — uśmiechnął się ten porozumiewawczo i w czasie hałasów, okrzyków i śmiechów Brazylijczyków, bardzo zręcznie wylewał kaszas i wódkę na ziemię.

Gdy gospodarz osądził, że goście dostatecznie podpili, wtedy z miną niewinną zaproponował grę w karty, a gdy Elpidio i Jasiek stanowczo odmówili, zaproponował grę w kości, co reszta towarzystwa przyjęła z zapałem.

— Idzie o moje milreisy— szepnął Jaśkowi Elpidio — ale nie dostaną.

Rzucił kości z kubka kilka razy z odmiennem szczęściem, ale stawiał nieznaczne kwoty. Tymczasem wino i gra roznamiętniły Brazylijczyków, stawki rosły, a wraz z niemi spory, przekleństwa, wymyślania, od czasu do czasu błysnęły oczy nienawistnie i ręce dotykały fak lub pistoletów.

Gospodarz grał ostrożnie, z zimną krwią i szczęście sprzyjało mu stale.

— Cóż wasza łaskawość tak skromny jak panienka — zaśmiał się do Elpidia — tak łatwo można zdwoić kapitał!? Jeden rzut szczęśliwy i są pieniądze... no, ze mną!

— Głowa mi się kręci, nie dowidzę kości — usprawiedliwiał się Elpidio.

— Żarty... stawiam pięćdziesiąt milreisów... zgoda!?

— Dobrze, ale po przespaniu się.

Ziewnął i zamknąwszy oczy, oparł się całym ciężarem o Jaśka.

— A to się spił! —zaśmiał się jeden z grających—zawadza nam.

— Odprowadzę go w cień — odezwał się Jaśko.

— Nie! nie! — zaprotestował gospodarz — wezmę go do mojej izby.

I przemocą chciał odsunąć Jaśka.

Nagle pijany Elpidio otrzeźwiał i śmiejąc się drwiąco, zawołał:

— Omyliłeś się, panie gospodarzu, milreisy zostaną przy mnie... a na drugi raz dawaj lepsze wino, jeśli chcesz mnie spoić i ograć.

— A to wcielony djabeł! – zaklął gospodarz, gdy inni śmieli się rozweseleni.

Za chwilę Elpidio i Jasiek, pożegnawszy towarzystwo pięknym ukłonem, ruszyli pieszo po szerokim trakcie handlowym.

— Tyś jednak, Elpidio, sprytny!—pochwalił go Jasiek.

— Ba, wychowałem się wśród handlarzy, a wendy znam jak własną kieszeń. Mój stary zwykle cały zarobek zostawiał w nich, pijąc i grając.

— Dlaczego ty o swym ojcu wyrażasz się: mój stary?

— Iii, alboż ja wiem, czy on był moim ojcem? Nazwisko mi dał swoje, ale jak był

pijany, albo wściekły na mnie, zawsze wymyślał mi od znajdów.

— To może z pasji tylko.

— Chyba nie, bo jego przyjaciel Rodriguez Almanzor de Rocha mówił mi, że stary miał trzy żony i z żadną nie miał dzieci.

— I matki nie pamiętasz wcale? — dopytywał się Jaśko.

— Matki?... Eh, co o tem mówić? poco?.. A ty masz ojca? matkę?

— Oboje pomarli - westchnął.

— A ty żyjesz!—zaśmiał się z przymusem — i co za różnica między nami?

— Różnica?... No, jest, Elpidio; ja wiem, że miałem rodziców, kochałem ich, a oni mnie.

— Ach, kochanie!?—wzruszył ramionami — mazgaj jesteś, Janie, i nie mówmy o tem, nie lubię myśleć o takich rzeczach.

Szli szybko dalej, rozmawiając o polowaniu, Jasiek pochwalił się zabiciem jaguara.

— Nie miałem czasu na polowanie — rzekł Elpidio—chyba przygodnie. W domu musiałem pilnować koni i mułów, no i staremu trzeba było przygotować jakieś jedzenie.

— Jakto, ty sam gotowałeś?

— Ja, a któż inny? Póki żył murzyn, on nam gotował, później po jego śmierci stary polował na Indjanki. Złowił jedną starą, ale nocą siadła na konia i uciekła; potem pochwy-

cił młodą, ta nie mogła wytrzymać i po kilku miesiącach także uciekła...

— To polowaliście na Indjan?

— Cóż się tak dziwisz? — zaśmiał się Elpidio — stary mi opowiadał, że póki rząd nie zniósł niewolnictwa w r. 1888, polowanie na indjan opłacało się doskonale i szczęśliwi myśliwi dorabiali się majątku.

— No, a teraz już nie polują?

— Nie, ale wojna trwa ciągle pomiędzy nami a indjanami, tylko trudno ich wyśledzić, bo siedzą w głębokich lasach, albo na stepie w dzikich parowach.

Wielki trakt handlowy skręcał do miasta Lapa, a droga mniej uczęszczana, zarosła zeschłą trawą, szła na północ w kierunku Guarapuava.

Z gajów i krzewów wchodzili na step brazylijski, kampę. Jak okiem sięgnąć, żółciły się spalone od słońca trawy, a tylko gdzieniegdzie z głębokiej dolinki sterczały szczyty drzew z ubogiem ulistnieniem. W oddali majaczyły nieliczne grupy araukarji, sosny brazylijskiej. Miejscami wznosiły się dość znaczne nasypiska termitów, czyli mrówek brazylijskich, zbudowane i spojone tak silnie, że na wierzchołek takiego pagórka można konno wjechać.

Słońce, mimo że blizkie zachodu, rzucało gorące promienie, a rozpalona ziemia dyszała żarem.

Na szczęście obaj zaopatrzyli się w manierki dość wielkie, napełnione wodą z winem czerwonem. Często zwilżali spragnione usta, a mimo to czuli wielkie zmęczenie.

— Ty, Elpidio, znasz step lepiej aniżeli ja, gdzie zanocujemy?

— Gdzie? W trawie niebardzo bezpiecznie i musimy mieć wodę.

— I ja tak myślę—westchnął Jaśko — ale jak znaleźć?

— Wiesz, póki dzień, wejdę na pagórek termitów... może coś dojrzę.

Zbliżyli się do wzgórka kilka metrów wzniesionego i Elpidio wdrapał się na szczyt. Po chwili zawołał radośnie:

— Jest szałas pastucha!

— Daleko?

— Nie bardzo... w tej stronie.

Wskazał na wschód północny i zbiegł z pagórka.

Nadzieja odpoczynku pod ochronnym dachem dodała im sił.

— Przy szałasie powinna być woda, jakieś źródło lub potok — mówił Elpidio — tam wypoczniemy!

Teraz i Jasiek dojrzał na falistej wyniosłości gruntu sczerniałą budę, przyśpieszyli kroku.

Wtem tuż z pod nóg ich porwało się stadko kuropatw kusaków.

— Strzelaj!—zawołał Elpidio.

Wąż w bucie jego zatopił swe jadowite szpony. (str. 130).

— Mam w strzelbie kule — westchnął Jasiek — a mielibyśmy wyborną kolację... Nabiję jedną lufę śrutem, a może się jeszcze co trafi.

Już byli w pobliżu szałasu, ale żaden ptak się nie pokazał. Stanęli przed czarnym otworem budy, Elpidio już się gotował do wejścia, wstrzymał go Jasiek:

— Zaczekaj! Tam w budzie może być legowisko węża lub innego zwierzęcia.

— To strzelę w głąb!

— Poco marnować naboje? — i dojrzawszy dość długi konar, podniósł go z ziemi, mówiąc: — Stań Elpidio z boku, a ja będę stukał o dach.

Uderzył kilkakrotnie bez skutku o boczne ściany szałasu. Elpidio, śmiejąc się, zawołał:

— Sądziłem, żeś odważniejszy!

— Nie brak mi odwagi — odpowiedział Jaśko — ale poco bez potrzeby narażać swe życie?

— No, dosyć tej mitręgi — rzekł Elpidio — cięży mi ten tornister.

Rozpiął sprzączki i szedł ku otworowi budy, aby tam złożyć rzeczy, lecz nagle odskoczył i pobladły krzyknął:

— Wąż!

Jasiek w jednej sekundzie pochwycił z ramienia strzelbę, spojrzał w stronę otworu i ujrzał prostującego się węża koralowego, znanego z jadowitości, który gotował się do skoku na obezwładnionego strachem Elpidia. Zmie-

rzył i strzelił, gdy właśnie wąż rzucił się na Elpidia, lecz czy źle wymierzył odległość, czy przeraził go huk wystrzału, dość że tylko dopadł nóg chłopca i w bucie jego zatopił swe jadowite zęby.

Jasiek poskoczył i obywiema nogami stanął na szyi węża, tłukąc go w łeb łożyskiem strzelby.

Wąż kurczył się, wił, bił ogonem w ziemię z taką siłą, że kurz podnosił się wysoko, starał się paszczą dosięgnąć cisnące go nogi, ale Jasiek, mimo gwałtownych rzutów oślizłego cielska płaza, utrzymał równowagę i faką przygwoździł łeb potwora do ziemi.

Elpidio odetchnął, obejrzał ślady ukąszenia, lecz zęby nie zdołały przebić grubej skóry buta i faką odciął łeb węża od reszty cielska, które przez dłuższy czas drgało i suwało się po zeschłych trawach.

— Tyś jednak przewidujący — powiedział z uznaniem Elpidio.

— Nie, tylko ostrożny!

Teraz sam Elpidio długą gałęzią oczyścił ostrożnie wnętrze budy i wypłoszył kilka niewinnych jaszczurek.

Złożywszy rzeczy, poszli na poszukiwanie wody. W pobliżu nie było jej wcale, Elpidio jednak, idąc śladami racic, znalazł o jakie pół kilometra niewielki strumyk.

Tu przenieśli swe rzeczy; Jasiek doradzał rozpalenie ogniska, ażeby odstraszyć drapieżców.

— Masz słuszność — rzekł Elpidio — ale za dużo pracy ścinać i ściągać te zeschłe krzaki, rozwalmy budę.

— Co to, to nie! — sprzeciwił się Jaśko — nie my ją zbudowaliśmy, a ludzką pracę trzeba uszanować. Jeśli nie pastuchowi, przyda się jakim podróżnym.

— Co za dziecinny przesąd! — śmiał się Elpidio — sami znaleźliśmy budę i zrobimy z nią co się nam podoba. Któż nas pociągnie do odpowiedzialności?

— I ja nie lękam się kary, ale pomyśl, że taka buda może uratować jakiegoś spragnionego lub zbłąkanego.

— Nie chcesz, to nie rozwalaj, ale uprzedzam cię, że ani kroku nie zrobię po drzewo.

I położył się na ziemi.

Jasiek był już skłonny uledz woli Elpidia, ale zacięta mina tegoż podnieciła jego ambicję i bez słowa poszedł w stronę krzaków, sterczących wśród zeschłych traw. Naciął ich sporą wiązkę, przyniósł, a złożywszy na ziemi obok Elpidia, poszedł znów ku krzakom.

Ten spokój Jaśka rozdrażnił Elpidia, zerwał się z ziemi i szybko podszedł do krzaków, mówiąc:

— Chociażeś warjat z tą budą, pomogę ci jednak, ale powiedz mi, co upatrzyłeś sobie do tego szałasu?

Tymczasem ciął drzewka zawzięcie.

— Hm... jak ci mam wytłomaczyć, kiedyś głupi na to?... Wiedz tyle, że gdybyś na naszej kolonji rozwalił opuszczoną psią budę na cudzym gruncie, okrzyczanoby cię szkodnikiem, a może złodziejem.

— Tyle mi na ludziach zależy, co na wyciu szakala—zaśmiał się Elpidio.

— No, tak, pókiś sam jeden na stepie, ale gdy żyjesz w gromadzie, to inaczej.

— Ani myślę żyć w gromadzie, poco mi niewola... Czy już dosyć gałęzi?

— Jeszcze trochę, bo to na całą noc.

Przyciągnęli ścięte drzewka i Jasiek zabierał się do rozpalenia, ażeby uwarzyć herwy.

— Nie zapalaj! — krzyknął Elpidio — zgaś ogień! Zaraz!

— Dlaczego? — spytał Jasiek, tłumiąc ogień.

— Wstań! Musimy się odgrodzić jak Indjanie nagą ziemią od traw, bo gdyby się zajęły, zginęlibyśmy niechybnie od płomieni i dymu.

Fakami skopali ziemię w krąg dość znaczny a Elpidio w czasie roboty opowiadał:

— Raz z moim starym prowadziliśmy ośm koni, powierzonych nam na sprzedaż. Spętaliśmy je i puścili na paszę; wtem stary, zapalając cygaretkę, rzucił palącą się zapałkę w tra-

wę. Zaledwie zdążyliśmy wskoczyć na nasze okulbaczone konie i przedrzeć się przez płomienie naprzeciw wiatru, a tamtych ośm koni zginęło.

Już dobrze się ściemniło, gdy skończyli robotę. Jasiek uwarzył wodę na herwę, zjedli część zapasów i ułożyli się, iż na zmianę będą spali, bojąc się niespodziewanego napadu pumy, jaguara, ocelota lub innego drapieżnego zwierza.

Już trzeci dzień szli stepem, zapasy kupione wyszły, głód zaczynał im dokuczać, gdyż prócz kilku ptaszków nie zdołali nic upolować. Na domiar złego zaczęło ich palić pragnienie, a wokoło jak okiem sięgnąć widniały tylko zeschłe badyle i skłębione, pożółkłe trawy.

— Wody! wody!—jęczał Elpidio—albo krwi; czy nie widzisz, Janie, gdzie ptaka? Zastrzelę i napiję się krwi jego.

— Bądźże mężczyzną! Czy sądzisz, że mnie nie pali pragnienie? Pomyśl, że gdyby cię Indjanie schwytali i męczyli, byłoby ci gorzej.

— Zginąłbym i koniec!—zawołał gniewnie—i pomyśleć, że gdzieś płyną rzeki, że ludzie mają wody wbród... a ja muszę tu ginąć z pragnienia!...

— Głupstwa mówisz — uśmiechnął się Jasiek — ja płynąłem morzem, wokoło nic, tylko woda i woda, a opowiadali, że ludzie na morzu giną z pragnienia.

— Ty płynąłeś morzem? — mówił Elpidio zwolna, zamyślony, aż przystanął na drodze — i mówisz, że nic, tylko woda i woda?...

— Tak, cóż ciebie to tak dziwi?

— Ach nic, nic! Zdaje mi się, że i ja kiedyś, kiedyś, ale to bardzo dawno, widziałem morze... coś mi się majaczy o wielkich, bardzo wielkich wodach... a może to mi się tylko śniło.

— I nie możesz sobie przypomnieć?

— Nie... Wiesz, dawniej, gdy zasypiałem, śniło mi się to i owo, jakaś kobieta, jacyś ludzie inni od naszych, dużo wody, i jakieś zabawy... ale to takie zmącone, że nie wiem, co prawda, a co sen.

— Woda!—krzyknął Jaśko radośnie.

— Gdzie? Gdzie?—wołał Elpidio.

— Widziałem, jak ibis zapadł, tam, w tej stronie, gdzie widnieją krzaki; ibisy ciągną do wody, pewno tam jest, skończy się więc nasza męka.

Ożywieni nadzieją przyśpieszyli kroku i istotnie znaleźli moczar wysychający i małą strugę wody. Orzeźwieni nią ruszyli dalej, po naradzie postanowili trzymać się kierunku potoku, który na dnie głębokiego a wązkiego koryta ledwie się sączył.

Jasiek opowiadał mu o życiu na kolonji i wspomniał o chlebie.

— A u was chleb się rodzi?

— Rodzi, teraz są żniwa żyta.

— Dopiero muszą używać na chlebie, a my nie mamy ani kawałeczka. Gdybym dopadł gdzie chleb w polu, zaraz, bym zerwał! — zawołał Elpidio.

— Chleb w polu? Chyba, że go ktoś zapomniał, albo zgubił.

— A mówiłeś, że chleb się rodzi?

— No, nie gotowy— śmiał się Jaśko — są tylko ziarna żyta, które trzeba zemleć, potem tę mąkę zaczynić i dopiero upiec...

— Tak!?—rzekł Elpidio rozczarowany.

— A ty myślałeś, że się rodzi gotowy i upieczony? —śmiał się Jasiek—o, nie, on kosztuje dużo pracy i zachodu. Alboż ty nie znasz żyta?

— Cóż to jest?

— Taka roślina, która rodzi ziarno potrzebne do chleba. A wiesz, co to pług?

Pokazało się, że Elpidio pojęcia nie miał o rolnictwie.

— I wy chleba nie jadacie?—zdziwił się Jaśko.

— W domu jadłem, gdy stary kupił u wendzisty, ale były to placki kukurudziane... ach, gdybyśmy je tu mieli!

Nagle przystanął i zawołał:

— Dym czuję!

— Prawda! — potwierdził Jaśko — ale skąd tutaj dym?

Gdy się tak rozglądał, spostrzegł gromady ptactwa, lecącego szybko wprost na nich.

— Mamy wieczerzę!—zawołał wesoło i zmierzył się strzelbą.

Kilka ptaków padło. Strzelił i Elpidio, także trafił kilka, lecz reszta ptactwa, jak gdyby nie słyszała wystrzałów, zamiast rozproszyć się, pędziła z szumem dalej.

Elpidio chciał iść po zastrzelone ptaki, nagle przystanął i blady jak płótno, krzyknął chrypliwie:

— Pożar!

Jaśko się obejrzał. W szerokiem półkolu palił się step. Czarne obłoki dymu wisiały nad ziemią, wśród nich przewijały się z szybkością błyskawiczną ognisto żółtawe płomyki, trzask palącej się trawy, badyli, krzaków, zbliżał się złowrogo. O jakiejkolwiek ucieczce nie można było zamarzyć.

Gdy Elpidio stał odurzony i osłupiały, wpatrując się w ogień błędnemi oczyma, Jasiek krzyknął rozkazująco:

— Elpidio! Do potoku!

I sam pierwszy skoczył w wązkie koryto, głębokie po pas.

Elpidio usłuchał go machinalnie i przerażonemi oczami wpatrywał się w zbliżający się pożar. Z podmuchem wiatru przypływał żar piekący i zaduch straszliwy.

— Opończa w wodę!—komenderował Jasiek, zaczerwieniony ze wzruszenia i gorąca.

Opończe poszły do strumyka, lecz mała ilość wody z trudnością przenikała wełniany wyrób.

— Nakryjemy się tu opończami, a może się ocalimy—dodawał Jasiek odwagi towarzyszowi.

Żar wzmagał się, gorąco buchało, a ciemna, groźna chmura dymu, z przebłyskami ognia, była już blizko o jakie pięćdziesiąt kroków.

Elpidio niecierpliwy podniósł w górę opończę.

— Do wody z nią!—rozkazał ostro Jasiek—powiem ci, gdy będzie można ją wyjąć.

Niszczący żywioł zbliżył się już o trzydzieści kroków. W wązkim strumyku chłopcy oddychali z trudnością, a trzask i skwierczenie traw głuszyło słowa.

— Proch i strzelbę odrzuć, opończa w górę, padnij, usta przy wodzie!

Zanim Jaśko wypowiedział te słowa, Elpidio już schylił się, nakryty mokrą opończą.

Przytuleni do wody, poznawali po trzasku i szumie, że pożar stepu zbliża się, żar z dymem dusił ich, a ratowała ich wilgoć, usta otwarte trzymali tuż przy wodzie.

Struga, w której leżeli, przestała się sączyć, gdyż skąpa woda w niej wyparowała. Łomot, trzask, skwierczenie, huk groźny, jakby tysiące koni dudniło kopytami po stepie, był tuż, tuż nad nimi.

Przytulili się jak najsilniej do ziemi, a Jasiek poczuł, że coś zimnego a ślizkiego przesunęło

się tuż nad jego głową i przyczaiło się pod opończą.

Strach go zdjął, że to wąż, lub jaki inny gad, uciekając przed pożarem, korytem strugi, usadowił się nad jego głową. Czuł, że ów gad stara się wsunąć głębiej pod opończę i rwie zębami przeszkodę. Z całej siły zacisnął mokrą opończę nad głową.

Nagle rozległ się wśród tej piekielnej wrzawy ognistej strzał jeden, drugi, trzeci i czwarty.

— To nasze strzelby — pomyślał i zadrżał, przypomniawszy sobie, że ma za pasem nabity pistolet i rewolwer, a pod sobą rożek z prochem.

Jeszcze bardziej przylgnął do ziemi, chroniąc własnem ciałem broń od rozgrzania.

Czuł, że omdlewa z gorąca; rozbudziło go silne pieczenie w plecy i głowę, zerwał się i silnym ruchem precz odrzucił płonącą opończę. Spojrzał na Elpidia leżącego bez ruchu. I na nim zapaliła się opończa, zdarł ją z niego, parząc sobie palce.

Obejrzał się wokoło. Burza pożarna już przeszła, lecz ziemia nad brzegami dyszała żarem i drobne ogniki, jak malutkie błyskawice, wiły się i tryskały wśród nizkiej chmury dymu.

Szybko odłożył pistolet i rewolwer, a schyliwszy się, spostrzegł wielkiego jaszczura, który z rozwartą paszczęką dyszał ciężko, leżąc nieruchomo. Z jaszczurami znał się Jaśko, wie-

dział, że są nieszkodliwe dla ludzi, zostawił go tedy w spokoju, a zwrócił się do Elpidia.

Przykląkł nad nim, odwrócił go i spostrzegł, że ma pełne usta mułu. Rękojeścią faki rozwarł mu szczęki szeroko, wygarnął palcem muł i z całej siły począł dmuchać w otwarte usta.

Po dobrej chwili Elpidio otworzył oczy, westchnął i znów powieki opuścił. Co tu robić?—myślał Jaśko zrozpaczony, może on umarł? Nagle przypomniał sobie, że zemdlonych rozbierają i nacierają wodą. Szybko rozpiął na nim marynarkę, koszulę i ręką tarł stronę lewą ciała, rozglądając się bacznie, czy nie zobaczy wody. W zagłębieniu dostrzegł trochę brudnej wody, zaczerpnął ręką i nalał nieprzytomnemu na lewy bok, ciągle go rozcierając.

Elpidio drgnął, otworzył oczy, znów westchnął i patrzał nieprzytomnie dokoła.

— Żyjesz nareszcie!—zawołał radośnie i dopiero teraz przypomniał sobie, że w manierce miał przecież wodę.

Szybko przytknął szyjkę manierki do ust Elpidia i nalał w nie wody. Wprawdzie była ona ciepława, ale bądź co bądź przepłukała gardło.

— Cóż to było ze mną? — szepnął Elpidio, a poznawszy Jaśka, uśmiechnął się, wróciła mu pamięć pożaru.

— Żyjemy? — spytał z powątpiewaniem.

— Jak widzisz!—zaśmiał się Jaśko—ale po kiego djabła jadłeś muł?

Elpidio usiadł, splunął resztkami błota i mruknął:

— Prawda! Widocznie zgłupiałem, daj wody!

Jasiek podał mu jego manierkę, Elpidio wypłukał usta, rozejrzał się przytomnie, a przywykły do opończy, szukał jej. Dostrzegł to Jaśko i rzekł:

— I twoja i moja opończa spalone. Całe szczęście, że wczas spostrzegłem, bylibyśmy upiekli się żywcem.

W tej chwili i jaszczur oprzytomniał, poruszył się i zaczął uciekać w górę strugi. Spostrzegł go Elpidio i zawołał:

— Strzelaj! Zabij!

Jaśko spojrzał spokojnie za uciekającym i rzekł:

— To nieszkodliwe stworzenie.

— Ale mięso jego dobre.

— Nigdybym go nie jadł! —zawołał Jaśko z obrzydzeniem.

— A nasze ptaki, pewno na węgiel spalone.

Poszedł w stronę, gdzie padły.

— Chyba nie! Od spalenia obroniło je ich pierze.

Ruszył i Jaśko na poszukiwanie.

Okazało się, że ogarnięte nagłym płomieniem pierze na nich spopielało, ale mięso

upiekło się i było smakowite, zwłaszcza, że obaj chłopcy byli bardzo zgłodniali.

Tej nocy wśród popielisk i czarnego od węgla stepu, spali spokojnie, nie nagabywani przez żadne zwierzęta.

Kierując się Wielkim Krzyżem na niebie, który na drugiej półkuli zastępuje nasz gwiazdozbiór, Wielką Niedźwiedzicę, wskazującą stale północ, szli przez dwa dni stepem spalonym. Pożar skończył się nad przepaścistym parowem, stanowiącym łożysko szerokiej, lecz płytkiej rzeki, którą z łatwością przebrnęli.

Minęło osiem dni, gdy pokazały się pojedyńcze karłowate drzewa, krzewy, a na widnokręgu gaje araukarji.

Od kilku dni żyli już tylko upolowanemi ptakami i dwoma pancernikami, które udało się im zabić w noc księżycową. Pancerniki bowiem wychodzą na żer ze swych nor nocą, a mają tak wybornie przystosowane do swego życia przednie nogi, że w razie niebezpieczeństwa, z nadzwyczajną szybkością kopią nory i już są zabezpieczone.

Obydwaj pragnęli zmiany w odżywianiu, zwłaszcza Jaśko tęsknił za chlebem, a bodajby za owocami, ale w stepie prócz mięsa i czasem orzeszków z szyszek araukarji nie mogli nic znaleźć.

Więcej z nudów, niż z potrzeby zaczął Ja-

siek uczyć Elpidia polskiego języka, tłumacząc mu potrzebę tegoż w ten sposób:

— Naucz się Elpidio po naszemu, po polsku, dopiero będziesz człowiekiem.

— A czyż ja małpa? — zaśmiał się — jam lepszy człowiek od ciebie, szlachcic, wolny, niezależny obywatel rzeczpospolitej brazylijskiej.

— No, tak... ale nie wiedziałeś, co chleb, żyto, pług! Nie używasz mleka, sera, masła; nie masz pojęcia o kuchni angielskiej, butów nie miałeś, siać nie umiesz, domu porządnego nie znasz, tyle tylko, co widziałeś w mieście. Żyjesz jak jaguar, albo puma z tego, co zabijesz albo upolujesz, i czy to życie?

— Nie zamienię się na wasze.

— Ale chleb ci smakuje?— zaśmiał się Jaśko, a właśnie Elpidio bardzo pożądał chleba.

— O, chleba chcę!—rzekł połykając ślinkę.

— A, kawa ze śmietanką lub mlekiem, taka słodka...

— Nie mów mi o niej! Poco drażnić, kiedy nie dasz.

— Będziesz miał wszystko, jak nauczysz się po polsku.

— Jakimże sposobem?

— Osiądziesz wśród nas.

— O nie! nie chcę, lubię swobodę!

— Dobrze, więc będziesz siać u siebie, zbudujesz dom z kuchnią, będziesz miał mleko, kawę...

— Ach, to byłoby doskonale!

— Ale musisz nauczyć się po polsku, ażeby poznać te rzeczy.

— To się nauczę!

W ten sposób zaczął Elpidio uczyć się po polsku. Była to metoda poglądowo-naśladowcza, która z początku dużo mozołu i pracy kosztowała Jaśka, mimo że Elpidio był pojętny, lecz miał tę wadę, że się niecierpliwił. Zwłaszcza przypadkowanie i odmiana czasów miały przywilej wyprowadzania go z cierpliwości i przeklinał co się zmieściło język polski.

Często przychodziło do żywej wymiany słów, a czasem do krótkotrwałego gniewu. Z wymawianiem „rz" i „ż", a również „h" i „ch" miał Jaśko dużo mozołu. Jednak w ciągu kilkumiesięcznej stepowej podróży, Elpidio tyle nauczył się po polsku, że mógł już z Jaśkiem rozmawiać.

Gdy w nocy położyli się przy wielkiem ognisku, Jaśko chwalił Elpidia za jego postępy w nauce polskiego języka, na co Elpidio po dłuższem milczeniu rzekł przyciszonym głosem:

— Wiesz, Jasiek — od czasu nauki nie nazywał go już Janem — dusza ludzka przebywa pokutę, zanim wejdzie do ciała prawdziwego Brazylijczyka, który jest najdoskonalszy ze wszystkich narodów.

— To jakieś pogańskie bajki — zgromił go

Jasiek—sam Pan Bóg stwarza duszę, dla każdego oddzielną.

— Tak mówisz? więc powiedz, czy twoja dusza taka sama jak Indjanina lub murzyna?

— Jeśli on katolik, to dusze nasze są równe.

— Ależ Indjanie są poganie!

— Hm... powiadasz, poganie... to zapewne mają inną duszę.

— A widzisz!?—tryumfował Elpidio - i mój stary miał rację, mówiąc, że Pan Bóg za straszne zbrodnie umieszcza duszę w ciele Indjanina.

— Niech i tak będzie... cóż z tego?...

— Ja sobie myślę, że chyba moja dusza musiała być kiedyś polska, bo chwilami zdaje mi się, że ja już słyszałem takie słowa, a teraz tylko powtarzam!

— To dziwne—zamyślił się Jaśko.

Ale że tej zagadki nie umiał rozwiązać, zaczął mówić o wyszukaniu drogi do Guarapuava i naradzać się nad sposobem dopytania się do miasta.

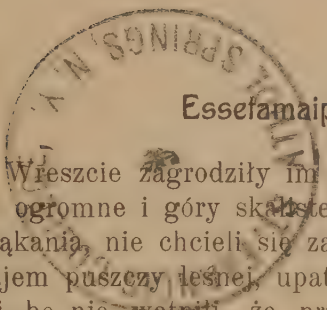

Essefamaipu.

Wreszcie zagrodziły im drogę lasy dziewicze ogromne i góry skaliste. W lasy, z obawy zbłąkania, nie chcieli się zapuszczać, szli więc krajem puszczy leśnej, upatrując drogi handlowej, bo nie wątpili, że przez te bory i góry droga taka być musi.

Drugiem zmatwieniem, może jeszcze gorszem od zbłąkania, był brak prochu i kul. Oszczędzali teraz każdego naboju, ptactwo mogło swobodnie siadać tuż przed nimi, żaden nie podniósł strzelby do strzału, zachowując ostatnie naboje na odparcie napadu drapieżców, a może Indjan, o których w ostatnich czasach dużo ze sobą mówili.

Już słońce słaniało się ku zachodowi, gdy idąc brzegiem potoku, Elpidio dostrzegł w mokrym namule nadbrzeżnym odcisk kopyta końskiego.

— Jasiek, tu był człowiek!—zawołał uradowany—patrz, ślad konia.

— Prawda! Ktoś jechał w głąb lasu, bo przód kopyta do lasu zwrócony... szukajmy dalej.

Jaśko często śledził zwierzynę po lasach, i tam, gdzie inny nic nie spostrzegł, on wytropił. Również Elpidio, wychowany na stepach, często tylko śladami się orjentował, szukając drogi lub brodu przez rzeki.

Wkrótce odszukali dalsze ślady końskich kopyt. Jeździec jechał na razie ledwie widoczną ścieżyną wśród gęstych krzewów, ale stopniowo droga stawała się widoczniejszą i wśród dwóch ścian lasu prowadziła ku skalistym wzgórzom.

Wreszcie na kamienistym gruncie wszelki ślad zginął i droga również. Stali przez chwilę niezdecydowani. Nagle posłyszeli dalekie rżenie konia, a poznawszy teraz kierunek, szli szybko.

— Słuchaj, Elpidio, a jeśli to Indjanie i my wpadniemy w ich sidła? — odezwał się Jasiek.

— O, nie, to nie są Injanie, koń był podkuty, a tego Indjanie nie znają.

Po pewnym czasie przemówił znów Jasiek zaniepokojony:

— A może to zbóje... noc zapadnie za chwilę. Bezpieczniej będzie tu przenocować, aniżeli leźć na ślepo, dalej.

— Może masz słuszność — odrzekł Elpidio.

Wyszukali więc wśród skał schronisko zasłonięte od wiatru i głodni ułożyli się na spoczynek wśród mchów i bujnych krzaków.

Zaledwie promienie wschodzącego słońca ozłociły wierzchołki gór skalistych, zerwali się obaj z legowiska.

— Rozpalmy ognisko, porządnie zziąbłem— mówił Elpidio, trąc ręce.

— Rozgrzejemy się, idąc dalej, poco zdradzać się przedwcześnie? — odpowiedział Jaśko.

— Jakiżeś ty podejrzliwy! — nachmurzył się Elpidio, ale, doświadczywszy kilkakrotnie roztropności Jaśka, nie upierał się.

— Zważ, Elpidio,—mówił Jasiek, opatrując broń — jeśli ktoś chroni się w takich górach, to napewno ma nieczyste sumienie i ostrożność nie zawadzi.

— Ten ktoś może posiada kolonję za górami i przyjmie nas gościnnie.

— Nie mieszka za górami, bo w nocy słyszałem rżenie koni, mieszka więc niebardzo daleko.

— A, jeśli słyszałeś, to może masz słuszność... chodźmy.

Gdy zeszli z góry w dolinę kamienistą, przez którą z szumem przepływał bystry potok, Elpidio po kilkudziesięciu krokach przystanął i wskazał Jaśkowi kamień. Znać było na nim uderzenie żelazem.

— To pewno z podkowy—zniżył głos.

Posuwali się więc zwolna w górę drożyną kamienistą, która, gdy zaczęli w dół schodzić, ginęła wśród bujnych, rozrośniętych krzaków i dopiero po usilnych poszukiwaniach odkrył Jaśko pikadę, ścieżkę leśną, przez którą koń mógł się przesunąć.

Szli w dół ostrożnie, aby nie czynić hałasu, ani nawet szelestu. Po piętnastu może minutach wązka pikada nagle rozszerzyła się i zdumionym oczom Jaśka i Elpidia ukazała się piękna dolina, pokryta puszystą zieloną trawą. Dolina nie była wielka, miała długości najwyżej kilometr, a szerokości z pół kilometra; przerznięta była potokiem, wypływającym z dziewiczego lasu, który z jednej strony zamykał dolinę, strome zaś zbocza gór, otaczające ją z reszty stron, były pokryte bujną roślinnością.

Ale piękność tej doliny nie zajmowała przygodnych widzów. Oni bacznie przypatrywali się domowi, zbudowanemu z grubych pni, i dwóm wielkim psiskom, wałęsającym się po zagrodzonym dziedzińcu.

W głębi, od domu na prawo, wznosiła się wysoka, opalisadowana zagroda, w której mieściło się pięć koni. Nigdzie, ani przy domu, ani w dolinie, nie było śladu uprawy, jakichkolwiek roślin lub warzyw, na co zwrócił Jasiek uwagę Elpidia, a ten odpowiedział:

— Z tego poznaję, że tu mieszka praw-

dziwy brazylijczyk... pewno handlarz koni i mułów.

— Ale pewno nie swoich – uśmiechnął się Jasiek.

— To wszystko jedno, skoro jest u mnie, to mój... O, psy węszą! może nas poczuły.

— Chyba nie, bo nie szczekają... czy wejdziemy tam?

— Naturalnie.

— Zgadzam się, bom głodny, ale zaczekajmy, póki ktoś nie wyjdzie z domu.

— Dobrze, to nie przeszkadza nam jednak zbliżyć się do domu, tylko ostrożnie, bo te psiska nie są przyjemne przy spotkaniu.

Ostrożnie, chyłkiem, przysunęli się na jakie dwieście kroków i stanęli zakryci gęstwą drzew.

Po chwili otwarły się drzwi i ukazał się w nich mężczyzna średniego wzrostu, ze słabym, szpakowatym zarostem na brzydkiej, ospowatej twarzy. W koszuli czerwonej, w spodniach skórzanych, przytrzymywanych wydrowym pasem, nad którym sterczała z jednej strony rękojeść noża, z drugiej rewolwer. Wielki, filcowy kapelusz przysłaniał twarz. W ręku trzymał sznur, uwiązany na szyi młodej Indjanki, która ze skrępowanemi z tyłu rękami szła za nim.

— Bugreiro! — szepnął Elpidio.

Tak nazywają w Brazylji łowców Indjan.

Psy, zobaczywszy Indjankę, rzuciły się, szczekając z wielką zajadłością na nią, lecz mężczyzna krzyknął groźnie, jednego psa kopnął i uwiązawszy koniec postronka, który trzymał, do drzewa, rosnącego przed domem, sam poszedł wziąć psy na łańcuch, klnąc je i kopiąc nogami. Przy tej czynności spadł mu kapelusz i odsłonił łysą czaszkę.

— Zdaje mi się, że go poznaję — szepnął Elpidio.

— Kogo?

— Ten bugreiro bardzo podobny do Peryklesa de Oliveira, zabójcy mego starego... mam go! to on!—kończył z błyszczącemi złowrogo oczyma i strzelbę wziął w rękę.

— Czy pewny jesteś?—spytał Jaśko.

— Bardzo, nie bardzo, ale taki podobny, że mam ochotę w łeb mu palnąć.

— Ani się waż!— rzekł Jaśko surowo — tu podobieństwo nic nie znaczy.

Elpidio zaklął, ale strzelbę przewiesił na ramię i szepnął:

— Zbliżmy się... psy uwiązane.

Podeszli, kryjąc się w krzakach, na jakie pięćdziesiąt kroków i stanęli, patrząc i nasłuchując.

Tymczasem ów tajemniczy osadnik wrócił ku domowi i po drodze uderzył kułakiem Indjankę, krzycząc po brazylijsku:

— Na bok, ścierwo! Pan idzie!

Po chwili wyszedł ze strzelbą w ręku i pokazując ją Indjance, rzekł:

— Jeśli spróbujesz ucieczki, zastrzelę cię jak psa.

— Twoja niewolnica zrobi, co każesz — odparła drżącym głosem.

— No, i ja tak myślę — zaśmiał się — od tego mam bat... Rozpal ognisko przed domem! — zdjął sznur, rozwiązał ręce i smagnąwszy ją postronkiem, krzyknął: — Prędzej!

Indjanka zniknęła we drzwiach domu. Po chwili wyniosła pęk szczap suchych, ułożyła, wróciła znów do domu i przyniosła zapaloną szczapę, którą podłożyła pod tamte.

— Podłóż więcej — wskazał strzelbą na rozrzucone drwa pod domem.

Indjanka zbierała i dokładała do płonącego ogniska, a on dozorował, usiadłszy na pniaku.

— Dosyć! — krzyknął — przynieś mi herwę, mięso i chleb, a nie rusz nic, bo baty, aż skóra ci potrzaska.

— Twoja wola, panie.

Poszła w głąb domu i przyniosła żądany posiłek.

Wziął od niej, spojrzał na chleb i z całej siły uderzył ją postronkami po odsłoniętych piersiach, krzycząc z gniewem:

— A, ty suko indyjska, ułamałaś chleba!

Indjanka po uderzeniu jęknęła, zachwiała się, a na piersiach jej wystąpiły krwawe pręgi.

— W rogu pokoju — rozkazywał drżącej Indjance — stoi oparte o ścianę piętno żelazne... przynieś tutaj!

Indjanka padła z jękiem na kolana i złożywszy ręce, prosiła:

— Litości, panie! Litości!

— Co, nie słuchasz rozkazu!? — huknął.

Zerwał się z pniaka i trzymanemi sznurami począł ją bić, gdzie popadło.

Podniosła się z klęczek i szlochając, biegła ku drzwiom domu.

Jasiek, patrząc na tę scenę, to bladł, to czerwieniał, drżał z gniewu i oburzenia.

— Łotr! — syknął przez zaciśnięte zęby co on zamyśla, Elpidio?

— Pewno ją napiętnuje, ażeby nie uciekła — odpowiedział dość obojętnie.

— Na to nie pozwolę — rzekł Jaśko stanowczo — to zbyt ohydne.

— Indjanka jest jego własnością, a jeśli konia piętnuje, wolno mu i ją napiętnować — powiedział Elpidio.

— Ależ to człowiek, nie koń! — oburzył się Jaśko.

— Indjanin nie człowiek i wszystko zniesie.

— Nie jesteś chrześcijaninem i nie masz serca — zgromił go Jasiek. — Wyobraź sobie, że to ciebie on tak bije, męczy i chce piętnować.

— Mnie!? — zapaliły mu się oczy — zabiłbym go! zamordował!

— A Indjanin to przecież twój bliźni, i ta nieszczęsna, bezbronna.

— Prawda! Obrońmy ją, Jasiek!

— I obronimy!

Indjanka przyniosła dość długi żelazny młotek, na końcu którego wyryte było piętno, służące do naznaczania wołów i koni.

— Włóż w żar piętno, do kości ci przypalę, wówczas odechce ci się uciekać ode mnie.

Indjanka zawahała się, lecz on podniósł pęk sznurów i pogroził. Usłuchała i włożyła główkę młotka w ogień.

— Pójdź tu do mnie, ty ścierwo indyjskie! — rozkazał jej.

Dziewczyna z drżeniem zbliżyła się ku niemy, a on skrępował jej ręce w tył, na szyję zarzucił pętlę, następnie związał nogi i pchnął ją.

Padła na ziemię, jęcząc i płacząc, a on do niej mówił:

— Gdy cię schwytałem po raz pierwszy, zapowiedziałem, że przy pierwszej próbie ucieczki napiętnuję cię na czole i piersiach. Przy drugiem usiłowaniu obedrę żywcem ze skóry. Uciekłaś, schwytałem cię i teraz napiętnuję.

Wstał z kloca, odłożył strzelbę i szedł w kierunku ogniska, ażeby wyjąć piętno.

W tej chwili Jasiek wyszedł z ukrycia i krzyknął:

— Puść ją, bo zginiesz!

Brazylijczyk podniósł dumnie głowę i zawołał:

— Kto to śmie mi rozkazywać w moim własnym domu?

— Puść Indjankę, albo śmierć twoja!

— Ta suka indyjska jest moją własnością! I wiesz ty, z kim zaczynasz, głupi młokosie? Jestem Perykles de Oliveira! Strzeż się!

Wyjął rewolwer i mierzył do Jaśka.

— Tyś zabójcą Aristydesa da Forga!—krzyknął Elpidio, stojący dotychczas za krzakiem— giń, zbóju!

Strzał był celny, Perykles dostał kulą w serce i padł bez jęku.

Psy zaczęły wyć przeraźliwie, a Elpidio, dotykając ramienia Jaśka, rzekł:

— Uchodźmy! Zabiłem łotra i mam dosyć tego.

— A Indjanka!?—zdziwił się Jaśko.

— W domu są napewno jego towarzysze, zaraz wyjdą... uchodźmy!

— Nie! Wpierw musimy ocalić Indjankę, oni ją zamęczą.

— I dla Indjanki narażasz życie nasze? — zawołał Elpidio zgorszony.

— Nie twoje, lecz swoje—i poszedł szybko ku domostwu.

Elpidio, klnąc cicho, szedł za nim. Jasiek przystąpił do leżącej, zdjął postronek z szyi, i rozwiązywał jej nogi i ręce. Elpidio, patrząc z lekceważeniem na tę robotę, spytał Indjanki:

— Czy jest kto w domu?

— Tylko mój pan, Perykles de Oliveira.

— Ten już nie żyje.

— Zginął!? O, dzięki wam! Dzięki!—całowała nogi Jaśka.

— Jesteś wolna! — rzekł Jaśko, odrzucając postronki, któremi była skrępowana.

Indjanka podskoczyła w górę, wydała głos radości i patrząc z wdzięcznością na Jaśka, obie ręce przyłożyła do serca, a skłaniając się nizko, mówiła:

— Essetamaipu życie ci odda z radością, gdy zażądasz.

— Słuchajno — odezwał się Elpidio — życia twego nie potrzebujemy, ale daj nam co jeść, bo pewno znasz dobrze ten dom.

— Byłam tu przez sześć całych księżyców, dam ci jeść.

Pobiegła do środka domu.

Elpidio i Jasiek poszli za nią, nie zważając na wrzaski rwących się psów. Już byli blizko drzwi, gdy jeden z psów zerwał łańcuch i ze wściekłem ujadaniem skoczył na Elpidia. Ten wyjął rewolwer i zastrzelił psa w chwili, gdy dopadał nóg jego.

Dom składał się z obszernej sieni, z dużej izby, w rogu której na kamieniach palił się ogień, i z mniejszego alkierza, przeznaczonego na skład cenniejszych rzeczy.

W sieniach wisiały bogate rzędy na konie,

kulbaki wykładane srebrem i koralami, siodła, ostrogi, trędzle, uździenice, arkany.

W wielkiej izbie leżał cały stos skór, służących do spania. Przy ognisku stał stół, a nad nim kilka półek, na których leżały trzy bochenki chleba, dużo zeschłych bułek, kilkanaście pudełek konserwów mięsnych i rybnych i cała baterja flaszek z kaszasem i winem.

— Ci używają! — zaśmiał się Elpidio — ale i my podjemy sobie!

Jasiek zajrzał do alkierza. Na ścianach wisiała broń rozmaita, od strzelb skałkowych do karabinów najnowszego systemu.

Essetamaipu już przygotowała suty posiłek z mięsa, konserwów, owoców; nad ogniem wisiał kociołek z wodą na herwę.

Jasiek zanim usiadł, spytał Indjanki:

— Słuchaj, dziewczyno, gdzie chowa twój pan proch i kule?

— Chodź ze mną... pokażę ci.

W rogu alkierza, w skrzynce okutej był znaczny zapas prochu i kul. Jasiek napełnił swój róg prochem i róg Elpidia, który chciwie się posilał. Nasypawszy kul do woreczka, danego mu przez Kasię, zasiadł do jedzenia.

Essetamaipu, dotychczas naga, zarzuciła na siebie jakąś barwną chustę i usługiwała gorliwie przy stole.

Jasiek zauważył, że ona od czasu do czasu pożądliwie patrzała na jedzenie, lecz gdy spot-

kała wzrok dwóch chłopców, szybko spuszczała oczy.

— Dziewczyno, jeśliś głodna, siadaj z nami i jedz!—przemówił Jaśko dobrotliwie.

— Nie siądę przy tobie—szepnęła.

Jasiek ukroił dobry kawałek chleba, dodał kilka płatów mięsa i podał Indjance, mówiąc:

— Bierz i zajadaj!

Pochwyciła chleb, przyłożyła rękę do serca i wybiegła z izby.

— Dlaczego ona wyszła?—spytał Jasiek.

— Niewolnikowi nie wolno jeść wobec pana – objaśnił Elpidio, – a wiesz co, Jasiek, zabierzemy stąd sobie dwa najlepsze konie i pojedziemy do Guarapuava.

— Nie, Elpidio, to byłoby kradzieżą.

— Czy sądzisz, że on je kupił? — zaśmiał się Elpidio.

— Wszystko jedno, konie te nie są moje, a jeśli je sobie przywłaszczam, jestem złodziejem.

— Dziwne pojęcie honoru — zaśmiał się Elpidio ironicznie – zresztą po koniach mogliby nas poznać, ale chyba pozwolisz, ażebym poszukał złota u tego zbója.

— Ależ Elpidio, czy ty dla rabunku zabiłeś tego zbrodniarza?—zawołał Jaśko zgorszony.

— To dobre – śmiał się Elpidio —koni, zło-

ta nie chcesz, ale proch, kule, chleb, jedzenie... to wolno?

— Hm... widzisz... gdyby tu był gościnny gospodarz, nie odmówiłby nam ani prochu, ani kul, ani jedzenia, a co innego wzbogacać się cudzym kosztem.

— Dajże mi spokój z twemi przesądami głupiemi — zawołał gniewnie — Perykles zabił starego, zniszczył mój dom i ja mam prawo to samo jemu zrobić. I chcesz, czy nie chcesz, napełnię milreisami ten mój pugilares.

Wyjął z bocznej kieszeni pugilares i z hałasem położył go na stole.

— Wiesz, Elpidio, ty jesteś dobry towarzysz, dobry człowiek, ale chyba nigdy nie uczyłeś się katechizmu.

— Co tam pleciesz? - wstał od stołu i przechadzając się po izbie, mówił:—czy ty ksiądz? nauczyciel? Jakieś egzaminowanie!? Jesteś skończony głupiec!

I gniewny chodził z kąta w kąt, potrącając wielkie czaszki wołowe z rogami, które, nakryte dywanikami, służyły mieszkańcom za fotele.

Nagle wpadła przerażona Essetamaipu i zawołała:

— Jadą inni, co tu mieszkają! Uciekajcie!

— Ilu ich?—krzyknął Elpidio.

— Nie wiem... może dziesięciu, ale oni straszni!

— Uciekajmy! – zawołał Jasiek, a rzuciwszy okiem na stół, porwał bochenek chleba

Gdy wybiegli, dojrzeli, że Indjanka pobiegła w kierunku lasu. Była to zresztą jedyna wolna droga, gdyż wokoło wznosiły się strome zbocza, a drożyną, którą tutaj dotarli chłopcy, jechali zapewne towarzysze zabitego Peryklesa.

Biegnąc za Indjanką, usłyszeli na swej dawnej drodze trąbkę, na odgłos której pies na łańcuchu zaszczekał radośnie.

Indjanka, szybko biegnąc, wyprzedziła Jaśka i Elpidia o jakie pięćdziesiąt kroków. Był to czas najwyższy do ucieczki. Od lasu dzieliła ich przestrzeń do pięciuset kroków, gdy z drożyny górnej nowoprzybyli jeźdźcy wydali okrzyk wojenny i krzyknęli:

— Łapaj! Nie ujdziecie! Złodzieje! Łotry! Zbóje!

Rozpuścili konie, zadudniła ziemia i słychać było komendę:

— Dwóch na prawo! Przeciąć im od lasu!

Uciekający wytężyli wszystkie siły, nie biegli, lecz lecieli ku zbawczemu lasowi. Ale i jeźdźcy nie żałowali koni, nagląc je razami i krzykami.

Pierwsza Essetamaipu dobiegła lasu i wśliznęła się do środka przez otwór, którym przepływał strumyk.

Jaśko i Elpidio pozostali w tyle o jakie trzydzieści kroków. Wtem jeden z jeźdźców, widząc,

że wątpliwem jest odcięcie zbiegów od lasu krzyknął:

— Ognia!

Padły dwa strzały. Z biegnącego konia trudno jednak trafić i kule chybiły celu. Wówczas jeden ze ścigających zatrzymał swego konia, zmierzył z karabinka i strzelił.

Kula gwizdnęła nad uchem Jaśka, aż się odchylił i odskoczył.

— Ten jest! — zawołał strzelec tryumfalnie, sądząc, że Jaśka zranił.

Jednak rzekomy ranny biegł dalej, trochę wolniej, co prawda, bo doznał kontuzji od kuli, ale już dopędzał lasu.

Teraz Brazylijczycy, raczej dla własnej fantazji i dla napędzenia strachu zbiegom, urządzili formalną kanonadę. Zeskoczyli z koni i stanęli naprzeciw lasu, do którego człowiek zaledwie przy pomocy faki mógłby się wedrzeć, bo konno nie było sposobu.

Jeden z nich, brunet, piękny mężczyzna, z ładnym, starannie utrzymanym wąsem, ubrany z niezwykłą elegancją, zawołał:

— Za łotrami w las!

Wbiegł do strumienia, spojrzał w otwór, którym uciekali zbiegowie za Essetamaipu. Nie dostrzegł ich w łożysku, ani żadnej ścieżyny w gąszczu leśnym, tedy począł ciąć faką splątaną gęstwinę.

Inni zawahali się, wreszcie jeden z nich powiedział:

— Schronią się w lesie i możemy przejść obok, a nie zobaczymy. Co innego z psami, wówczas ich wytropimy.

Tnący faką odwrócił się i rzekł:

— Tak, z psami wytropimy ich łatwo; Pedro, skocz po psy, a konie zabierz. Zaś my, panowie, utorujmy sobie przez ten czas pikadę.

Wzięli się energicznie do roboty. Wtem nadjechał galopem wysłany Pedro, wiodąc psa na smyczy. Spostrzegli go zdala, a piękny brunet rzekł z gniewem:

— Ten osieł prowadzi tylko jednego psa!

— Prawda! Zgłupiał chyba—dodał inny.

Lecz Pedro dobiegł na koniu i zawołał przerażonym głosem:

— Perykles zabity, pies zastrzelony, dom otwarty!

— Nie żartujesz?—pytał brunet, blednąc.

— Zobacz sam, trup zimny.

— Czy okradli nas?

— Nie wiem, nie miałem czasu zbadać domu.

— Panowie!—zawołał brunet, a piękna twarz jego ziała nienawiścią — tych łotrów musimy dostać! Naprzód!... Wpierw opatrzcie broń! Nie mogą nam ujść!

Wkrótce nabił broń, a gdy przedarli się do wnętrza lasu, puścili wielkiego psa ze smyczy i poszczuli go w pobliżu potoka.

Pies przez chwilę węszył, biegał to w tę, to w ową stronę, przeskakiwał kilkakrotnie potok, nawracał, nagle zapiszczał radośnie i ujadając urywanem naszczekiwaniem, biegł w głąb lasu; za głosem psa w równej linji posuwali się ścigający, trzymając broń w pogotowiu. Chwilami pies cichł zupełnie, lecz po pewnym czasie znów ujadał ze zdwojoną zaciekłością.

Miarkując po głosie psa, uciekający znacznie wyprzedzili ścigających i byli oddaleni mniej więcej o kilometr, co zawdzięczali temu, że idąc za Indjanką, znającą widocznie ten las doskonale, posuwali się naprzód prawie bez użycia faki.

Pies był istotnie nietylko na tropie, ale teraz gonił na oko.

Ostatni szedł Elpidio i gotował się do obrony przed psem, lecz ten ominął go po przez gęstwinę i popędził dalej.

Dopadał Jaśka, który pomiędzy drzewami zobaczył przekrwione, błyszczące oczy, białe, ostre zęby i czerwony, wywalony język.

I jego również chciał pies wyminąć, gdyż był może tresowany do śledzenia Indjan, a może nie znosił zapachu właściwego Indjanom, co u psów często się zdarza.

Przed Jaśkiem, o jakie dziesięć kroków biegła Indjanka; słysząc ujadanie psa, krzyknęła ze strachu i zgrozy. Szybko objęła jedno z drzew i poczęła się wdrapywać na nie, lecz

zmęczona biegiem, na gładkim pniu nie mogła posunąć się wysoko i pies z łatwością byłby jej dosięgnął. Już, już dopadał do nóg Essetamaipu, gdy Jasiek zmierzył z pistoletu i kula przetrąciła zwierzęciu kręgosłup. Pies zaskowyczał i siadł na zadnie nogi. Spróbował powstać i pochwycić Indjankę, lecz rana zmusiła go do bezczynnego siedzenia, jakkolwiek pożądana zdobycz była tak blizko. Począł tedy jęczeć i wyć żałośnie.

Podszedł Jaśko, a litując się nad śmiertelnem zranieniem, dobił psa kulą z rewolweru.

— Strzałem możesz nas zdradzić — powiedział niezadowolony Elpidio — nie mogłeś faką go dobić?

— Za wstrętne!—odparł Jaśko—zresztą niema czasu na spory. Stało się! Idźmy dalej!

Po chwili spytał Indjankę:

— Essetamaipu, znasz ten las dobrze?

— Jak własne palce; tu wychowałam się i tu polowali moi rodzeni.

— Więc prowadź nas i ukryjmy się, bo siły mnie opuszczają.

— Chodźcie za mną.

Skręciła w bok od potoku i jak zgrabne zwierzątko przemykała się wśród lian i gęstwiny.

Z wielką trudnością nadążali za nią, unikając starannie użycia faki, gdyż nacięcia mogłyby sprowadzić prześladowców na ich drogę.

Nawoływania i odgłosy ścigających dochodziły ich coraz bliżej, więc chociaż upadali ze znużenia, szli szybko w głąb lasu.

Niestrudzona Essetamaipu pięła się w górę wązką, skalistą ścieżką i w jednem miejscu, gdzie gęstwa splątanych lian zdawała się nie do przebycia, stanęła, odchyliła liany jak ruchomą, ciężką zasłonę i wskazując na nizki otwór, rodzaj szczeliny w skale, zawołała wesoło:

— Tu odpoczniecie bezpiecznie!

Otwór był ciasny, ale dalej jaskinia rozszerzała się i można w niej było stać wygodnie.

Jaśko i Elpidio, spoceni, zziajani, pokładli się na ziemi, oddychając ciężko. Indjanka przysunęła się do otworu i nasłuchiwała. Nagle odwróciła się ku leżącym i wyszeptała:

— Idą!

Chłopcy zerwali się z ziemi i trzymając broń w pogotowiu, patrzyli w dół na kamienistą dolinkę, nad którą w rodzaju sznurów chwiały się odrostki lian leśnych.

Czekali dość długo i zniecierpliwieni zaczęli szeptem rozmowę, ale Indjanka, kładąc palec na ustach, nakazała im milczenie.

Po chwili czterej ścigający zeszli się stopniowo w dolince.

— Na kamieniach zginęły nam ich ślady— skarżył się jeden.

— Ja radzę przeszukać te skały—rzekł brunet—pewno siedzą w jakiej dziurze.

— Może i siedzą, lecz jeśli psa zastrzelili, Peryklesa zabili, nie pożałują ołowiu i na nas— przemówił drugi.

— A ja jeszcze raz przypominam wam — rzekł piękny brunet—że ci, którzy odkryli nasz dom, muszą zginąć. Zresztą, napewno obłowili się naszym ciężkim dorobkiem, czy mamy ich wolno puścić?

— Więc szukaj sam—zawołał jeden z nich gniewnie — ja jestem pewny, że sami w lesie zginą, albo Indjanka poprowadzi ich do swego szczepu, a tam już ich zamęczą.

— Słusznie!... Prawda!—potwierdzali inni— wracajmy, głód poskręcał mi kiszki.

— Dobrze! Wracajmy! Jeśli jednak co gorszego z tego wyniknie, nie wińcie mnie — mówił brunet—ja chcę ich wyszukać i ukarać.

— Próżna obawa!—zaśmiał się inny—widziałem tych młokosów, to nie nasi, pewno emigranci z Europy.

I rozmawiając na ten temat, poszli w powrotną drogę.

— Uratowana!—szepnęła Indjanka z rozjaśnioną twarzą.

Wzmianka ścigających, że Essetamaipu wyda ich Indjanom, wzbudziła podejrzliwość Elpidia, rzekł więc do Jaśka po polsku:

— Słuchaj, należałoby się jakoś upewnić, bo może ona istotnie oddać nas w ręce Indjan i wtedy zginiemy.

— Nie, tego ona nie zrobi, przecież dwukrotnie uratowaliśmy ją od śmierci.

— Ach, ty nie znasz tych podłych Indjan, oni są podobni do jaguatrica — miał na myśli krwiożerczych, nie dających się oswoić kotów leśnych — nakarm, napój, a chcesz pogłaskać, to ugryzie i podrapie... Jestem pewny, że ona już przemyśliwa o zdradzie.

— Essetamaipu! o czem myślisz? — spytał Jaśko.

— Czy daleko są moje katy.

Wskazała w kierunku domu.

— Słyszałaś, co oni mówili o tobie?

— Wiem.

— I oddasz nas twemu szczepowi?

— Nigdy, przenigdy! — zawołała z żywością — zginąłbyś straszną śmiercią, a Essetamaipu pękłoby serce.

— Jednak oni mówili.

— Oni nie mają serca, nie znają łez, cieszy ich męczarnia drugich, ale Essatamaipu wie dobrze, kto ją uwolnił od piętnowania, kto uratował od wściekłego psa.

— I nie zdradzisz nas.

— O, nie! A chcesz, to na dowód prawdy utnę sobie rękę, albo rzucę się w przepaść. Powiedz tylko, a zrobię co każesz.

— Wierzę ci, Essetamaipu i bądźmy przyjaciółmi, dobrze?

— Niegodna tego biedna Essetamaipu, tyś mój pan, ja twoja niewolnica, rozkazuj, a usłucham.

Po dłuższym namyśle spytał ją Jasiek:

— Czy znasz ty Guarapuava?

— Guarapuava?—powtórzyła zwolna—co to za zwierzę? nie słyszałam o nim.

— To nie zwierzę—uśmiechnął się Jaśko—to miasto... wielkie domy... dużo ludzi.

— Miasto raz widziałam zdaleka, ale, to było bardzo dawno, my nie chodzimy do miasta białych ludzi.

— A czy przez te lasy i góry — wtrącił Elpidio — niema wielkiej drogi dla białych ludzi?

— Droga?... tak, tak, jest, tylko że daleko, o, daleko!

— A jak daleko?

— Może dwa dni, może trzy dni trzeba iść dobrze.

— Wiesz, Jasiek, — przemówił Elpidio po polsku — ta droga, to nasz ratunek, w lesie zginiemy.

— Essetamaipu, zaprowadź nas do tej drogi—rzekł Jasiek—dobrze?

— Rozkazałeś i tak będzie, ale nie dzisiaj, bo już późno, a noc w lesie czarna i straszna.

— Straszniejszy był Perykles — zaśmiał się Elpidio—a wyszłaś zdrowa.

Zaczęły się wspomnienia ucieczki, pogoni, napadu psa.

Essetamaipu nasłuchiwała co się dzieje w lesie. W kierunku doliny zaczęły skrzeczeć papugi, głośno i swarliwie. Po pewnym czasie zaskomlał szakal, jeden i drugi, Indjanka zwróciła się do chłopców:

— Słyszycie? Szakale idą na żer, poczuły trupa psa.

— Ty jednak znasz głosy tego lasu — pochwalił Jaśko.

— O, znam!

Minął czas jakiś, gdy nagle w puszczy leśnej, od strony domu Peryklesa, odezwało się przeraźliwe wycie, brzmiące jak słowo:

— Rochuu! Rochuu!

To naczelnik gromady wyjców dawał znak na rozpoczęcie przeraźliwego koncertu.

Po chwili cały las zdawał się rozbrzmiewać jedynym wrzaskiem:

— Rochuu! Rochuu!

Essetamaipu wstała z twarzą rozjaśnioną i rzekła:

— Las wolny od białych zbójów, możemy już iść dalej.

— A ty skąd wiesz o tem?—spytał Jasiek.

— Bo wyjce już krzyczą, a one są ostrożne i rozumne. Wysyłają jednego na zwiady i do-

piero gdy las bezpieczny, radują się i krzyczą na szczytach drzew.

Zeszli po stromej, spadzistej ścieżce do lasu. Prowadziła ich Indjanka, wyszukując bez trudu łatwe przejścia wśród gęstwy splątanej.

Przechodzili właśnie przez trzęsawiska leśne, gdy nagle Indjanka dała im znak, ażeby się wstrzymali.

Stanęli, a ona w milczeniu wskazała palcem na jakiś przedmiot.

Jasiek, który był bliżej, nachylił się ku niej, rozsunął bez szelestu gałęzie krzewu i poszedł za jej wzrokiem. Niebawem wśród gęstego mroku leśnego spostrzegł zwierzę, wylegujące się w mule.

— Peraka! - szepnęła Indjanka.

Jasiek poznał dziką świnię, zdjął strzelbę, wymierzył i ciężko raniony dzik podskoczył, potem powlókł się kilkanaście kroków, a gdy doszli do niego, już nie żył.

Jasiek faką wyrzucił z brzucha patrochy i zabierał się do ćwiartowania, gdy Indjanka zawołała:

— Nie rób tego! Upieczemy go na węglach całego, tak robią nasi, wtedy mięso lepsze.

— Za ciężki będzie — zrobił uwagę Jasiek, patrząc na dzika, długiego siedemdziesiąt, a wysokiego do trzydziestu pięciu centymetrów, z zakrzywionemi na zewnątrz kłami.

— Jeśli niedaleko, to pociągniemy—odezwał się Elpidio—i u nas zwierzęta ubite pieką się w całości.

— Niedaleko stąd znam miejsce tak ukryte, że stu białych ludzi nie odszukałoby go nigdy.

— A więc ciągnijmy! — rzekł Jasiek, przygotowując z lian sznury.

W pół godziny stanęli przed grupą skał, u stóp których rosły wielkie drzewa cieniste.

Essetamaipu bez żadnego wahania weszła za jedno z drzew i krętą, wązką szczeliną poprowadziła ich do niewielkiego parowu, zamkniętego bardzo stromemi skałami. W głębi tej kotliny, gdzie słońce tylko na krótko zaglądało, szemrało źródło wody, rozścielały się puszyste mchy i trochę zmarniałej roślinności.

— Tu możemy rozpalić wielkie ognisko, tylko gwiazdy je zobaczą — mówiła wesoło Indjanka—noc będzie dobra i cicha.

— Prawda! — zawołał z zachwytem Elpidio — sam djabeł nas nie znajdzie.

— Djabeł, jak djabeł— zaśmiał się Jaśko — ale jaguar lub puma może mieć z nas dobrą ucztę. Elpidio, chodźmy po gałęzie na ognisko, następnie zatarasujemy wejście złomami skał.

— Bardzo mądra rada! — zaśmiał się Elpidio — i wiesz, Jasiek, od czasu naszego spotka-

nia w wendzie nie mieliśmy tak wspaniałej sypialni, jak ta.

— Dzięki Essetamaipu.

— Dla niej gotów jestem uważać Indjan za małpy chodzące—śmiał się Elpidio.

— Pleciesz głupstwa, lepiej zbieraj gałęzie na ognisko, bo musi być bardzo duże, jeśli nie chcemy jeść surowego mięsa.

Trzykrotnie wracali po gałęzie wraz z Essetamaipu, wreszcie zatarasowali starannie wejście i zaczęło się pieczenie dzika na rozżarzonych węglach.

Zapach pieczonego mięsa rozszedł się po kotlinie i zaostrzał apetyt zgłodniałych.

— No, mięso jest, gdyby kawałeczek chleba, byłaby uczta wspaniała.

— Może się i znajdzie — zaśmiał się Jaśko.

— Co?! Masz chleb!?—zawołał Elpidio.

— Mam.

— Jakiś ty mądry! — powiedziała Indjanka z zachwytem — żaden owoc nie jest tak wyborny!

Przy wielkiem ognisku w ciasnej kotlinie zaczęło być gorąco. Elpidio, zrzucając marynarkę, chciał z kieszeni wyjąć pugilares. Przeszukał wszystkie kieszenie i zawołał z żalem:

— Wiesz, Jasiek, zgubiłem pugilares i wszystkie moje pieniądze!

— Zgubiłeś?—zastanowił się chwilę—a czy wziąłeś ze stołu, gdzie go rzuciłeś?

— A, do stu djabłów! — uderzył się dłonią w czoło—prawda! Zostawiłem tym zbójom moje pieniądze.

— No, zapłaciliśmy dobrze nasze jedzenie, proch i kule — zaśmiał się Jasiek – nie mogą mieć do nas pretensji.

— Dobrze ci się śmiać, ale to cały mój majątek—powiedział chmurny Elpidio.

— I co ci na stepie, albo tutaj po pieniądzach? Poco się martwisz? Pieniądze są zawsze do nabycia, jeśli kto chce pracować.

— Daj mi spokój z twojem pocieszeniem, ani myślę pracować — zawołał podrażniony — a ty masz co jeszcze?

— Niecałe cztery milreisy, połowa z nich do ciebie należy.

To rozczuliło Elpidia, ale nie mógł się na razie pogodzić ze stratą i rzekł z żalem:

— Taki dobry, piękny pugilares!

— Czy miałeś tam co jeszcze prócz pieniędzy?

— Nie... ale zaczekaj!... Tak, napisałem notatkę o naszej podróży.

— Jaką?

— Zanotowałem twe imię i gdzie idziemy.

— Co za nieostrożność!—rzekł Jaśko z wyrzutem—i co zapisałeś?

— Ano, że idę z tobą do Guarapuava, Therezina i do Ivahy.

— I poco? na co pisałeś?

— Chciałem wiedzieć, czy umiem pisać w polskim języku.

— A, po polsku!... hm... to nie tak niebezpieczne, tylko te nazwy miast!? A moje nazwisko napisałeś?

— Nie... tylko: Jasiek.

— No, niewielkie nieszczęście, tylko widzisz, oni, gdy znajdą pugilares, przeczytają notatki, a jeśli dorozumieją się, że tam idziemy, będą nas ścigali.

— A, do stu djabłów!—zawołał Elpidio zaczerwieniony—tak, to możliwe. A to osieł ze mnie!

— Pociesz się, że po polsku, a oni napewno nie znają tego języka.

— Peraka upieczona! — zawołała Indjanka z uśmiechem.

— Jakiż ja jestem głodny.—jęknął Elpidio.

— Pomóż mi teraz—powiedziała Indjanka do Jaśka—zdjąć go z węgli—a gdy odciągnęli, dodała—daj mi fakę, ja sama pokraję mięso.

Szybko nożem podważyła spaloną skórę, zdarła ją i rzuciła w ogień, i teraz krajała płaty soczystego, upieczonego mięsa.

W czasie tej wieczerzy ze szczytu skały posypał się drobny żwir, wszyscy spojrzeli w górę. Nad krawędzią skalistej ściany, wysokiej na jakie

czterdzieści metrów, ujrzeli na tle nieba, krótko ścięty łeb pumy, lwa brazylijskiego, który zwabiony zapachem pieczonego mięsa, ciekawie patrzał w głąb, wciągając nozdrzami miłą woń.

Elpidio pochwycił strzelbę, zmierzył, strzelił, posypały się odłamki kamieni, i puma znikł.

— Za pośpiesznie strzeliłem — usprawiedliwiał się Elpidio z chybionego strzału.

— Po nocy trudno trafić—rzekł Jaśko z wyrozumiałością.

Niebawem ułożyli się na spoczynek; od czasu do czasu budziły ich pomruki i wycia zgłodniałych zwierząt, ale noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz, po śniadaniu, wzięli do torby resztę mięsiwa i prowadzeni przez Essetamaipu, ruszyli dalej.

W trzecim dniu marszu dotarli do traktu handlowego. Indjanka, wskazując na szeroki, wyboisty trakt, wijący się wśród lasów, spytała:

— A wasza droga którędy?

— Na północ — odrzekł Jaśko, wskazując kierunek—a twoja?

— Essetamaipu idzie tam, gdzie słońce zasypia.

— A długo idziesz?

— Od zbudzenia słońca do ciemnej nocy.

— Może odwiedzimy ciebie kiedyś—zaśmiał się Elpidio.

— Tego nie chcę. Białym ludziom nie wolno wejść do nas.

— Bądź zdrowa i szczęśliwa, Essetamaipu, dziękuję ci za wskazanie drogi, byłaś dobra— przemówił Jasiek.

— A ty uratowałeś mi życie, nie zapomnę tego nigdy.

Hervales.

Po rozstaniu się z Indjanką skierowali się traktem na północ.

— Ach, gdyby jaka wenda! — westchnął Elpidio—kupiłbym chleba i tytuniu.

— Nic nie mam przeciw temu —rzekł Jaśko—ale we dwóch nie pójdziemy.

— Dlaczego?

— Rzecz prosta. Oni mogli odczytać twoją notatkę, domyślą się, że idziemy do Guarapuava i będą nas ścigali.

— Więc co robić?

— Unikajmy wszelkich spotkań z ludźmi, a w danym razie nie mówmy, że idziemy do Guarapuava.

— Po kilkugodzinnym uciążliwym marszu wśród spiekoty ujrzeli osadę, a przy drodze wendę.

— Zaczekaj, Jaśku, na mnie — rzekł Elpidio—pójdę do wendy i kupię co nam potrzeba, daj pieniądze.

Elpidio zmierzył pytającego oczyma od stóp do głowy. (str. 177).

— Dać, dam, ale nie śpiesz się tak bardzo: ze strzelbą na ramieniu, z pistoletem i rewolwerem za pasem iść nie możesz. Odłóż, ja dopilnuję; dla spokojnego robotnika wystarczy faka.

— O, nie! Rewolwer wezmę na wszelki wypadek i schowam do kieszeni.

— Dobrze... Gdyby ci się co zdarzyło, strzel, przyjdę ci z pomocą. Poszedłbym sam, ale nie mówię tak biegle po brazylijsku, a te łotry mają nas za emigrantów.

Elpidio wszedł śmiało do wendy, kupił chleba, sera, tytuniu i namyślał się, czy wypić kieliszek wina, gdy z przyległej izby wszedł Brazylijczyk, po europejsku ubrany, i spytał go:

— Jeśli to panu nie sprawi przykrości, chciałbym spytać, skąd pan idzie i dokąd?

Elpidio zmierzył pytającego oczyma od stóp do głowy i odrzekł:

— Jako wolny obywatel rzeczypospolitej, idę, skąd chcę i dokąd chcę. Nie racz pan uważać tego za niegrzeczność, lecz pozwolę sobie spytać, czy przysługuje panu prawo przemawiania do mnie w ten sposób?

— Jestem prefektem okręgu — powiedział z dumą.

— A ja prefektem mułów i koni — zaśmiał się Elpidio.

Dwóch Brazylijczyków, przysłuchujących się

tej rozmowie, wybuchnęło głośnym śmiechem, mówiąc:

— Cudowna odpowiedź! Jakiem prawem zaczepia pan ludzi spokojnych?

— Cicho! — krzyknął surowo prefekt — czy odpowiesz pan na moje pytania? — zwrócił się do Elpidia.

Ten, czując pomoc dwóch kaboklów, bardzo uprzejmie skłonił się prefektowi i rzekł drwiąco:

— Wasza łaskawość zechce się może dowiedzieć, że na trakcie i w wendzie uprzejmy Brazylijczyk zawsze odpowiada pchnięciem faki.

Położył rękę na rękojeści.

— Cha, cha, cha... słusznie! — śmiali się dwaj świadkowie.

Twarz prefekta przybrała nagle wyraz przyjaznej uprzejmości i, kłaniając się kapeluszem, powiedział:

— Szlachetni panowie, miło mi poznać zacnych obywateli, pozwólcie, że razem wypijemy kieliszek wina, mam do was prośbę o radę i pomoc.

Po kilku ogólnikach i wypiciu pierwszej butelki wina prefekt przemówił:

— Otóż, zacni panowie, udzielę wam bardzo smutnej nowiny, która wstrząśnie nietylko stanem naszym Parana, lecz całą rzeczpospolitą.

— Jaka? Jaka? — spytali zaciekawieni.

— Szlachetny Perykles de Oliveira. znany

szeroko ze swych cnót obywatelskich, prawdziwy klejnot naszej ojczyzny, został w zdradziecki sposób zamordowany w swym własnym domu.

— O, przekleństwo! — zawołał jeden z kaboklów — znałem go! Umiał handlować końmi i szczodry był, nie rozstał się z przyjacielem bez wina.

— Słyszałem o nim—mówił drugi—bogaty pan, ale skory do faki... I kto go zabił? Czy to zemsta?

— Nie! Dla rabunku zamordowano go w jego prywatnej willi, gdzie bawił bez swej służby.

— I kto go zabił? — spytał z niewinną miną Elpidio.

— Jacyś dwaj emigranci, bo żaden Brazylijczyk nie byłby zdolny do takiego ohydnego czynu.

— Czy obrabowali willę? Zabrali pieniądze, kosztowności? — dopytywał się jeden z gości.

— Rabusiów spłoszyli przyjaciele zamordowanego, uciekli obaj w lasy z Indjanką, która napewno była z nimi w zmowie.

— I niewiadomo gdzie są? — odezwał się Elpidio.

— Właśnie w tem moja prośba do panów. My, przyjaciele i wspólnicy Peryklesa de Oliveira, postanowiliśmy nie puścić bezkarnie tej zbrodni. Obiecaliśmy sto milreisów za schwytanie złoczyńców. Są to dwaj młodzi ludzie,

ubrani, jak emigranci, bez opończy, w butach, i jak świadczy notatka w pugilaresie, pisana w cudzoziemskim języku, idą oni do Guarapuava, Therezina i do Ivahy.

— Hm... a kto wypłaci te sto milreisów? — spytał Elpidio.

— Ja sam, Ercilio Sofokles de Sousa, właściciel Novo Toledo.

— A gdzie leży Novo Toledo? — powiedział jeden z gości.

— Dwadzieścia kilometrów od Guarapuava. Zresztą dajcie znać któremukolwiek wendziście o schwytaniu morderców, a on poręczy za wypłatę.

— Czy wszyscy są uwiadomieni? — spytał Elpidio.

— Wszyscy do Therezino i dalej.

— Należałoby dać znać municypjom — doradzał Brazylijczyk.

— Eh, te nasze municypja! — powiedział lekceważąco de Sousa — sam jestem prefektem i wiem, że nic nie zrobią.

Wypili jeszcze jedną butelkę, a na pożegnanie de Sousa raz jeszcze usilnie prosił, ażeby i sami uważali na wszystkich przejezdnych, i innych informowali.

Po jego odjeździe, gdy Elpidio zabierał się do wyjścia, jeden z jego nowych znajomych spytał go, co zamierza teraz robić.

— Szukam zajęcia... pójdę do Kurytyby, tam może znajdę.

— Poco aż do Kurytyby? — zaśmiał się — teraz czas zbioru herwy, każdy plantator z ochotą pana przyjmie.

— Dziękuję waszym łaskawościom za przyjazną radę i zastosuję się do niej wedle możności.

Skłonił się i wyszedł.

Jasiek oczekiwał go zaniepokojony i z radością powitał:

— Już miałem pójść i zobaczyć, co się z tobą dzieje?

— Twoje szczęście, żeś nie poszedł, siadaj i posłuchaj...

I opowiedział o spotkaniu swem z prefektem, o obiecanej nagrodzie stu milreisów i o tem, że jakoby wszyscy wendziści zostali uwiadomieni, że dwaj młodzi emigranci zabili Peryklesa de Oliveira, wreszcie zakończył:

— Wyobraź sobie, że z tego, co słyszałem, ten Perykles był porządny człowiek, klejnot naszego stanu, jak mówił de Sousa. I wiesz, ci, co nas gonili, to jego przyjaciele i wspólnicy.

— No, że ten Perykles nie był porządnym człowiekiem, świadczy jego znęcanie się nad Essetamaipu — powiedział Jaśko zgorszony.

— To głupstwo, Indjanin nie człowiek, i panu wolno wszystko z nim robić.

— Bój się Boga, Elpidio, a gdyby nie ta Indjanka, byłoby po nas!

— To wyjątek, i Perykles nie poznał się na jej wartości.

— Mówisz wstrętne rzeczy... no, a zabicie twego starego?

— A tak... to zbrodnia, bo jeśli mieli porachunki z sobą, nie powinien był napadać nocą i zabijać śpiącego, lecz otwarcie, w dzień.

— Ty masz dziwne pojęcie o sprawiedliwości i prawie—uśmiechnął się Jasiek ironicznie — napad jest napadem, a zabójstwo zabójstwem, od czegóż są sądy?

— O, wiesz, trudno z każdą drobnostką iść do sądu o kilkadziesiąt kilometrów... ale co teraz robić? Na trakcie nie możemy się pokazać.

— Wiem o tem — skinął Jaśko głową — i pierwsza rzecz, musimy się przebrać po brazylijsku.

— Przebrać? a skąd pieniądze?

— Może trafi się robota jaka, trzeba szukać — mówił Jaśko zamyślony.

— Wiesz, jeden z gości w wendzie mówił, że teraz zbiór herwy i szukają robotników, ale ja nie myślę pracować.

— Jak ci się podoba, Elpidio, ale ja stanę natychmiast do roboty, byle ją znaleźć.

— I nie będziesz się wstydził? — zawołał zdziwiony Elpidio.

— Roboty!? — zdumiał się Jaśko — przecież od dziecka pracuję.

— No, i ja, przy koniach... ale zbierać herwę? pracować rękami?...

— Właśnie tylko ręcznie pracowałem, czy teraz nie chcesz już być moim przyjacielem?

— Będę nim zawsze! — zawołał Elpidio gorąco — boś ty mądry i odważny... ale zawsze to dziwne, że pracujesz ręcznie.

— Kiedyś zmienisz się, a teraz idź do wendy i dowiedz się, gdzie najbliższa plantacja herwy, i kup zapas żywności na drogę.

— Dobrze, zaraz wrócę.

Istotnie, w niedługim czasie przyszedł Elpidio nietylko z zapasami żywności, ale i nowin.

— Osiem kilometrów od wendy jest plantacja herwy, należy do Coronela de Macedo, drogę mi wskazano, ale to podobno ciężka praca.

— Jeśli inni pracują, potrafimy i my — uśmiechnął się Jaśko — a teraz prowadź. Ty idź naprzód, ja w odaleniu za tobą, a później się połączymy.

— Dobrze... ale jeśli na plantacji wiedzą o Peryklesie?

— To i co? poradzimy sobie.

Słońce było jeszcze dość wysoko, gdy, wyszedłszy z lasu górzystego, zobaczyli w dolinie dom parterowy, zbudowany na sposób europej-

ski, a pod lasem, w głębi doliny, szereg szałasów; była to plantacja herwy.

— Teraz posłuchaj mnie, Elpidio — przemówił Jasiek — najpierw musisz wyszukać tu w lesie dobrą, suchą kryjówkę, w której złożymy nasze buty, torby, strzelby i rewolwery; przy nas zostaną faki i pistolety.

— Tak mi ciężko rozstawać się ze strzelbą! Patrzał z żalem na nią.

— Trudno, tak być musi, bo mogą nas poznać. Ja pójdę pierwszy i dowiem się o warunkach. Przyjdę do ciebie wieczorem i zawołam w nasz zwykły sposób.

— Dobrze, będę nasłuchiwał.

— A teraz, powiedz, Elpidio — stanął przed nim już bez butów, bosy, w połatanych niezdarnie spodniach, w brudnej marynarce i koszuli — czy nie jestem podobny do Brazylijczyka?—zaśmiał się.

— Brak ci czegoś czerwonego lub żółtego przy kołnierzu — powiedział Elpidio — a każdy weźmie cię za tutejszego.

— Narazie obejdzie się — i kłaniając się kapeluszem na sposób kaboklów, dodał po brazylijsku: — „Do widzenia! Até vista!"

Na plantacji, na której pracowało ze dwudziestu robotników, dopytał się wkrótce o zarządcę i zaproponował mu swe ręce do roboty.

— Pracowałeś pan kiedy przy zbiorze herwa mate?

— Dość dawno, ale z łatwością przypomnę sobie.

Jasiek nie kłamał, gdyż sąsiad na kolonji miał kilka drzewek herwy i Jaśko pomagał raz w robocie.

— Czy pójdziesz pan do sapekaże czy do carriżaże?

Tych technicznych słów Jaśko nie rozumiał, i rumieniąc się, rzekł:

— Pozwoli pan, że przyjrzę się wpierw fabrykacji i dopiero wybiorę gatunek roboty... A jaka płaca?

— Dajemy życie całodzienne i płacimy od dwóch milreisów do pięciu. Są jednak robotnicy akordowi.

— Dziękuję panu; teraz pójdę na plantację i zgłoszę się tu po obejrzeniu.

— Może będą pana odmawiali niektórzy od tej roboty, ale niech się pan nie zniechęca. Za dobrą, porządną robotę płacimy dobrze.

Jaśko poszedł na obszerną plantację, na której rosły drzewka z cennymi liśćmi herwy. Drzewko niezbyt wysokie, posiada pień gładki z białą korą, a na wierzchu tworzą gałęzie, gałązki i gęste, lancetowate, drobne liście kopułkę dość regularną. Drzew było kilkaset na dość znacznej przestrzeni.

Część robotników była zajęta ścinaniem liści z drobnemi gałązkami znaną dobrze Jaśkowi fojsą. Na drzewa starsze i większe wspi-

nali się robotnicy, mniejsze ogałacali z liści i gałązeczek, nachylając drzewko.

Druga partja robotników wiązała ścięte przed trzema dniami liście z gałązkami w pęki i niosła na sam kraniec plantacji, nazwanej po brazylijsku „hervales".

Za nimi poszedł Jaśko. Pracujący ciekawie przypatrywali się Jaśkowi, a jeden z nich zagadał po brazylijsku:

— Panie, czy na robotę?

— Tak jest, panie.

— Znacie tę pracę?

— Znam.

— Nie radzę panu – odezwał się murzyn — zgodzić się na ten hervales.

— Dlaczego?

— Budzą przy wschodzie słońca i nie pozwalają odetchnąć przy robocie, chociaż pot się leje z człowieka.

— Czarny jesteś, to słońce cię kocha — zaśmiał się inny, mówiący włoskim akcentem.

— No, tak źle nie jest z robotą — przemówił inny z niemiecka—byle lepiej płacili i jeść dobrze dawali.

— Ileż pan bierze dziennie?—spytał Jaśko.

— Dwa i pół milreisa, ale co się nadźwigam, nachodzę.

— Ile godzin pan pracuje?

— Dziewięć. Pięć przed obiadem, a cztery popołudniu. Radzę panu żądać co najmniej

trzech milreisów dziennie, rąk mało, a liście starzeją się.

— Dziękuję panu za dobrą radę.

— Nas trzech — dodał jeden z Brazylijczyków — porzuca ten hervales w sobotę wieczorem, to ułatwi panu wytargowanie wyższej płacy.

Niosący pęki doszli do muru kamiennego, wysokiego na metr, przy którym stało sześciu mężczyzn bez koszuli, tylko w spodniach, i przyniesione pęki świeżej herwy przesuwali nad ogniskami, palącemi się po drugiej stronie muru.

Ta praca, jak zauważył Jasiek, wymagała nietylko znajomości roboty, ale sprytu i wielkiej uwagi. Szło bowiem o to, ażeby pęk liści i gałązek tylko tak długo trzymać nad ogniem, póki lekko nie zżółkną. Czynność ta nazywa się technicznie: sapekaże (sapecaje).

Te pożółkłe pęki herwy inni robotnicy przenosili do wielkiej szopy i uwiązywali je do żerdzi pod dachem szopy, na środku której tliło się ognisko z drzew aromatycznych, a gęsty dym przenikał zawieszone pęki herwy, susząc je i nadając zarazem zapach dymu. Ta czynność nazywa się: karriżaże (carrijage).

— Jak długo suszy się herwa w szopie? — spytał Jaśko jednego z robotników.

— Przez dwadzieścia cztery godziny, na-

stępnie pakujemy ją i odstawiamy do składów głównych po miastach.

Tę czynność przygotowawczą na plantacji poznał Jasiek powierzchownie wprawdzie, ale zawsze na tyle, że miał pojęcie o pracy, której miał zamiar się podjąć.

Najmniej odpowiedzialną, bo zależną tylko od starannego wyzbierania i wymiarkowania grubości pęka, wydało mu się gromadzenie liści i gałązek, ściętych przed trzema dniami. Chcąc się jednak upewnić co do swych zdolności, poszedł jeszcze raz na plantację i przypatrywał się bacznie zbierającym.

Jedni z robotników zbierali bez wyboru, byle związać pęk odpowiedni, tych często upominał dozorca. Inni do pewnego stopnia gatunkowali zbieraninę, mieszając stosunkowo gałązki cieńsze i grubsze z liśćmi.

Przypatrując się tej pozornie łatwej pracy, Jasiek zrozumiał, że bez wyćwiczenia nie nadąży w zbieraniu nawet murzynowi, najbardziej ospałemu z robotników.

Westchnął nad swem nieuctwem i poszedł do zarządcy.

— No, w jakim dziale chcesz pan pracować?

— Chciałbym przenosić herwę ściętą do sapekaże.

— Hm... widzi pan — spojrzał bacznie po Jaśku—pan młody i nie zastanowiłeś się może,

iż, podejmując się jakiejkolwiek pracy płatnej, trzeba umieć ją wykonać.

Jasiek przypomniał sobie Wilhelma, który, nie mając pojęcia o rolnictwie, jednak zgodził się i prawie nic nie robił, a co robił, to źle i niedbale. Poczerwieniał na myśl, że mógłby być podobnym ciężarem, jak Wilhelm, i rzekł szybko:

— Zgodziłbym się na plantację, gdyby pan przyjął moje warunki.

— Oho, jeszcze nie przyjąłem pana, a już stawiasz warunki!? — przerwał mu gniewnie zarządzający.

— Zechciej pan mnie wysłuchać spokojnie... Przypatrzywszy się robocie, widzę, że za mało mam wprawy. Chcę przez tydzień pracować tylko za strawę, a po tygodniu zrobimy umowę.

Twarz zarządzającego rozjaśniła się, wstał od biurka, podał rękę Jaśkowi i rzekł szczerze:

— Podobasz mi się, młodzieńcze, jesteś uczciwym człowiekiem. Naturalnie, zgadzam się na twe warunki, a jeśli twe zdolności odpowiadają twej uczciwości, będziemy w doskonałej zgodzie... Dozorcy polecę, ażeby ci wyznaczył miejsce do spania, a jedzenie wspólne.

— Wiem... Pragnąłbym się też dowiedzieć, czy nie przyjąłby pan na plantację mego towarzysza?

— Gdzież on?

— Był zmęczony drogą, poradziłem mu,

ażeby odpoczął, a sam poszedłem zasięgnąć wiadomości na plantacji.

— Jeśli podobny do pana, chętnie go przyjmę.

— Nie upoważnił mnie do zrobienia umowy w jego imieniu. To przygodna znajomość z wendy.

— Niech przyjdzie.

Skinieniem głowy pożegnał Jaśka.

Elpidio oczekiwał go na skraju lasu, a zobaczywszy go, zawołał:

— A co? Za ciężkie warunki, nieprawdaż?

Jaśko, podszedłszy bliżej, rzekł:

— Zgodziłem się do roboty; narazie przez tydzień pracuję za wikt.

— A zapłata!? — dziwił się.

— Żadna, bo jeszcze nie umiem tego fachu i muszę się poduczyć.

— Zwarjowałeś chyba—oburzył się Elpidio— będziesz pracował za marne jedzenie, które i tak zdobyć łatwo polowaniem.

— I dać się pochwycić przyjaciołom Periklesa — odrzekł Jasiek drwiąco. — Nie myślę kosztować brazylijskiego więzienia, i to za dobrą sprawę.

— No, i ja tego nie chcę... ale tydzień bez żadnej zapłaty, na to trzeba być warjatem.

Jaśko spodziewał się oburzenia i gniewu Elpidia i przez drogę obmyślił sposób przekonania go i zachęcenia do pracy.

— Tak mówisz?... Przypuśćmy, Elpidio, że jesteś właścicielem stada koni i mułów.

— O tak! Mój stary miał wielkie stado — przerwał.

— I ktoś godzi się z tobą, że będzie pilnował stada. Ten najemnik zamiast paść na wyznaczonym kawałku stepu, rozpuścił stado: i oto jednych pożarł jaguar, drugich puma, źrebięta się pogubiły, a całe stado zgrzane wpędził do rzeki. Cobyś z nim zrobił?

— Zbiłbym i wypędził na cztery wiatry — zawołał gorąco.

— Otóż, jeśli godzę się do plantacji, a nie umiem pracować przy herwie, właściciel ma prawo mnie zwymyślać, nie zapłacić i wypędzić. Dlatego wpierw chcę się nauczyć, a dopiero brać pieniądze za dobrą robotę. Zrozumiałeś?

— Wiesz, Jasiek, ja byłem pewien, że wszystko umiesz... czy zbieranie herwy takie trudne?

— Wyuczyć sie można prędko... a żebyś wiedział, jak oni to robią niezdarnie, powoli, stękają, narzekają... że djabli mnie brali i pomyślałem sobie: no, my z Elpidiem pokażemy wam, co to znaczy robić.

— I co mi z tego przyjdzie?—rzekł Elpidio po namyśle, chociaż z miny, było widać, że dobre mniemanie Jaśka o nim zrobiło mu przyjemność.

— A co przyjdzie ci z tego, że wybornie jeździsz konno? I ten, co gorzej jeździ, tak samo odbędzie podróż, jak i ty.

— Ba, doskonale jeździć to rozkosz!

— I każda dobra robota sprawia przyjemność, a tylko pomyśl: ty pracujesz, a tu dozorca raz wraz cię upomina, a przy wypłacie mówią ci: nic pan nie umiesz, wynoś się!

— No, mnie nie śmiałby tego powiedzieć! Ja nie pierwszy lepszy!

— Lecz jeśli nie umiesz, jeśli źle pracujesz i marnujesz towar?

— No, tak, masz rację... Czy mówiłeś co o mnie?

— Wspomniałem, że mam towarzysza, przyjmą cię, ale nie umawiałem się o warunki, bo nie wiedziałem, czy się zgodzisz?

— Szkoda! Naturalnie stanę do roboty na twoich warunkach, a po tygodniu ile będzie płacił?

— Zależy od umowy, którą zrobimy z zarządcą.

— Od kiedy zaczynamy pracować?—spytał Elpidio.

— Od jutra, ale dziś musimy się stawić: ja przed dozorcą, a ty pójdziesz do zarządcy.

Elpidio bez wszelkich wstępów oświadczył zarządcy, że staje do roboty na warunkach swego towarzysza, prosi jednak, ażeby ich razem umieszczono i do tej samej pracy użyto.

— No, i cóż? — spytał Jaśka jeden z robotników — czy wytargowałeś pan wyższą cenę, jak to doradzałem?

— Jeszcze o zarobku dziennym nie mówiłem—odparł—wpierw muszę poznać plantację.

— No, długo nie będziesz pan popasał, za ciężka praca.

Dozorca Miguel, Brazylijczyk, nizki, krępy brunet, z chytrym wyrazem twarzy, któremu polecił zarządzający szczególne względy dla nowych robotników, Jaśka i Elpidia, przyjął ich z wielką nieufnością, przypuszczając, że są to dwaj protegowani zarządcy i napewno będą robotę zbywali byle czem, a brali sutą zapłatę.

Rozkaz jednak był wyraźny, ażeby im dać osobny szałas i przeznaczyć do zbiórki ściętych liści i gałązek herwy. Do tego musiał się Miguel zastosować i wyznaczył im daleki, dawno opuszczony szałas, przez którego pokrycie można było wygodnie przypatrywać się gwiazdom.

— To mieszkanie!? — syknął gniewnie Elpidio — to dobre dla jaszczurek i wężów, nie dla nas.

— Nie podoba się panom — uśmiechnął się drwiąco Miguel—możecie poszukać innej plantacji.

— Jeśli nie ma pan innego, zamieszkamy w tym szałasie — rzekł łagodnie Jasiek — naprawimy to rzeszoto.

— Wasza wola i chęć — odrzekł dozorca.

— No, Elpidio — zaśmiał się Jasiek — od dwóch miesięcy sypiamy bez dachu, teraz musimy mieć dach porządny z liści palmowych.

Poszli w las poblizki, przynieśli liści z palmy wachlarzowej, liany do wiązania, i w niespełna dwie godziny ten szałas, nędzarz do niedawna wśród innych, wyglądał świeżo i ładnie. Ze statków kuchennych dostali po misce blaszanej, po łyżce i po kubku; nóż miał każdy robotnik swój, a widelec był nieznanym zbytkiem.

Z kotła wspólnego dostali feiżoadę. to jest zupę z czarnej fasoli, z kawałkiem mięsa i po placku kukurudzianym.

Po dniu męczącym zasnęli wybornie na liściach i mchu, zebranych w lesie, a przy pierwszem uderzeniu dzwonka, wzywającego do śniadania, już byli z kubkami przy kociołku z herwą, do której dostali znów placek kukurudziany.

— Na miejsca!.. Do roboty! — zawołał dozorca, przechodząc obok robotników, spożywających śniadanie.

Jaśko i Elpidio odnieśli szybko swe kubki do szałasu i zgłosili się pierwsi do roboty.

— Trzymaj się, Elpidio!—zachęcał Jaśko.— Pokażemy tej zbieraninie narodów, jak się pracuje.

— Nie troszcz się o mnie — uśmiechnął się Elpidio — muszę ich prześcignąć.

Dozorca poprowadził swą partję do zbierania ściętych liści. Nie dowierzając, zwracał baczną uwagę na nowych. Zaczęli pracę gorączkowo, zbierając bez wyboru.

— Zwolna! zwolna! — upominał dozorca i z drwiącą miną dodał: — To nie taniec z dziewczętami, ale robota!

Nie zwrócili uwagi na słowa dozorcy, lecz pracowali dalej, co rozdrażniło go i po pewnym czasie przystąpił do Jaśka, wziął w rękę pęk zebranej herwy i mówił surowo:

— Co to za robota!? Zbierasz pan same grube gałązki, bo łatwiej, ale to obniża wartość herwy! Do djabła z taką robotą!

Rozrzucił zebrany pęk po trawie.

Jaśko poczerwieniał z gniewu, ale powstrzymał się i rzekł z chłodną grzecznością:

— Tę samą uwagę mogłeś pan zrobić uprzejmie i uprzedzam pana, że jeśli jeszcze raz rozrzucisz pęk herwy, sam pozbierasz.

— Co to jest!? — wrzasnął dozorca — grozisz mi, ty synu czarownicy! Ja cię nauczę posłuszeństwa, ty...

I dalsze wyrazy zamarły mu w gardle, bo z poza krzaku wyszedł zarządca i spytał dozorcy zimno:

— Co się stało?

— Na moją uwagę, ażeby w jedną naręcz

nie kładł samych grubszych gałązek, ten młokos grozi mi!

— Tak!? — spojrzał surowo na stojącego obok Jaśka i spytał groźnie:—Co to za kłótnie w pierwszym dniu!? Raz na zawsze zapowiadam, że od tego jest dozorca, ażeby pilnował robotnika; dlaczego pan wszczynasz kłótnię?

— Pan dozorca — mówił Jaśko spokojnie i wyraźnie, a bliżsi robotnicy bacznie się przysłuchiwali — zrobił mnie i memu towarzyszowi—wskazał na Elpidia—uwagę, że pracujemy zbyt prędko, może miał słuszność. Następnie wziął w rękę pęk, zebrany przeze mnie, zgromił mnie surowo że zbieram grube gałązki i pęk rozrzucił po ziemi.

— Czy tak było?—zwrócił się zarządzający do dozorcy.

— Nie mogłem pozwolić na odniesienie złej zbieraniny do sapekaże — usprawiedliwiał się Miguel.

— Cóż dalej? — spytał Jaśka zarządca.

— Zwróciłem mu uwagę na jego niegrzeczność i zapowiedziałem, że jeśli raz jeszcze rozrzuci pęk, sam pozbiera i tego dotrzymam.

— Miałeś pan słuszność — zawyrokował zarządca—a swoją drogą proszę zbierać uważnie. Na jeden pęk dodawać mało grubszych gałązek, bo musi być znaczna przewaga liści. Zaś co do dozorcy — spojrzał na Miguela — wieczorem proszę przyjść do mnie.

Gdy zarządzający odszedł, robotnicy, ucieszeni zwycięstwem Jaśka, głośno wyrażali swe zadowolenie:

— Zuch z pana!.. Dawno należało się to Miguelowi!.. Dostał po nosie i zrzedła mu mina!

Dozorca spojrzał nienawistnie na Jaśka, a do innych zawołał:

— Głupie żarty!.. No, panowie, do roboty! Żwawo!

— Słuchaj, Elpidio! — szepnął Jaśko — ten Miguel uweźmie się na nas, musimy zbierać bez zarzutu.

— Wiem o tem — zaśmiał się Elpidio — i wścieknie się, gdy nas nie pochwyci!

Podrażnieni w swej ambicji, obaj pracowali nietylko szybko, ale i nadzwyczaj starannie.

Dwa razy przed południem dozorca dokładnie przeglądał zebrane przez nich pęki, ale prócz kilku źdźbeł trawy nie miał nic do zarzucenia.

W czasie obiadu robotnicy zrobili im owację, oddając im pierwszeństwo w wyborze kawałków mięsa i placków.

Na drugi dzień, ku zdumieniu robotników, zamiast Miguela, pełnił obowiązki dozorcy Pedro, starszy robotnik z kariżaże, a Miguel poszedł na jego miejsce.

— Ten zarządzający jest jednak człowiekiem sprawiedliwym — zrobił głośną uwagę Jaśko.

— Nic dziwnego! — rzekł z dumą jeden

z robotników — płynie w nim krew angielska, jak i we mnie.

Tydzień w pracy szybko upłynął. Jasiek i Elpidio, porozumiawszy się ze sobą poszli do zarządzającego.

— Pamiętaj, Jasiek—szepnął przed domem Elpidio — jeśli nam nie da po dwa milreisy i pół, idziemy na inną plantację.

— Dobrze... zgadzam się!

Zarządzający przyjął ich z uprzejmym uśmiechem i spytał:

— Z czem przychodzicie, panowie?

— W sprawie umowy... tydzień próby minął — odpowiedział Jaśko.

— Tak, to prawda. Wysłuchałem raportu dozorcy Pedra, który wydał wam bardzo dobre świadectwo. Potwierdzili jego opinję robotnicy przy sapekażu. Nie widzę dobrej racji, ażebyście pracowali za żywienie i każdemu z was płacę za ten tydzień po dwa milrejsy dziennie.

Wyliczył im dwadzieścia cztery milreisy.

Niespodziewana zapłata sprawiła im wielką przyjemność, skłonili się obaj, a Jaśko dodał:

— Jesteś pan dla nas bardzo dobry.

— W interesie nie znam dobroci — rzekł zarządca poważnie — bierzecie pieniądze za staranną pracę... Co do dalszej umowy, radziłbym wam, jako pilnym i sumiennym robotnikom, ażebyście się wyćwiczyli w okrzesywaniu drzew z liści i gałązek. Czy zgadzacie się?

Jasiek porozumiał się oczyma z Elpidiem, a ten, ucieszony otrzymaną kwotą, skinął przyzwalająco.

— Zgadzamy się! — powiedział Jasiek.

— Warunki te same, co poprzednio—mówił zarządzający — praca za żywność, zapłata zaś zależy od waszej pilności i sprawności.

— Niech i tak będzie —skinął głową Jaśko i wyszli.

— Wiesz, co ci powiem — odezwał się Elpidio, idąc z Jaśkiem ku szopom robotniczym— jeszcze żaden pieniądz tak mnie nie ucieszył, jak ten.

— Zarobiliśmy też uczciwie — rzekł Jaśko z odcieniem dumy.—Radzę schować te pieniądze, a gdy dostaniemy zapłatę za drugi tydzień, kupimy sobie opończe. Już wypatrzyłem dwie dobre.

— Muszę kupić sobie tytuniu i chociaż jeden bochenek chleba. Ta Essetamaipu miała rację, że lepszy on od owoców.

— No i ja tak myślę. Kupimy jeden i podzielimy się.

— Dobrze, resztę pieniędzy tobie oddam.

Podkrzesywanie drzew szło trudniej, zwłaszcza ogałacanie drzew z drobnych gałązek, gdyż często ścinali i grubsze, niezdatne do handlu, ale po trzech dniach tak się wyćwiczyli, że znacznie prześcigali starszych robotników.

W końcu tygodnia nadeszło do zarządu

plantacji wezwanie z municypjum, ażeby wśród robotników poszukano dwóch zbrodniarzy, winnych zabójstwa Peryklesa de Oliveira.

Miguel, który miał złość do Jaśka i Elpidia, rzucił cichaczem podejrzenie, że oni dwaj napewno zamordowali Periklesa. Część robotników, niechętna im za niezwykłą pracowitość, którą wszystkim za wzór stawiano, była tego samego zdania.

Zawzięty Miguel napisał bezimienny list do municypjum, oskarżający dwóch chłopców.

Do zarządu zjechał sędzia śledczy i niespodzianie wezwał Jaśka i Elpidia. Gdy stanęli przed nim, rzekł surowo:

— Stoicie przed trybunałem sprawiedliwości, jesteście oskarżeni o zabójstwo szlachetnego i zacnego pana Peryklesa de Oliveira. Czy wiecie coś o tem?

Jaśko patrzał śmiało w oczy surowego sędziego, a Elpidio zawołał:

— Ja wiem o tem zabójstwie.

— A, wiesz, zapewne ci powiedział twój towarzysz, sprawca zbrodni. Jeśli wyjawisz szczerą prawdę, sąd będzie łaskawszy na ciebie.

— Człowiek, który mi o tem zabójstwie szczegółowo opowiadał, jest mi mało znany i nigdy nie był moim towarzyszem.

— Nareszcie dowiemy się czegoś pewnego — spojrzał sędzia w stronę zarządcy — jakie jest jego nazwisko?

— Czy muszę powiedzieć?

— Sąd ci każe.

— A jeśli nie posłucham? — uśmiechnął się.

— Zmusi cię sąd!

— Bajki!—zaśmiał się—zechcę, to powiem, a nie, to nie.

— To sąd, nie wenda! — krzyknął sędzia.

— Widzę to, bo wendzista jest grzeczny i uprzejmy.

Sędzia miał wybuchnąć gniewnie, gdy zarządca odezwał się do Elpidia:

— Poco czas tracić? Wiem, że pan nie winny, odpowiedz na pytanie i skończymy.

— Dla pana to zrobię... Otóż w przydrożnej wendzie, kilka kilometrów od plantacji, jeden pan z europejska ubrany, tytułujący się prefektem, opowiadał mi na drugi czy trzeci dzień po zabójstwie Periklesa de Oliveira o tem morderstwie. Obiecywał nam, bo byli i inni zacni panowie, sto milreisów nagrody za wykrycie dwóch zabójców. Ponieważ nie chciałem skrzywdzić policji o sto milreisów, wyrzekłem się zarobku.

Zarządca, patrząc na rozczarowaną minę sędziego, uśmiechnął się, a sędzia spytał:

— Nazwisko tego pana?

— Ercilio Sofokles de Sousa z Novo Toledo, i tam zechce się pan sędzia udać po sto milreisów, o ile uda się panu wykryć zabójców.

— Jak śmiesz do mnie tak przemawiać!?

— Powtarzam słowa czcigodnego prefekta, Ercilio Sofokles de Sousa.

— Czy nic więcej nie masz do powiedzenia?

— Owszem, mam. Po wyjściu z wendy spotkałem tego oto robotnika—wskazał na Jaśka – śpieszącego na robotę na tę plantację. Zaproponowałem mu zarobienie stu milreisów u zacnego prefekta, ale że my obaj nie mieliśmy gotówki, potrzebnej na poszukiwanie zbrodniarzy, zgodziłem się więc na plantację.

W tej chwili wszedł policjant i meldował sędziemu:

— W szałasie nie znaleziono nic podejrzanego... tylko dwadzieścia dwa milreisy starannie ukryte w dachu.

Położył na stole.

— Nie aresztuj tych pieniędzy, panie sędzio surowy — uśmiechnął się Elpidio.

— Pewno pochodzą z rabunku, bo i jakim sposobem są u was?

— Zarobiliśmy; poświadczy pan zarządca. Mieliśmy dwadzieścia cztery, ale dwa wydaliśmy na chleb i tytuń.

— Tak jest, zarobili — rzekł zarządca.

— Czy nie znalazłeś strzelby? butów? — zwrócił się sędzia do policjanta.

— Nic z tego.

— To dziwne; a jednak otrzymaliśmy list, wskazujący ich, jako zbrodniarzy – powiedział sędzia.

— Pozwoli mi pan na chwilę ten list? — wyciągnął rękę zarządca, a spojrzawszy na pismo, rzekł z uśmiechem: — Pismo dozorcy Miguela, mścił się na nich za utratę posady.

— Za wprowadzenie w błąd sądu Miguel musi być ukarany. Sprowadź tu Miguela — rozkazał sędzia policjantowi — a wy dwaj możecie iść.

— A kto nam zwróci czas stracony? — spytał Elpidio.

— Nie skrzywdzę was—uśmiechnął się zarządca, rad z niewinności swych robotników.

W sobotę przy obrachunku otrzymali Jaśko i Elpidio po dwa i pół milreisa dziennie.

— Idziemy po opończe!—rzekł Elpidio uradowany.

— I po koszule, bo są brudne – dodał Jasiek.

— E, koszula to przesąd, kto ją widzi, czy jest, czy jej niema?

– Jak chcesz, ja kupię dwie, bo muszę mieć na zmianę.

— Tyś praktyczniejszy - uśmiechnął się Elpidio—jak dobrze poradziłeś z tem schowaniem strzelb, butów i rewolwerów... Dobrze, kupię i ja dwie koszule.

Jeszcze sześć tygodni pracowali na plantacji, a mając oszczędzonych po sto milreisów, postanowili puścić się w dalszą podróż do Villa Rica.

Zarządzający, ponieważ wiosenny zbiór her-

wy był na ukończeniu, nie zatrzymywał ich, prosząc, ażeby się zgłosili do następnego zbioru. Dowiedziawszy się, że idą do Villa Rica pieszo, bardzo się zdziwił.

— Czy wy wiecie, że to jest do czterystu kilometrów złej drogi?

— Wiemy — odrzekł Jaśko.

— Gdybyście mieli jeszcze muły lub konie, od biedy moglibyście dojechać.

— Może i kupimy — rzekł nie bez dumy Elpidio — mamy dwieście milreisów zaoszczędzonych.

— Dwieście!? I nie straciliście w wendzie?

— Co prawda, to zasługa mego towarzysza, bo ja miałem ochotę — przyznał się Elpidio.

— Wiecie co — powiedział zarządca po krótkim namyśle — mam u siebie kilka zbrakowanych mułów... odstąpię wam niedrogo, kupcie.

Elpidio wybrał dwa chude, niepozorne muły, które źle chodziły w zaprzęgu, i po krótkich targach kupili je po sześćdziesiąt milreisów. Wprawdzie Jaśko dziwił się temu wyborowi, ale zdał to na Elpidia.

Rządca darował im dwie stare kulbaki, które Elpidio tanim kosztem oporządził, i po pożegnaniu i wzięciu świadectwa służby, skoro świt ruszyli w drogę.

— Słuchaj, Elpidio, na tych mułach tylko skóra i kości, aż mi wstyd.

— Głupstwo! — zaśmiał się — zobaczysz je za dwa tygodnie. Furmani je męczyli i bili, głupcy, nie wiedzieli, że nic z nich w zaprzęgu, tylko pod siodło.

— Ano, zobaczymy, a teraz poszukajmy naszej kryjówki.

— Czy weźmiemy i buty?

— Naturalnie — rzekł Jaśko — na mułach, w opończach, ze świadectwami, nikt nas nie będzie podejrzywał.

Narazie jechali bardzo wolno i popasali bardzo często. Muły miały różne narowy, wierzgały, gryzły, Elpidio jednak z niezwykłą cierpliwością umiał je tak ugłaskać, że po tygodniu pozwalały się spokojnie okulbaczyć i dosiadać.

Po dwóch tygodniach, w których ujechali zaledwie sto kilometrów, muły nabrały ciała i wesołości, a po wendach ceniono je po sto milreisów, ku wielkiemu zadowoleniu Elpidia.

Wśród swoich.

Do Villa Rica, miasteczka brudnego, opuszczonego, chłopcy dojechali wieczorem i dowiedzieli się, że fazenda Polaka Michała Łyskowskiego oddalona jest o dziesięć kilometrów od miasta po złej, bagnistej drodze.

Wywiedziawszy się dokładnie o kierunku drogi, przenocowali w mieście i swoim zwyczajem raniutko wyruszyli.

Po kilku godzinach jazdy i błąkania się ujrzeli wreszcie kolonię z domem zwyczajnym u polskich osadników. Dworek z czterema słupkami gankowemi, pokryty dranicami. Przed oknami mały ogródek kwiatowy i kilka cienistych drzew przy domu.

Zwyczajem brazylijskim klasnęli w dłonie, zatrzymując muły przed zawartemi wrotami.

Na ganku po chwili zjawił się gospodarz, kościsty, wysoki, szpakowaty brunet, i przysłaniając oczy dłonią od promieni słonecznych, zawołał po brazylijsku:

— Kto tam?

— Swoi! – krzyknął Jasiek po polsku.

— Hm... swoi!.. A to wjeżdżajcie! Staszek!— krzyknął na chłopaka ośmioletniego – otwórz wrota.

Chłopcy wjechali na mułach, zeskoczyli przed gankiem, a Jasiek, zdejmując kapelusz, spytał:

— Czy widzę pana Michała Łyskowskiego?

— Ano, jam ci jest, a ty kto taki?

— Jasiek Łyskowski.

— Co mówisz?! – zawołał zdziwiony – czyżby syn brata nieboszczyka?

— Tak, stryju – obłapił go Jasiek za kolana i ucałował w rękę.

— Witajże mi, witaj!.. Dobrze zrobiłeś, żeś o mnie nie zapomniał – pogłaskał go i ucałował w czoło—ano podobnyś do nieboszczyka, masz jego oczy i głos taki, tylko że młody. A ten drugi kto? — wskazał na stojącego na uboczu Elpidia.

— Mój przyjaciel i towarzysz w całej podróży od Rio Negro.

— Bądź i ty pozdrowiony.

I gdy Elpidio całował go w rękę, stary pocałował go w czoło i uścisnął.

— Hej! Jaguś! Bóg dał nam miłych gości! — zawołał ku sieni, a do młodych: – Chodźcie do izby.

— Wpierw rozkulbaczę muły — rzekł Jaśko i wraz z Elpidiem podeszli do zwierząt.

— Racja! — powiedział Łyskowski i jął się bacznie przypatrywać mułom, wreszcie spytał: — Czy swego chowu, Jasiek?

— Nie, kupne.

— A drogie?

— Kupiliśmy tanio, bo były bardzo zmizerowane. Po sześćdziesiąt milreisów.

— O! tanio!

Zeszedł do mułów, zajrzał w zęby, spojrzał na nogi, grzbiet i dodał:

— Dobre pod siodło, nogi pewne, w San Paulo możnaby wziąć może i sto pięćdziesiąt. Kupiliście chyba kradzione — zaśmiał się.

— Ej nie! Zarządca herwales'u, gdzieśmy pracowali, sprzedał nam, jako braki — objaśnił Elpidio.

— To osieł! — rzekł Łyskowski lekceważąco.

— Nie bardzo! — uśmiechnął się Elpidio — bo w zaprzęgu znarowiły się, a konno nie miał kto jeździć.

— Hm... znasz się trochę na koniach. No, pokażę ci moje, jak podjemy.

Weszli do izby, w której kobieta jeszcze nie stara, nakrywała stół do jedzenia, a gospodarz rzekł:

— Jaguś! Przyjechał do nas Jasiek, syn najstarszy mego nieboszczyka brata—a widząc

że Jasiek nie ruszył się i stoi osłupiały, dodał: — Twoja stryjna.

Dopiero Jasiek podszedł i ucałował ręce stryjenki, a gospodarz:

— Ten drugi to przyjaciel Jaśka i jego towarzysz podróży. Jakże ci na imię?

— Elpidio, panie.

— Hm.. nie po naszemu, a z jakiego ty narodu?

— Brazylijczyk.

— Naród katolicki, co prawda, ale jeszcze strasznie ciemny — zrobił stary uwagę.

Elpidio za przykładem Jaśka pocałował w rękę gospodynię.

— Siadajcież, mili goście — zapraszała gospodyni — spożywajcie, co Bóg dał, nie spodziewałam się was, bo byłabym się przygotowała.

— E, po podróży takiej wszystko będzie im dobre — zaśmiał się gospodarz i zasiadł do stołu.

Na obiad był rosół z kury, mięso z niej i kluski z serem, okraszone suto słoniną.

Gdy pierwszy głód zaspokojono, spytał gospodarz:

— A dawnoś z domu?

— Bez mała dziewięć miesięcy.

— O la Boga!—zawołała stryjna, która dawała na talerze kluski dla dwojga dzieci — tyle czasu! Chybaś błądził po lasach!?

— Nie, stryjno, ale z Luceny do was jest przeszło tysiąc kilometrów, a z początku szliśmy pieszo.

- Pieszo? A przecież macie muły?

— Kupiliśmy je dopiero potem, gdyśmy zarobili trochę pieniędzy na herwales, gdzieśmy pracowali dwa miesiące. To było coś sześćdziesiąt kilometrów przed Guarapuava.

— A cóż u ciebie w domu?—spytał stryj — jak z ojcowizną twoją, bo nieboszczyk ożenił się powtórnie i masz przyrodnich?

— Połowę kolonji ja dziedziczę, a drugą połowę macocha i przyrodni.

— To sprawiedliwie, bo nieboszczka matka twoja, Panie, świeć nad jej duszą, dała swoje pieniądze. No, a z macochą jak?

— Hm... ni źle, ni dobrze. Trochę swarliwa i strasznie chciwa na majątek.

— To zwykłe rzeczy, ale ty nie wyrzekaj się ojcowizny. Dużo tam u was?

— Dwadzieścia morgów w uprawie, a trzydzieści rzadkiego lasu, już trochę przetrzebionego.

— Hm... ładny kawałek, miasto niedalekie, kolonja ludna. To nie tak jak u mnie — westchnął — prawie na odludziu.

— A dużo ma stryj ziemi?

— Sto morgów, ale piętnaście w uprawie, bo sam nie poradzę, chociażbym urobił ręce po łokcie. Reszta ziemi to las i pastwisko dla koni.

— Dużo koni ma stryj?

— Dziesięć sztuk; trochę handluję niemi w sąsiednim stanie, San Paulo. Gdyby nie kapnęło coś z handlu, trudno byłoby wyżywić dzieciska. A, prawda, ty nie znasz stryjecznych: to Zosia, osiem ma lat; Staszka widziałeś, Pietrek ma rok dwunasty, pasie konie, a Magdusia w kolebce.

Jaś ucałował dwoje obecnych, chwaląc ich urodę, co bardzo ujęło matkę.

— Bez twej urazy — powiedział stryj po pewnym czasie rozmowy o przygodach w podróży—powiedz mi, co ciebie przygnało aż tutaj? Bo dobra rzecz i poczciwa odwiedzić stryja, ale tłuc się aż z tysiąc kilometrów to nie przelewki, masz szczęście, że cię gdzie nie utłukli.

Jasiek zmieszał się na chwilę, wreszcie rzekł:

— Przybyłem tu na wezwanie stryja.

— Na moje!? Jako żywo, nie pisałem po ciebie... To jakieś bałamuctwo. Masz list mój?

— Oto jest!

I Jasiek wyciągnął list.

Stryj wziął go w rękę, obejrzał i, oddając żonie:

— Przeczytaj, Jaguś.

W czasie czytania oboje wydawali okrzyki zdziwienia i oburzenia, a podpis uznali za fałszywy.

— Ktoś cię zwiódł haniebnie, no i musiał

mieć w tem swój interes, ażeby cię wywabić z domu — mówił stryj po namyśle.

— Ej, czy nie macocha!? — zawołała stryjna — chciała się pozbyć ciebie.

— Chyba nie ona, bo strasznie nastawała, ażebym przyrodnich dopuścił do spadku i okrutnie mnie zaklinała.

— A może tylko udawała? — dorzucił stryj.

— Nie myślę, bo jak nam sąsiad, Mateusz Grzęda, czytał ten list...

— A ty nie umiesz czytać? — zdziwił się stryj.

— Umiem, ale nie chciała mi listu zawierzyć. Otóż jak nam czytał, ona w płacz i narzekania nad krzywdą swoich dzieci i nie ustawała, póki Franka, przyrodniego, nie dopuściłem do tego niby podziału.

— Ano, trudno, może ona była i nieświadoma, chociaż ona znów niemieckiego rodu, a to podstępny naród... Cóż teraz myślisz robić, bo sam widzisz, mam, chwała Bogu, dobrą żonę i zdrowe dzieci.

— Co? — zastanowił się Jasiek i po chwili dodał: — Odpocznę u stryja i wrócę na ojcowiznę.

— Toś praw — poklepał go po ramieniu — ale nie puszczę was tak prędko.

— Nie na to jechałeś tyle świata — odezwała się stryjna — ażebyś miał wnet wracać. Posiedźcie tu sobie, przypatrzcie się jako żyjemy, co

robimy. Miejsca nie zabraknie dla was, ani też jedzenia.

— Dziękuję stryjnie, ale długo nie myślimy tu popasać.

— A ja już jutro jadę – odezwał się niespodziewanie Elpidio, który dotychczas milczał nasępiony.

— Cóż to znowu!? — zawołał oburzony gospodarz — takiego despektu nie spodziewałem się po przyjacielu Jaśka! Czy ci ubliżyłem? czy źle przyjąłem?

— To nie – odrzekł trochę zmieszany — ale jak zobaczyłem, że wy oboje tak szczerze z Jaśkiem, złość mnie wzięła, żem taki sam sierota... i poco mam wam przeszkadzać?

Słowo sierota poruszyło Łyskowską, przystąpiła do siedzącego Elpidia i, głaszcząc go po ciemnych włosach, powiedziała łagodnie:

— Nie wyrzekaj przeciw woli Boskiej, nie złością, ale poddaniem się ulżysz sobie. Młodyś, jak dorośniesz i ożenisz się, znajdziesz radość i ukojenie.

Nie tyle słowa, ile ton głosu i to delikatne dotknięcie włosów rozczuliły Elpidia; pochwycił jej rękę, ucałował ze łzami w oczach, szepcząc:

— Wy taka dobra, jak matka rodzona!

— I zostaniesz z nami? - spytała łagodnie.

— Jak każecie, to zostanę i będę pracował za dwóch.

— No, to i dobrze! — uśmiechnął się gospodarz—Pan Bóg zesłał mi was, bo właśnie mam kapoerę gotową, a idzie o rossę.

— Dajże im odpocząć, wyspać się, tyle świata przejechali — upomniała żona.

— Dziś też ani myślę... a ty, Jaśku, i doma chodzisz tak po brazylijsku?—spojrzał na opończę, na jaskrawy krawat i niebieską kamizelkę.

— E, nie! Cudaka z siebie nie robię — tylko w podróży jest tak bezpieczniej.

— A jakże twoim przyrodnim? — spytała stryjna.

Powiedział imiona, lata, wygląd, ich usposobienie.

Rozgadali się na dobre i byliby dłużej mówili, ale gospodarz wstał, mówiąc:

— Pójdę obaczyć, co Pietrek robi.

— I my także — rzekł Elpidio.

Poszli we trzech, prowadząc muły na pastwisko.

— Koś! Koś! Wilczek! — zawołał gospodarz, podchodząc do koni.

Na to wołanie jeden koń maści wilczatej zarżał i zbliżył się do gospodarza, który z ręki dał mu kawałek chleba.

— To mój wierzchowy — poklepał konia po szyi — a co? ładny?

Elpidio obejrzał go uważnie i rzekł z uznaniem:

— Dobry, nogi pewne, czy lekko niesie?

— Jak w kolebce, bo jednochodziec.

— Czy na sprzedaż? — spytał Jasiek.

— Także coś!— oburzył się stryj— on swego chowu; ta kara kobyła, ostatnia na prawo, to jego matka. Reszta koni są sprzedażne.

Przeważnie były to konie niepokaźne i nieszczególnie utrzymane. Grzywy pokłaczone, we włosiu na ogonach tkwiły bodiaki. Kilka z nich miało białe plamy na grzbiecie, były to znaki po odsednieniu.

— Czy pan takie konie prowadzi na targi? — spytał Elpidio.

— O, nie! Na jaki tydzień przed jarmarkiem biorę na stajnię i zgrzebło.

— Dawno pan je kupił?

— Będzie miesiąc; były zbiedzone i chude, za miesiąc poprowadzę je do Sebastiano w San Paulo na jarmark.

— Czy pan sam tylko pędzi?

— Dawniej sam, ale od pół roku czekam na drugich handlarzy, bo na granicznych górach kręcą się rabusie. Raz straciłem dwa konie, a drugi raz, gdyby nie Wilczek — spojrzał na swego wierzchowca - byłbym już gryzł ziemię. Teraz pojedziecie ze mną, we trzech niema strachu.

— Bardzo chętnie — rzekł Elpidio — może przehandlujemy nasze muły.

— Ja wam ułatwię i pomogę — ofiarował się gospodarz.

— A ja, jeśli pozwolicie, panie, zajmę się waszemi końmi — powiedział Elpidio — do dobrego wyglądu zamało nawet dwa tygodnie.

— A potrafisz? — wątpił gospodarz.

— Od dziecka jestem tego zwyczajny i wśród koni jestem, jak wśród swoich — uśmiechnął się.

— No, no, być może, ale Wilczka nie ugłaskasz: każdego obcego, nawet Pietrka — wskazał na wyrostka — nie dopuści do siebie.

Elpidio spojrzał na konia, pasącego się opodal, podszedł do niego od łba, a gdy koń stulił uszy i gotował się do gryzienia, zawołał pieszczotliwie:

— Koś! Koś! Wilczek!

Koń zwrócił głowę w stronę gospodarza, widocznie zdziwił go ten ton głosu; wtedy Elpidio śmiało podszedł do niego i zanim koń się opatrzył, poklepał go po szyi. Koń nagle zwrócił rozwarty pysk ku niemu, ale Elpidio wyciągnął rękę i, bardzo zgrabnie uniknąwszy zębów, pogłaskał konia po rozdętych chrapach, a następnie odszedł kilka kroków.

Koń po kilku chwilach pasł się spokojnie.

— Aleś śmiały! — rzekł gospodarz z uznaniem — każdy inny uciekałby, a koń pogoniłby za nim.

— Alboż mi to pierwszy raz mieć do czynienia ze złemi końmi!

— Ano, powierzę ci konie, bo znasz ich naturę, ale dopiero po rossie.

— Daleko, stryju, rossa?

— Z przeciwnej strony i tylko pięć morgów, chociaż kapoera ma siedem.

— A to szkoda!—zawołał Jaśko - przez rok albo dwa urośnie przecież las i rąb chociaż siekierą.

— Cóż robić? — westchnął stary - sam nie poradzę.

— Od jutra zabierzemy się z Elpidiem do roboty i za trzy, cztery dni zetniemy kapoerę.

— Bóg wam zapłać, dzielni z was chłopcy, i widzę, chętni do pomocy...

Nazajutrz Jaśko i Elpidio, wyostrzywszy fojsy, poszli na kapoerę wraz z gospodarzem, który układał na gruncie ścięte gałęzie, trochę już uschnięte pod gorącemi promieniami słońca.

Pozostałe dwa morgi kapoery były silnie porośnięte krzakami i praca zapowiadała się znojna. Jaśko był tutaj nauczycielem Elpidia, pokazał mu, jak należy ciąć, ażeby nie marnować sił i zostawiać tylko małe odziomki krzaków. Elpidio szybko zrozumiał, na czem polega robota, i zapalczywie pracował, aż go Jasiek musiał hamować.

— Hej! Niema to jak młodość! — zawołał gospodarz, patrząc na robotę — pracujecie śpiewająco i zda się, że same krzaki kładą się przed wami.

Gospodyni, gdy przyszła z obiadem, widząc,

jaki kawał kapoery ścięli, zdumiona, zawołała do Elpidia:

— Ty chyba z polskiego narodu!

— Ja? A to dlaczego? — zaśmiał się.

— Boś taki robotny i chętny do pracy.

— Alboż ja wiem?—wzruszył ramionami — może i mam coś z Polaka w sobie, bo przylgnąłem do was.

— Ale i ty, Jaśku, roboczy, i czy sam radziłeś sobie z gospodarstwem?

— Sam, i łatwo mi było, bo ojciec nieboszczyk wszystko zostawił w porządku.

— A kiedyś wyszedł z domu?

— Pod koniec lata, w marcu; żyto już żęli wokoło nas.

— A do nas aż w końcu wiosny przyszedłeś, bo już grudzień.

— No, to też i dziwno mi, że u was jeszcze kukurudzy nie siano.

— Krztynkę się spóźniłem — rzekł gospodarz — ale tu, w Brazylji, to nie zaszkodzi, bo przecież jesienią, czy zimą, słońce tu przygrzewa, tylko nocami chłodno, ale bez mrozów. A w stepie nie było wam zimno?

— Nocami paliliśmy ogień, a w dzień dopiekało słońce, tylko deszcze nas czasem siekły, ale nie bardzo.

Pogwarzyli czas jakiś i wzięli się do roboty. Za trzy dni dwa morgi były nietylko ścięte, ale i gałęzie świeże rozdzielono na całą rolę

i zmieszano z przyschniętemi, ażeby ogień palił się równo i wszędy został popiół, uważany przez osadników za dobry nawóz.

Po ścięciu zapalono rozrzucone gałęzie ze wszystkich stron i wszyscy trzej, uzbrojeni w długie żerdzie, pilnowali noc i dzień, ażeby ogień nie zagasł i nie zostało dużo niedopałków.

Rola po spaleniu gałęzi nazywa się z brazylijska rossa, i jest już gotowa pod radło lub motykę. Z powodu zbyt wielu pni i korzeni po ściętych drzewach leśnych użycie pługa jest przez kilka lat niemożliwe. Zresztą, ziemia brazylijska jest tak urodzajna, że wystarcza lekkie, powierzchowne wzruszenie jej, ażeby rodziła.

Do sadzenia kukurudzy w rzędach przyszła gospodyni z dziećmi. Gospodarz i Jasiek, jako poduczony, wyciągnęli i naznaczyli rzędy. Sadzący kukurudzę zaostrzonym kijem robił dołek w rządku, wsadzał ziarno i przydeptywał nogą.

Elpidio pół dnia sadził, ale ciągnęło go do koni, któremi się zajął gorliwie, wziął sobie za punkt honoru, ażeby na jarmarku dobrze się prezentowały.

W przeddzień wyjazdu do Sebastiano Elpidio wyprowadził na dziedziniec powierzone mu konie; cała rodzina Łyskowskich przyglądała się z ganku. Stosunkowo do tego, jak wyglą-

dały te sprzedażne konie przed kilku tygodniami, przedstawiły się dziś na podziw dobrze, a gdy Elpidio dosiadł tych, które były pod wierzch, szły z fantazją, a posłusznie.

— Wiesz, Jaguś — rzekł cicho gospodarz — zarobiłem o jakie sto milreisów na tem, że on zajął się końmi, o, ten sposobny!

— Nie pożałuj mu jakiego prezentu ładnego — odszepnęła.

— To się wie, i Jaśkowi także, bo dużo mi pomógł w gospodarstwie. Hej, gdyby się już doczekać takiej pociechy z Pietrka!

— Wyrośnie, to i będzie, ale teraz jeszcze dzieciuch.

Gospodarz gorąco pochwalił Elpidia i zaczęli gotować się do drogi, mającej trwać trzy dni z okładem przez góry i lasy.

Przy wieczerzy spytał Jasiek:

— Dużo też zarobi stryj na tych ośmiu koniach?

— To, widzisz, taka rzecz. Zapożyczyłem się na kupno koni i winien jestem czterysta milreisów, dołożyłem swoich dwieście, i tyle za osiem sztuk zapłaciłem na jarmarku, a myślę, że zarobię ze dwieście.

— Gdyby tak przypilnować ich jeszcze z miesiąc, możnaby zarobić z pięćset – odezwał się Elpidio.

— Zjadłyby mnie, bo kukurudza droga, a pastwisko spali słońce.

— Ba, czyż niema stepów!? — zaśmiał się Elpidio w jarach i głębokich dolinach zawsze znajdzie się pasza.

— Ale i jaguar, i puma - dodał gospodarz— a koni muszę pilnować, bo zjadłby mnie dług do cna.

— Alboż tu niema jaguarów? — mówił Elpidio— a jednak konie żywe!

— Tu mało kiedy zachodzą. Z początku jak osiedliliśmy się, to szkody były liczne, ale przetrzebiliśmy kotów, coś osiem, albo dziesięć ustrzeliliśmy, to się wyniosły.

Jasiek, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, odezwał się:

— A wie stryj, ja nie puszczałbym się na taki handel.

— Dlaczego? Ryzyko jest wszędy, tak na koniach, jak i na roli.

— Niby to tak — powiedział Jaśko — ale na roli ryzykuję nasienie, a konie mogą zachorować, okuleć, mogą je ukraść, albo też pożrą zwierzęta.

— Sprawiedliwe twoje słowa podchwyciła stryjna - i już swego uprosiłam, że jak zbędzie się długu, porzuci ten niebezpieczny proceder.

— A ja handlowałbym chętnie — zaśmiał się Elpidio.

— Boś młody, ale gdybyś się sparzył raz, drugi raz i kupował konie za cudze pieniądze, odechciałoby ci się tego handlu.

— Stryjna ma rację - skinął głową Jasiek— co ziemia, to ziemia, chociaż i raz na dziesięć lat nie urodzi, nie żal człowiekowi roboty.

— No, no, nie graj w dudkę stryjny — zaśmiał się gospodarz — co powiedziałem, to dotrzymam, i jak zbędę się długu, porzucę handel.

— Byleś sprzedał wszystkie konie w Sebastiano — westchnęła żona.

— Jeśli nie w Sebastiano — odrzekł — to za miesiąc jest wielki jarmark doroczny w Guaraby, tam napewno znajdę kupców.

Wyjechali nazajutrz rano. Na czele jechał na swym Wilczku gospodarz, jako znający drogę, uzbrojony w nóż, strzelbę i pistolety. Za nim prowadził cztery konie Elpidio, mający pod sobą swego muła, a na końcu Jasiek na mule wiódł także cztery konie.

Pierwszy dzień podróży minął spokojnie. Na noc umyślił Łyskowski zajechać do wendy przy trakcie, ażeby umieścić bezpiecznie konie, gdyż za wendą rozpoczynały się graniczne lasy górzyste.

W wendzie zastali czterech podróżnych. Trzech Brazylijczyków, z których jeden widocznie był mieszańcem, miał bowiem rysy i włosy Indjan tutejszych, tylko jasną cerę. Czwarty podróżny był murzyn, silny i wielki chłop. Naturalnie, po umieszczeniu koni, poznajomili się z podróżnymi. Łyskowski patrzał na razie

podejrzliwie na nowych znajomych, lecz ci byli tacy rozmowni, weseli, że przy wspólnej wieczerzy i winie pozbył się swej ostrożności i na dobre się rozgadał, iż jedzie do Sebastiano z końmi na sprzedaż.

— Widziałem te konie — rzekł murzyn — można wziąć za nie dobre pieniądze, ale najpiękniejszy i najlepszy to wasz wierzchowiec.

Słowa te mile połechtały próżność Łyskowskiego i zaczął wyliczać zalety swego Wilczka.

— Dla mnie — powiedział ów Brazylijczyk z twarzą Indjanina — muł, na którym pan jechał — wskazał na Elpidia — jest niezwykłych zalet: jaka postawa, jaki chód! czy on na sprzedaż?

— Zależy od kasy pana — zaśmiał się Elpidio wesoło.

— No, jaka cena?

— Wpierw pokaż pan swój pugilares, bo szkoda mi gęby.

— Dowcipnyś pan — rzekł Brazylijczyk nachmurzony.

— Jak kiedy i gdzie, ale na razie idzie o pieniądze, a z niemi nie lubię żartów.

— A może zrobimy zamianę — odezwał się drugi Brazylijczyk.

— Po nocy złodzieje handlują — powiedział Elpidio—a nie przypuszczam wcale, że tak zacni panowie należą do nich.

— Gdybyś pan inaczej sądził, mógłbyś pan

gorzko pożałować tych słów! — zawołał Brazylijczyk.

— W pańskim kraju muszą być słowa drogie i dlatego ich żałujecie, ale u nas nic nie kosztują i nie mam potrzeby ich żałować.

— Ej, ostrożnie, panie obcy! — spojrzał groźnie na Elpidia.

— Tę samą uwagę miałem zrobić waszej łaskawości—uśmiechnął się chłopiec drwiąco— a zarazem dodać, że kij ma dwa końce.

— Elpidio! — wmieszał się Jasiek — czy nie szkoda ci czasu na takie spory?

— Prawdę pan rzekł — zaśmiał się Brazylijczyk — gdy wino na stole, kwas niepotrzebny!

Zapili całą sprawę, ale Jasiek, który pił bardzo mało, zauważył znaki porozumiewawcze pomiędzy gośćmi wendy i postanowił być ostrożnym.

Już było blizko do północy, gdy wszyscy udali się na spoczynek. Łyskowski, tamci goście i nawet Elpidio byli rozmarzeni trunkiem i układali się do snu w izbach wendy. Jaśko, mimo odradzania wszystkich, uparł się spać przy koniach i ułożył się pod żłobem.

Jeszcze ciemno było, gdy obudził go szmer i cichy skrzyp otwieranych drzwi. Cichutko wziął w rękę rewolwer, nakrył się opończą i czekał.

Posłyszał skradające się ku niemu kroki,

przymknął oczy i nagle poczuł silne światło ślepej latarni.

Nie drgnął nawet, udając śpiącego, i posłyszał szept:

— Ten śpi jak zabity, możnaby go wynieść na pole.

— Tem lepiej, nie lubię krwi — odpowiedział inny głos.

— Ja biorę pierwszego wierzchowca!

Jasiek poznał głos Murzyna.

— To bierz! — przyzwolił ktoś — ja odwiążę resztę.

Wśród ciszy słychać było chrupanie siana przez konie, ale nagle rozległ się kwik konia i przekleństwo.

— Kto tam!?—krzyknął Jasiek do konia:— Stój cicho! Czego kwiczysz?

Usiadł na posłaniu z rewolwerem w ręku. Posłyszał szybkie kroki i nagle ucichło wszystko. Stryj i Elpidio spali w ostatniej izbie za sklepem.

Jasiek, obawiając się, że konie mogą być skradzione, gdy wyjdzie ze stajni, postanowił zostać, ale nie kładł się na dawnem miejscu, lecz w stronie przeciwnej.

Przed wschodem słońca, prawie równocześnie weszli do stajni stryj i murzyn.

— Cóż, Jasiek, spałeś? — spytał stryj.

— Bardzo dobrze, tylko Wilczek narobił hałasu i zbudził mnie.

— Pewno gryzł się z sąsiadem — a spostrzegłszy Murzyna: — dzień dobry, a co panu w rękę, bo widzę, że zawiązana?

— Spuchła mi, widocznie ucięła mnie złośliwa mucha — mówił Murzyn, kładąc w zanadrze lewą rękę.

Nadeszli inni, oraz Elpidio i zaczęli gotować się do dalszej drogi, czyszcząc i pojąc konie.

Po wypiciu herwy oświadczyli nowi znajomi, że jadą do Guarahy. Wspólnie z Łyskowskim mieli jechać tylko ze trzy godziny, gdyż dalsze drogi rozchodziły się.

Jasiek z pod óka śledził każdy ich ruch, i zauważył, że i on jest pilnowany i nie miał możności powiedzenia w wendzie o nocnej przygodzie, bo skoro zaczął mówić, zaraz przystępował jeden lub drugi z nowych znajomych i pilnie nasłuchiwał.

W drodze Murzyn jechał z Łyskowskim; Brazylijczyk z Indjaninem obok Elpidia, a dwaj inni starali się jechać z tyłu, za Jaśkiem. Ten jednak tak kierował końmi, że zawsze na oku miał tych dwóch i nie pozwolił im jechać za sobą.

Po pewnym czasie wszyscy czterej skręcili na drogę, wiodącą do Guarahy, pożegnawszy się bardzo uprzejmie.

Gdy Łyskowski zatrzymał się na obszernej łące, zapowiadając popas koni, Jasiek rzekł:

— Wie stryj, ci nasi nowi znajomi są zwykłymi złodziejami.

— Co ty mówisz? — dziwił się.

— Ten Murzyn musi być łotr wielki—rzekł Elpidio — miał zbójeckie spojrzenie. No, co było?

— W nocy zbudził mnie niezwykły szmer— zaczął Jasiek -- usłyszałem kroki, ale przycupnąłem, udaję, że śpię, a rewolwer w garści.

— To dobrze — mruknął stryj.

— Zaświecili mi w oczy latarką i byliby mnie ubili, gdybym był drgnął, a ja nic: leżę, jak kłoda, chociaż serce tak mi się tłukło, iż dziw, że nie posłyszeli.

— Śpieszyło się im do koni, to i nie nasłuchiwali — uśmiechnął się Elpidio.

— Co dalej, Jasiek? — rzekł stryj zaniepokojony.

— Murzyn chciał Wilczka wyprowadzić, a ten jak nie kwiknie, aż kury załopotały na strychu, i schwycił go zębami, co ten łotr złożył przed wami na złą muchę.

— Hej, to zmyślny koń!—zawołał Łyskowski — taki nie pozwoli przystąpić do siebie... No, mów!

— Po kwiku zbudziłem się niby, uspokajałem konia, a oni wszyscy w nogi. Nie śpiąc, stróżowałem do rana.

— Daj ci, Boże, zdrowie, uratowałeś mi ko-

nie — pochwalił stryj. — A dlaczego nie powiedziałeś mi wpierw o tem?

— Ani mnie? — dodał Elpidio

— Bo strasznie mnie pilnowali, może domyślili się, że coniebądź wiem o nocnej przygodzie, i nie chcieli dopuścić do otwartej kłótni.

— Tak, to możliwe — zawołał Elpidio — bo ich czterech nie poradziłoby nam.

— A czy stryj zauważył, jak dwaj z nich chcieli mnie z tyłu zajechać?

— Nie.

Jasiek opowiedział szczegółowo o ich usiłowaniach i dodał:

— Zdaje mi się, że oni nie skończą na tej jednej próbie skradzenia koni, ale pokuszą się znów. Czy nie byłoby dobrze wyrzec się Sebastiano, albo też zmienić drogę?

— Trakt jest tylko ten jeden—rzekł stryj— innej drogi nie znam... a znów wracać... hm... a co ty myślisz? — spojrzał na Elpidia.

— Alboż nie mamy broni? — zaśmiał się chłopiec. — Teraz, kiedy wiemy, co oni za jedni, możemy im palić w łeb bez pytania.

— Gdyby ci pozwolili wziąć siebie na cel— uśmiechnął się Jasiek — ale oni mogą strzelać z zasadzki.

— Tak, to prawda — westchnął stryj.

— Więc mam inny sposób--rzekł Elpidio — nasze konie są wypoczęte i idą luzem, możemy

do wieczora upalić ze czterdzieści kilometrów, oni nie będą mogli nas zgonić.

— No, nie od parady masz głowę! — chwalił Łyskowski Elpidia — okrutnie mi się nie chciało wracać.

Gdy konie odetchnęły, ruszono w dalszą podróż szybkim kłusem i istotnie ujechali znaczny kawał drogi.

Na noc rozłożyli się w bocznej cichej dolinie i stróżowali na zmianę. W nocy prócz wycia szakali nie dosłyszeli nic podejrzanego, a gdy i ranek minął spokojnie, zawołał stryj wesoło:

— Twoja ostrożność, Jaśku, dobra, ale śmiałość Elpidia lepsza. Jutro przed południem staniemy w Sebastiano, a tam i bojaźliwych strach opuszcza.

Przykry był dla Jaśka ten żart i chciał coś rzec na swoją obronę, gdy nagle, przy zakręcie drogi gruchnął strzał i Łyskowski po chwili spadł z konia.

Zanim Jaśko i Elpidio mieli czas ochłonąć, rozległy się dwa nowe strzały i na drodze stanęli czterej podróżni z wendy.

Jeden strzał zabił muła Elpidia, który runął wraz z jeźdźcem na ziemię, a drugi strzał musnął kapelusz Jaśka, który, widząc przewagę rabusiów, szybko zeskoczył z muła i skrył się w lesie.

— No, uporaliśmy się z nimi szybko i zręcznie! — zawołał z radosnym śmiechem mieszaniec

indyjski, a widząc gramolącego się z pod muła Elpidia, dodał: — Tego wezmę żywcem, oduczę go dowcipów — i rzucił arkanem.

W tym czasie Murzyn starał się opanować Wilczka, który gryzł i wierzgał, jak szalony. Dwaj inni łowili tamte konie.

Jasiek, ukryty za drzewem, w gęstwinie lian, widząc, że arkan schwycił wpół Elpidia, wziął na cel siedzącego na koniu Brazylijczyka z czarnemi indyjskiemi włosami i strzelił. Brazylijczyk rozkrzyżował ręce i zwalił się z konia.

Nie zwlekając, Jaśko strzelił do drugiego, który uprowadzał konie, i ten z okrzykiem boleści padł na ziemię.

Te dwa celne strzały tak przeraziły trzeciego Brazylijczyka, że rzucił się do ucieczki, ale już Elpidio uwolnił się z arkanu, pochwycił strzelbę swoją i strzelił za uciekającym.

Po strzale ryk bólu zatrząsł powietrzem, a noga lewa uciekającego wypadła ze strzemienia. Jeździec jednak nie spadł i pędził dalej, co koń wyskoczy.

Murzyn po strzałach porzucił Wilczka i wskoczył na swego konia; wtem Jasiek strzelił: prawa ręka Murzyna zwisła bezwładnie, lecz bódł swego konia ostrogami i wkrótce znikł na zakręcie.

Elpidio, wprawdzie kulejąc, dopadł konia, wskoczył na niego i zawołał do Jaśka:

— Może dopadnę i utłukę!

Jasiek, który śpiesznie szedł w stronę leżącego stryja, krzyknął:

— Nie goń! i tak dostali!

Ale Elpidio, czy nie dosłyszał, czy też nie chciał słyszeć, pognał na koniu.

Jasiek zbliżył się do leżącego bez ruchu stryja, i pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była pokrwawiona głowa, a przy niej na ziemi kałuża krwi; już muchy brzęczały nad leżącym, a niektóre piły krew.

Schwycił się Jasiek za głowę i zawołał żałośnie:

— O Jezu! Zabity!

Odpędził muchy, ukląkł i dwoma rękami podniósł głowę. Zmiana pozycji wywołała silniejszy upływ krwi z rany. Bezwładną, skrwawioną głowę złożył napowrót na ziemi i, otarłszy opończą usta i nos z krwi, nachylił się nad stryjem, nasłuchując oddechu. Nie mógł jednak nic wyczuć.

Spojrzał na konie, które, skłębione, szarpały uździenicami, a dwa konie rabusiów gryzły spokojnie trawę przydrożną.

Uspokoił konie, rozplątał sznury uździenic i, spętawszy konie swoje i zbójeckie, puścił je na paszę.

Przy tej robocie myślał ciągle o stryju: żyje-li on, czy nie?

Za najpierwszą konieczność uznał wystara-

nie się o wodę. Wypróżnił skórzaną sakwę i poszedł w stronę niedalekiego moczarzyska. Ku wielkiemu swemu zadowoleniu znalazł poddostatkiem wody. Napełnił sakwę i wrócił do leżącego.

Starannie obmył głowę i zobaczył, że kula rozdarła lewy policzek i urwała kawałek konchy usznej. Pod upływem wody krew zaczęła sączyć się obficiej. Mając pod ręką swą zapasową koszulę, Jasiek przycisnął nią ranę, chcąc krew zatamować.

Ból świeży przebudził z omdlenia rannego, który na chwilę otworzył oczy i jęknął żałośnie.

— Żyje! Żyje! — zawołał Jaśko uradowany.

W tej chwili nadjechał na spoconym koniu Elpidio, wołając zdaleka:

— Umknęli psubraty, ale obaj krwią broczyli!

A widząc Jaśka nachylonego nad stryjem, spytał:

— Żyje, czy zabity?

— Żyw! Chodź, pomóż mi.

Po naradzie postanowili obandażować ranę, a następnie przenieść rannego w cień drzew.

Przy wszystkich swych dobrych chęciach i staraniach bandażowali ranę niezgrabnie, tymczasem chory ocucił się zupełnie i spytał cichym głosem:

— Co się stało?

Jasiek, wziął na cel siedzącego na koniu Brazylijczyka i strzelił (str. 230).

— Stryj ranny... proszę cicho leżeć! Główna rzecz, że stryj żyje.

Nareszcie skończył się opatrunek rany, a stryj szepnął:

— Konie?

— Są wszystkie.

— O jednego więcej nawet — dodał Elpidio swobodnie.

— A oni?

— Zbóje?... Dwóch zabitych, a dwaj uciekli, ale są ranni — objaśnił Jasiek.

Łyskowski, chociaż z potłuczoną i poranioną głową, jęcząc, podniósł się, ale dopiero przy pomocy chłopców wstał na nogi, i ci, więcej go niosąc, aniżeli prowadząc, podeszli z nim w cień lasu, gdzie usiadł, oparty plecami o pień drzewa.

— Teraz uprzątnijmy trupy — rzekł Jasiek — nie godzi się zostawiać ich na drodze.

— Ach, to głupstwo! — zaśmiał się Elpidio — zgniją tu, czy tam, a szakale będą miały ucztę.

— Nie, nie! Gdybym miał rydel, pogrzebałbym ich w ziemi.

— Babskie rozczulenie — uśmiechnął się Elpidio — zgadzam się na zaciągnięcie ich w las, ale wpierw obszukam drabów.

Prócz broni znaleźli przy zabitych osiemdziesiąt milreisów. Arkanem związał Elpidio

nogi trupów i przy pomocy konia zawlókł w głąb moczarzyska.

— Cóż robimy, Jasiek? Przecież tu nie będziemy wiekowali.

— Musimy ratować stryja. Zdaje się, że kula nie strzaskała mu kości twarzy, bo może mówić. Zresztą, chodźmy do niego.

Łyskowski miał na tyle przytomności, że rzekł:

— Wracamy do domu. Podsadźcie mnie na Wilczka, pojadę.

— Wiesz, Elpidio — powiedział Jasiek, szykując się do drogi — ze wszystkiemi końmi trudno będzie jechać szybko.

— Więc co myślisz? — spytał Elpidio.

— Pojadę ze stryjem przodem, wezmę dwa luźne konie na zmianę. Będziemy jechali całą noc i dzień, a ty przyprowadź resztę!

— Dobrze obmyśliłeś. Jedź!

Po wielkich wysiłkach i staraniach dowiózł Jaśko zbolałego i gorączkującego stryja do domu.

We dwa dni później przyprowadził Elpidio konie, na szczęście bez żadnych złych przygód.

Stryj zachorował obłożnie, a dwaj chłopcy zajęli się gospodarstwem i końmi. Po trzech tygodniach rana Łyskowskiego nie zgoiła się jeszcze, ale przynajmniej oprzytomniał i zaraz zawołał Jaśka i Elpidia do siebie.

— Jasiek, czy chwasty kukurudzy nie przygłuszyły?

— Nie, stryju. Kukurudza wzięła górę i nie dopuści chwastu.

— A żyto?

— Wykłosiło się i wkrótce dojrzeje.

— To dobrze... Cóż konie, Elpidio?

— Mamy dziewięć na sprzedaż, poprawiły się, i pieniądze będą.

— Zapomniałam ci powiedzieć — odezwała się żona — że Galdino dwa razy przyjeżdżał i przyszedł do ciebie jakiś papier z sądu.

— Ach, ten Galdino! — westchnął chory — to jemu winien jestem czterysta milreisów, a termin minął. Jasiek, przeczytaj mi ten papier.

Jasiek wziął papier w rękę: było to wezwanie sądowe o zapłacenie dłużnej sumy czterystu milreisów z procentami w ciągu czternastu dni.

— A kiedy przyszło wezwanie?

— Cztery dni temu.

Zasępił się Łyskowski i po chwili rzekł z westchnieniem:

— Gdyby nie to choróbsko, Galdino miałby pieniądze... Za pięć dni jarmark w Guarahy, sprzedałbym konie i skończyłbym z długiem.

— Stryju — odezwał się Jasiek — zawierz nam konie. Pojedziemy z Elpidiem i sprzedamy.

— Wierzę wam, ale to świat drogi, tak jak do Sebastiano, ze trzy dni, prócz tego mogą was oszukać.

— Naznacz pan cenę na konie — doradził Elpidio — dadzą nam te pieniądze, to sprzedamy, a nie dadzą, przyprowadzimy konie z powrotem.

— Wiesz, Michale — przemówiła żona — Elpidio dobrze radzi. Galdino, jeśli nie otrzyma w sądzie pieniędzy, zabierze nam kolonję i bydło, a z nim niema żartów, bo to lichwiarz.

— Cóż robić? — stęknął chory — jedźcie. Liczyłem, że wezmę za osiem koni osiemset milreisów...

— Mamy dziewięć teraz, bo dwa konie zbójeckie wzięliśmy—mówił Elpidio.—Jednego ja biorę za ubitego muła, a drugi wam się należy, panie gospodarzu, za tę ranę i chorobę.

— Zacny z ciebie chłop — powiedział rozczulony Łyskowski — ale ten drugi koń pójdzie do podziału. Taka moja wola... Kiedy jedziecie?

— Jutro, stryju.

— Dobrze, a pośpieszajcie, ażeby być na początku jarmarku... Matko, masz co gotowizny?

— Nam nie trzeba i grosza! — zawołał Jaśko — mamy swoje pieniądze: osiemdziesiąt milreisów zdobyliśmy na zbójach, zresztą stryj zwróci nam wydatki, gdy otrzyma pieniądze za konie.

Porozmawiali jeszcze chwilę i poszli gotować się do drogi.

Zaczęły się dnie oczekiwania i niepokoju Łyskowskich. Gospodarz, znając uciążliwość i niebezpieczeństwa podróży, martwił się srodze i czynił ostre wymówki żonie, że namówiła go do zawierzenia koni dwom niedoświadczonym młokosom.

Mijał już siódmy dzień od wyjazdu, a o chłopcach ani słychu. Niespokojny i zniecierpliwiony Łyskowski podniósł się z łóżka i usiadł na ganku, wypatrując powrotu wysłanych.

Tak minął i ósmy dzień, i dziewiąty zbliżał się ku końcowi, gdy wpadł Pietrek do izby, i krzyknął:

— Wracają!

Wypadli wszyscy na ganek w chwili, gdy przez wrota wjeżdżał Jaśko na swym mule, a Elpidio na kupnym:

— Chwała Bogu, że wracacie żywi!—zawołała stryjna ze łzami.

— Nareszcie! — odetchnął stryj — myślałem, że was gdzie utłukli. Czy konie sprzedane?

— Wszystko dobrze, stryju — zeskoczył Jasiek z muła — sprzedaliśmy nieźle. Zaraz opowiem.

— Kupiłem muła - zawołał Elpidio — a konia sprzedałem.

Podeszli do ganku, przywitali się z gospodarzem, a Jasiek rzekł ze śmiechem:

— Stryjno, giniemy z głodu, od wczorajszej wieczerzy nic nie mieliśmy w ustach.

— Zaraz podam wam, przygotowałam się na wasz powrót—mówiła gospodyni, wchodząc do domu.

— Dlaczego głodowaliście?—spytał stryj.

— Śpieszyliśmy się, bo wiedziałem, że stryj niespokojny.

Weszli do izby, a tuż prawie gospodyni wniosła przygotowane poprzednio potrawy.

— Jedzcie i opowiadajcie—zapraszała.

— No, jaka cena? Ile wzięliście za konie?—spytał gospodarz.

— Przeciętnie za każdego konia po sto trzydzieści — odpowiedział Jaśko — razem za dziewięć koni tysiąc sto siedemdziesiąt milreisów.

— A, chwała Bogu!—zawołał uszczęśliwiony stryj—zaraz spłacę ten przeklęty dług, ale liczysz, Jaśku, za wiele, bo dziewiąty koń idzie do podziału na was dwóch! I tak zarobiłem dwieście czterdzieści milreisów nadspodziewanie.

Wprawdzie sprzeciwiali się obaj, ale stryjna zagroziła gniewem, zgodzili się więc pod warunkiem, że kosztów nie zwróci im gospodarz.

W kilka tygodni później, gdy rozpoczęło się żniwo żyta, a Jasiek obaczył bogaty urodzaj, wzięła go taka tęsknota do swej kolonji, do

ojcowizny, że nie mógł dać sobie rady. Żywo stanął mu przed oczami Wilhelm, leniwy, ospały, nie znający się na gospodarstwie, marnujący konie i cały dobytek.

Jednego wieczora, gdy siedzieli wszyscy przy wieczerzy, rzekł Jasiek:

— Stryju, w tych dniach wracam na ojcowiznę. Odjechałbym jutro nawet, ale chcę skończyć z żytem.

— A tobie co? — zdziwił się gospodarz — czy ci źle u nas? Zaczekaj do zbioru kukurudzy, będę miał więcej czasu, wyprawię cię, jak się patrzy, podprowadzę trochę.

— Dziękuję wam obojgu za dobre serce, dobrze mi tu było, ale trzeba jechać, na to niema rady.

— Hm... kiedy ci tak pilno, to jedź, nie będę cię siłował — mówił chmurny — ale ty, Elpidio, zostań, nie masz się śpieszyć ani gdzie, ani do kogo.

— Co to, to nie — rzekł Elpidio - my z Jaśkiem przyjaciele.. Jeśli we dwóch ciężko nam było przyjść do was, to wracać jednemu nie sposób.

— Ee, da sobie radę Jasiek, on ostrożny i pamiętliwy.

— Nie może być, usechłbym z niepokoju i nie mielibyście żadnej pociechy ze mnie. Razem przyszliśmy, razem odjedziemy.

Napróżno gospodyni molestowała i prosiła,

obaj nie zmienili zdania i mieli zostać tylko do ukończenia zbioru żyta.

W przeddzień odjazdu zawołał ich gospodarz do izby i rzekł:

— Obaj byliście bardzo dobrzy, posłuszni i pracowici, Bóg wam zapłać, chłopcy, i zawsze pozostaniecie w mojem sercu. Radbym was wyprawić, jak królewiczów, ale nie stać mnie na to, jak sami wiecie. Jednak w podróży pieniądz zawsze się przygodzi, przyjmijcie dobrem sercem, co wam daję z dobrego serca.

I każdemu dał po pięćdziesiąt milreisów.

Stryjna, prócz obfitego zapasu jedzenia, zaopatrzyła ich w bieliznę na drogę i płakała rzewnie przy pożegnaniu.

Indjanie.

Minęli już Guarapuavę i zbliżali się do tego hervales, gdzie przedtem pracowali przez dwa miesiące przy herwie.

— A może zajedziemy na plantację? — zaproponował Elpidio — lubię odwiedzać znajome miejsca.

— Czy się opłaci? — wzruszył Jaśko ramionami — nie zostawiliśmy tam przyjaciół, tylko obojętnych nam ludzi, a śpieszno mi do domu.

— A co tam będziesz robił?

— No, wiesz, zawsze to ojcowizna. Mam swoje dwadzieścia pięć morgów, a pewno gospodarstwo zmarniało w takich rękach, jak Wilhelma.

— A, to ten szwab, o którym mi opowiadałeś — rzekł Elpidio — że też go nie ubiłeś!?

— Cóż znowu? Zbrodni-bym nie popełnił, a że macocha przyjęła go na dobrą wiarę, na to nie miałem rady.

— No, tak, ty będziesz gospodarował, Jasiek, a co ja zrobię?

— Będziesz mi pomagał. Sklecimy sobie jaką taką chałupę i będziem gospodarowali.

— Ale konie ja sam będę pilnował.

— Dobrze. Za kilka lat możemy mieć dobrą stadninę.

— I ja tak myślę — zaśmiał się Elpidio — nasze konie będą najlepsze.

Rozmawiając tak o przyszłości, wjechali przed zachodem słońca w lasy, przez które prowadziła ich była Essetamaipu.

— Co się też z nią dzieje? — rzucił pytanie Jasiek.

— Pewno jest żoną jakiego indyjskiego wojownika — mówił Elpidio — usługuje mu, a on traktuje ją, jak juczne bydlę.

— Szkoda jej, to była dobra dziewczyna.

Zaczęli wspominać szczegóły o Essetamaipu, o Peryklesie de Oliveira, który mimo swego okrucieństwa uchodził jednak wśród Brazylijczyków za dobrego i zacnego człowieka i miał wiernych przyjaciół.

Przy trakcie nie było ani dobrego pastwiska, ani wody, to też gdy napotkali strumień leśny, pojechali nim w głąb lasu, szukając dogodnego miejsca na nocleg.

Po dość długiej i uciążliwej drodze znaleźli wreszcie niezwykle ładną łąkę, otoczoną wysokiemi kamieniami, które zamykały przystęp

do niej, z wyjątkiem dość szerokiego wejścia z jednej strony od brzegu strumienia.

— Tu będzie nam i mułom wybornie! — zawołał zadowolony Elpidio, zeskakując z muła.

Gdy puścili muły na paszę, Jaśko, rozglądając się wokoło, zauważył:

— Wiesz, Elpidio, zdaje mi się, jak gdyby te złomy kamienne były przyniesione przez ludzi. Zobacz tylko, jak sztucznie są układane.

— Hm... zapewne byli tu niegdyś ludzie, ale teraz pustka i możemy tu wypocząć. Chodźmy po suche gałęzie, wypiję chętnie herwy.

Rozpalili wielkie ognisko i, czuwając na zmianę, przepędzili noc spokojnie, a nad ranem, ubezpieczeni od napadu dzikich zwierząt, zasnęli obaj twardo.

Zaledwie błysnęły pierwsze promienie słońca, gdy gałęzie i liany poblizkiego lasu poczęły się chybotać, i z gęstwy leśnej wysunęło się bez szelestu dziesięciu wojowników indyjskich. Byli nadzy, z krótkiemi przepaskami na biodrach. W czarnych, związanych włosach tkwiły jaskrawe pioropusze, w lewej ręce każdy miał wielki łuk, na plecach pęk strzał, a w prawej ręce sękatą, grubszą u dołu pałkę. Twarze ich były bez zarostu, z powyrywanemi zupełnie brwiami i rzęsami. Jedni mieli twarze pomalowane w żółte pręgi, inni nosili wielkie kolce w uszach.

Stąpali tak cicho i ostrożnie, że nawet muły

nie zwróciły na nich uwagi i dopiero, gdy powiew wiatru przyniósł im zapach Indjan, zastrzygły uszami i podniosły łby schylone.

Rozstawiwszy się kołem, zbliżali się do śpiących bez szelestu. Gdy stanęli tuż przed Jaśkiem i Elpidiem, na dany znak podnieśli wrzask:

— Hu! Hu!

I na każdego ze śpiących rzuciło się pięciu Indjan. Jedni krępowali nogi, drudzy ręce, a jeden z nich zarzucił arkan na szyję Jaśkowi i Elpidiowi.

O jakimkolwiek oporze nie mogło być mowy. Napadnięci w głębokim śnie, byli bez broni, zresztą nie mogli poruszyć ani ręką, ani nogą.

Indjanie zaczęli ze sobą się naradzać w swoim języku. Jedni byli zdania, że obu związanych należy doraźnie zabić, inni — i ci byli w większości — chcieli ich dostawić do osady indyjskiej i oddać w ręce wodza Kaiki.

Indjanin Taimor, wysoki, szczupły, ze srogim wyrazem twarzy, ozdobionej dwoma pasami żółtemi na policzkach, a czerwoną pręgą na czole, widocznie był starszym, gdyż naradzający się wojownicy zwracali swe mowy do niego.

— O, mądry Taimorze!—zawołał jeden z radzących—rozstrzygnij, co robić z tymi złoczyńcami białymi, którzy ośmielili się wejść na

naszą ziemię i zbezcześcili naszych wielkich wojowników.

— Winni są śmierci — rzekł surowo.

— Mądrze powiedziałeś, Taimorze, i usłuchamy twej rady, ale zważ, że Numnabugr — wskazał na poprzedniego mówcę—pragnie ukarać ich śmiertelną męką tu, na miejscu zbrodni, a my chcemy uradować serce wodza Kaiki, silnego i krwawego, jak jaguar, przyprowadzając mu tych białych psów.

Taimor zamyślił się i rzekł:

— Wasza chęć ucieszenia wodza, nieśmiertelnego Kaiki, niech się stanie czynem.

I klasnął w dłonie na znak zakończenia obrad.

Zerwali się z ziemi, jedni poszli schwytać muły, inni stanęli nad związanymi, naradzając się, jak ich zabrać ze sobą.

— Jasiek, ty rozumiesz, co oni mówią? — spytał Elpidio.

— Ani w ząb.

— I ja także, ale wiem, że naradzają się, jak nas najdoskonalej uśmiercić?

— Jakto najdoskonalej?

— Ano, skórę zdzierać, piec, trochę wędzić, wykłuć oczy, wyrwać język...

— Nie mów... Wszystko w ręku Boga!

— Ba, lepiej zawsze wiedzieć, aniżeli nie wiedzieć.

Taimor z nieopisaną pogardą spojrzał na

jeńców i rozkazał odebrać im noże i pistolety, tkwiące za pasem.

Jeden z wojowników nachylił się, wyjął faki, obejrzał starannie i podał Taimorowi. Gdy przyszło do odebrania pistoletów, stanął niezdecydowany. Indjanie wiedzieli z doświadczenia, że z tych przyrządów wypada grom i kula mordercza, ale należeli do najdzikszego szczepu Botokudów, który nie umie obchodzić się z bronią palną.

Indjanin wypowiedział cicho zaklęcie i bardzo ostrożnie począł wyciągać pistolet, tkwiący za pasem Jaśka. Dopiero, gdy ujrzał koniec lufy, szarpnął gwałtownie i odrzucił daleko z widocznym strachem.

Rzucony pistolet uderzył kurkiem silnie o kamień i nagle padł strzał. Indjanie z okrzykiem zgrozy i strachu rozbiegli się, patrząc z przerażeniem w stronę leżącego pistoletu.

Mimo grozy położenia, obaj więźniowie uśmiechnęli się, a Elpidio rzekł:

— Hej, gdybyśmy mieli wolne ręce, nauczylibyśmy tych zbójów, zwłaszcza, że rewolwery mamy w kieszeni.

— Co oni z nami zrobią? — spytał Jaśko.

— Zamęczą nas, to pewne — powiedział Elpidio — byle krótko męczyli.

— Ależ my im nic złego nie zrobiliśmy — oburzył się Jaśko—więc nie mają powodu nas zabijać!

— Ach, o takie rzeczy oni nie pytają westchnął Elpidio — ale to głupio, że daliśmy się schwytać.

— Stało się; teraz pomyślmy, jakby się wyratować... czy możesz ruszyć ręką, bo ja mam palce wolne.

— Ja również.

— Jeśli nas położą w nocy przy sobie, spróbuję rozwiązać ci pęta.

— O, tacy głupi nie będą!

Indjanie uspokoili się po wystrzale, a Taimor, dając wielki dowód odwagi, sam wyjął pistolet Elpidia i złożył obok strzelb. Związał pistolet i strzelby lianą i paczkę tę zawiesił u kulbaki muła.

Dwom więźniom rozwiązano nogi, kazano powstać i na arkanie, pod silną strażą, poprowadzono ich w głąb lasu.

Może przez godzinę szli wązką, krętą pikadą; nagle weszli na otwarte miejsce, bez drzew, i zobaczyli kilkanaście małych koni z wielkiemi grzywami, których strzegło kilku uzbrojonych Indjan. Z wielkiego ogniska dochodził zapach pieczonego mięsa.

Indjanie, wszyscy bez brwi i rzęsów, obsiedli w milczeniu ognisko, wyciągnęli z węgli i popiołu taititu, gatunek dzikiej świni, i rozrywając palcami mięso, jedli żarłocznie.

Dwaj więźniowie nie otrzymali ani jednego kęsa, lecz narazie nie byli tak dalece głodni, ile spragnieni.

W pobliżu drzewa, do którego byli uwiązani, płynął strumyk, a Elpidio szepnął do Jaśka:

— Napiję się wody, bo ginę z pragnienia.

Położył się i mimo, że arkan dusił mu szyję, starał się dosięgnąć ustami płynącej wody. Widząc te usiłowania, Indjanin, będący na straży, skrócił sznur i kopnął leżącego, a gdy Elpidio nie wstawał, począł okładać go twardym arkanem, co wzbudziło ogólną wesołość.

Elpidio, klnąc głośno, powstał, a widząc obok siebie Indjanina, który go bił, nagłym ruchem głowy uderzył go w brzuch tak silnie, że Indjanin zatoczył się i padł na ziemię.

To podobało się tak dalece Indjanom, że klaskali w dłonie, śmiejąc się wesoło.

Powalony na ziemię wojownik zerwał się i pochwyciwszy maczugę, zamierzył się nią na Elpidia, gdy wtem Taimor krzyknął jakieś słowo, a Indjanin pokornie opuścił maczugę na ziemię.

Gdy zjedli mięso i ogryźli kości, dali pić więźniom, wsadzili ich na muły, przywiązali silnie do kulbak i ruszyli z nimi w dalszą podróż.

— Porozbijamy sobie łby — rzekł Elpidio— bo pikada wązka i kręta.

— Będą nas pilnowali — powiedział Jaśko spokojnie—nie pozwolono cię zabić temu z pałką, chcą więc z nami zrobić coś gorszego.

Ku wielkiemu zdziwieniu więźniów, pikada, dotychczas zaledwie widoczna, rozszerzyła się

wkrótce w drożynę, którą swobodnie mógł koń biedz. Ruszono kłusem w głąb leśnej puszczy.

Drożyna ta miewała często kilka rozgałęzień bocznych, a Jaśko rzekł:

— Jednak oni mają dużo wygodnych ścieżek po lasach.

— To podstępne psy—powiedział Elpidio— opowiadał mi stary, że najlepsi myśliwi nie mogą wytropić siedlisk Indjan, bo na ścieżkach kopią ukryte doły z ostremi kołami, w które wpadają i ludzie, i psy.

— Zmyślni są jednak — dodał Jaśko — że potrafią się bronić w ten sposób.

Już południe minęło, a Indjanie tylko jeden raz dali koniom odetchnąć, napoili je i jechali dalej.

Z głębi lasu dały się słyszeć naszczekiwania psów. Indjanie zatrzymali się, zeskoczyli z koni, zdjęli więźniów z mułów i ruszyli pieszo dalej. Dotychczas wygodna ścieżka zmieniła się w krętą pikadę.

W pół godziny później dotarli do dość obszernej doliny, otoczonej wokoło niezbyt wysokim murem z ułożonych kamieni. W dolinie w różnych miejscach wznosiły się szałasy, nakryte liśćmi palmowemi, a w przepływającym potoku bawiły się liczne dzieci, wrzeszcząc wesoło i obryzgując się wodą. Jeden szałas odznaczał się tem, że nad wejściem umieszczony

był łeb jaguara, a kilka skór, spłowiałych od słońca i deszczu, tworzyło dach tej budy.

Indjanie, skoro wjechali w dolinę, podnieśli okrzyk. Zaraz też ze wszystkich niemal szałasów wybiegli półnadzy mieszkańcy, a dzieci biegły na wyścigi ku miejscu, przez które wjeżdżali na koniach wojownicy, prowadząc między sobą więźniów.

Cała gromada Indjan, do dwustu osób, prowadziła Jaśka i Elpidia, wrzeszcząc, złorzecząc, plując na nich, aż do szałasu z łbem jaguara.

Po pewnym czasie z szałasu tego wyszedł wódz, Kaiki, niemłody, dość otyły człowiek z wielkim czerwonym pióropuszem na głowie, z maczugą, nabijaną lśniącemi kamykami, i spojrzał surowo po zebranym tłumie.

Uciszyli się natychmiast wszyscy, nawet dzieci, a przed wodzem stanął Taimor i rzekł:

— Wielki, niezwyciężony wodzu! Wojownicy, wysłani z rozkazu twego dla zbadania okolic, ujęli białych zbrodniarzy, wrócili zdrowi wszyscy i, pragnąc uradować twe serce jaguarowe, przyprowadzili do ciebie tych oto złoczyńców.

Wskazał na skrępowanych.

Wódz poważnym krokiem zbliżył się do Taimora i z uśmiechem łaskawym poklepał go po ramieniu kilkakrotnie.

Taimor, rozpromieniony tem wielce zaszczyt-

nem powitaniem, z niezmierną dumą spojrzał po gromadzie, a wódz rzekł:

— Tym białym psom związać nogi i zamknąć ich w zagrodzie moich koni... Wszyscy wojownicy przed zachodem zejdą się na naradę.

I poważnie, jak był wszedł, oddalił się do swego szałasu.

Natychmiast przewrócono Jaśka i Elpidia, skrępowano im nogi i wśród naigrawań zaniesiono do wysoko opalisadowanego okólnika, gdzie zapędzano konie wodza.

W oznaczonym czasie zgromadzili się wojownicy i milcząco usiedli na ziemi, tworząc zwarte koło, z wyjątkiem jednego miejsca wywyższonego. Po dość długiem oczekiwaniu wyszedł wódz ze swego szałasu i kroczył poważnie, podpierając się maczugą. Przed nim szło dwóch łuczników, za nim dwóch wojowników z maczugami. Na jego widok wszystkie dzieci i kobiety skryły się do szałasów i nastała wielka cisza.

Wódz zasiadł na swem miejscu i skinął maczugą w stronę Taimora. Był to znak, ażeby wezwany udzielił szczegółów o pochwyceniu białych ludzi.

Taimor opowiedział przebieg cały od chwili, gdy straż przednia dała znać o przejściu granicy przez dwóch białych i wejściu ich na terytorjum indyjskie.

— Niedość, że zanieczyścili naszą ziemię

swym oddechem, ale zbezcześcili groby naszych wielkich przodków, rozniecili tam ognisko, puścili swe muły na paszę.

Wszyscy wojownicy wydali okrzyk zgrozy i oburzenia i potrzęśli maczugami w kierunku więźniów.

Opowiedział następnie wypadek z pistoletem, strzał i jak on sam zabrał drugi pistolet i związał wraz ze strzelbami. Ta niezwykła odwaga Taimora wywołała ogólne zadowolenie, a wódz rzekł:

— Od tej pory będziesz nosił o trzy pióra czerwone więcej, bo mądry i przebiegły z ciebie wojownik... Radźcie, w jaki sposób ukarać ich zbrodnie.

Kolejno wysilali się na obmyślenie najsroższych męczarni, a celował w tem przed wszystkimi Taimor. Stanęło na jego pomyśle, który wódz uznał za najlepszą karę dla świętokradców. Stopniowo, poczynając od warg, języka, nosa i uszu, miały być im obcięte wszystkie członki ciała, w każdym dniu po jednym, a następnie, po wyjęciu oczu, miano spalić ich żywcem wraz z mułami.

— Ognistą ich broń zawiesić przed nimi, niech im przypomina ich bezsilność — rozkazał wódz — i muły wpuścić do zagrody, gdzie leżą związani. Stróżować przed wrotami będzie Taimor, jemu należy się ten zaszczyt i po mnie on odetnie drugi kawałek z ciała tych święto-

kradców... Czas rozpoczęcia męki naznaczam na jutro o wschodzie słońca.

Taimor prawie głową uderzył o ziemię, schylając się w stronę wodza:

— Mów, odważny wojowniku! — rozkazał wódz.

— Oddaję pod wyrok twój, wielki i wspaniały wodzu, moje marne słowa, lecz zdaje mi się, że zbrodniarzom przyczyniłoby męki, gdyby się dowiedzieli, co ich czeka od jutra.

— Prawda mieszka w twoich ustach—rzekł wódz — Numrachy! — zwrócił się do jednego z wojowników—czy możesz ich podłą i wstrętną mową powiedzieć dosłownie mój wyrok?

— Nie, najwspanialszy wodzu, umiem tylko kilka słów w ich wstrętnej mowie, lecz ta, którą raczyłeś, najpotężniejszy wodzu, zaszczycić twoim wyborem, Essetamaipu, dużo umie.

— Tak jest — skinął wódz głową — niech uraduje się jej serce wyrokiem moim. Zawołajcie tu Essetamaipu i przyprowadźcie zbrodniarzy.

Wejście niewiasty do grona radzących wojowników było nadzwyczajną rzadkością, a powołanie Essetamaipu świadczyło o niezwykłej łasce wodza.

Najpierw weszła Essetamaipu, i sam wódz rozkazał jej zawiadomić schwytanych łotrów o mękach, które mają ponieść.

— Twoja wola, wodzu i panie — skłoniła się głęboko.

Po chwili wprowadzono więźniów. Essetamaipu spojrzała na nich, ale ani jednem drgnieniem nie zdradziła się, że ich poznaje. I oni przeszli, nie zauważywszy żony wodza.

Gdy ustawiono ich w kole, Taimor, który po indyjsku miał dyktować wyrok, wraz z Essetamaipu podeszli do więźniów.

Elpidio poznał ją pierwszy i szepnął do Jaśka uradowanym głosem:

— Widzisz ją? Poznajesz?

— Tak jest, cicho bądź! Co ona nam powie teraz? — odrzekł Jaśko.

Essetamaipu głosem równym, spokojnym, wypowiedziała im wyrok, dosłownie tłómacząc, co mówił Taimor, który wysilał się na odmalowanie oczekujących ich mąk.

— I to nagroda za twoje wyzwolenie? — zawołał oburzony Elpidio.

— Nie znam was i musicie śmierć ponieść, tak każe wódz.

— Ale za co? Co zrobiliśmy złego? - spytał Jasiek.

— Weszliście do naszej ziemi i zbezcześciliście groby przodków naszych.

— Nie wiedzieliśmy wcale o grobach.

— Wszystko jedno; umrzecie w mękach.

— Wiesz co — rzekł Jasiek — postaraj się

nas struć... zabić, o to jedno cię proszę za to, że nie zostałaś napiętnowana.

— Daremnie prosisz: wszyscy wojownicy zgodzili się na waszą śmierć i mękę. Ja jestem żoną wodza i pierwsza muszę go słuchać.

— Bądź przeklęta, ty suko indyjska! — zawołał Elpidio życzę ci, ażebyś wpadła w ręce Peryklesa.

— Twój bezsilny gniew budzi we mnie tylko pogardę. Jesteś tchórzem! — zawołała głośno i odwróciła się.

Podeszła do wodza i powtórzyła swą rozmowę z więźniami, za co ją wódz poklepał po ramieniu z uśmiechem łaskawym i spytał:

— Czy uczta dla moich wojowników gotowa?

— Twoje żony i niewolnice czekają tylko twych rozkazów.

– Niech dają! — rozkazał.

I Essetamaipu szybko pobiegła do szałasu.

— Więźniów odprowadzić, położyć związanych... i uczta!

Klasnął w dłonie na znak skończenia obrad.

Taimor sprawdził, czy więźniowie są dobrze skrępowani, położył ich zdala jednego od drugiego, a prócz tego przywiązał do kołów. Następnie kazał powiesić na palisadach ich broń, muły uwiązał niedaleko więźniów i sam udał się na ucztę, postawiwszy na straży przy wro-

tach młodego wojownika, którego po uczcie sam miał zastąpić.

W czasie uczty rozweselony wódz kazał dać resztki potraw i wody więźniom, ażeby mieli dość siły na jutrzejszą mękę, a w dowód łaski dla wojownika Numrachy i Essetamaipu kazał im, aby to jedzenie białym zanieśli.

Weszli do okólnika, oświetlonego jasnemi promieniami księżyca, i karmili więźniów.

— Essetamaipu — prosił gorąco Jasiek — poradź wojownikom, ażeby nas na noc uwiązali za szyję, zrób to, bardzo cię proszę i błagam.

— I co ci to pomoże?

— Dużo, bardzo dużo.

— Ach, rozumiem—uśmiechnęła się—chcecie się udusić — i swemu towarzyszowi powiedziała wesołym tonem żądanie Jaśka.

Essetamaipu okazała swą troskliwość nietylko Jaśkowi i Elpidiowi, ale i mułom. Napoiła je i zarzuciła im trawy i liści, a tak długo bawiła przy mułach, że zniecierpliwiony Numrachy zawołał:

— Chodź, bo uczta się skończy.

Już księżyc zachodził, gdy ustały krzyki ucztujących. Obaj więźniowie słyszeli, jak Taimor, upewniwszy się, że sznury, krępujące więźniów, są dobrze związane, ułożył się przed wrotami i wkrótce zaczął głośno chrapać.

Księżyc zaszedł, tem jaśniej świeciły gwiazdy na pogodnem niebie. Wtem Jaśko, który

nie spał, posłyszał jakiś szmer w stronie mułów, zdało mu się, że jakaś ciemna postać skoczyła w głęboki cień palisad.

Po chwili poczuł lekkie dotknięcie i cichutkie jak szelest liścia:

— Pst!

Z niezwykłą zręcznością i siłą Essetamaipu rozplątała więzy Jaśka, wskazała na broń; poczem podbiegła do Elpidia, uwolniła go również i skinęła na obydwóch, by szli za nią.

Jasiek i Elpidio szybko zdjęli buty i o ile możności cicho odwiązali muły.

Wyszli za ogrodzenie przez boczny otwór i prowadzeni przez Essetamaipu, która uciszała nadbiegające psy, szczęśliwie wydostali się poza mur doliny.

Essetamaipu wskazała im pikadę i rzekła:

— Nie mogłam pozwolić na mękę i śmierć twoją — patrzała w oczy Jaśka — tyś był taki dobry dla Essetamaipu. Dla ciebie zdradziłam swoich. Idźcie pikadą, a potem uciekajcie drogą, ona was wyprowadzi z lasu.

Powiedziawszy te słowa, zniknęła w przydrożnych krzakach.

— Jakaż ona dobra i szlachetna! rozczulał się Jaśko.

— W drogę więc i uciekajmy!

I pierwszy Elpidio, prowadząc muła, wszedł pikadą w głąb lasu.

Gdy doszli do ścieżki, wsiedli na muły

i jechali żwawo, nie kierując niemi, liczyli bowiem na instynkt zwierząt.

— Byle nie wpaść w jaki dół z kołami — odezwał się Elpidio—lub w inną pułapkę.

— Da Pan Bóg, może i ominiemy.

Noc zdawała się im niezmiernie długą: co chwila spoglądali w niebo, czy nie gasną już gwiazdy. Wreszcie rozjaśniło się nagle i po pewnym czasie spostrzegli, że, oddalając się od osady indyjskiej, rozgałęzienia, które widzieli, jadąc ku osadzie, znikły. Elpidio wytłómaczył Jaśkowi, że są one urządzone umyślnie w ten sposób i zwykle prowadzą w zasadzki i pułapki obcych przybyszów.

Już dojeżdżali do miejsca, gdzie wczoraj posilali się Indjanie, gdy posłyszeli dalekie ujadanie psie od strony Indjan.

— Psy są na naszym tropie — rzekł Jaśko, nasłuchując.

— Uciekajmy! — zachęcał Elpidio zmęczonego muła do biegu.

— Musimy napoić muły, bo ustaną — zrobił Jasiek uwagę.

— To prawda! — westchnął Elpidio.

Gdy dotarli do potoku, dali pić mułom, a tymczasem ujadanie psów zbliżyło się znacznie.

— Psy o wiele szybciej pędzą od ich koników – rzekł Jasiek po chwili – radziłbym się tu zatrzymać i psy pozabijać, bo nas prędzej, czy później wytropią i zdradzą.

— Żywcem nie damy się wziąć - zawołał Elpidio—sam strzelę sobie w łeb: wolę to, niż mękę.

— Nie w tem rzecz, lecz żeby ujść cało od tej pogoni Indjan. Cóż, zaczekamy?

— Jak chcesz, tak rób... Ja wolę uciekać. Byle wydostać się z tego przeklętego lasu na step, tam łatwiejsza obrona.

Zaledwie skończył te słowa, kiełznając muła, gdy nadbiegł wielki pies, zziajany, z wywieszonym językiem i rzucił się na Elpidia. Ten w jednej chwili wyjął nóż i silnem pchnięciem przebił szyję psa.

Po chwili nadbiegły jeszcze dwa psy i te również zostały zakłute.

Jaśko bardziej nawykły do lasu, odnalazł pikadę, którą ich prowadzono związanych i poczęli nią iść szybko w kierunku cmentarzyska indyjskiego.

Gdy stanęli nad strumieniem, rzucił Elpidio pytanie:

— Którędy teraz uciekać?

— Słyszysz dalekie ujadanie psów? — rzekł Jaśko—musimy stracić trop, a to możliwe tylko jadąc wodą.

— A gdyby tak stoczyć z nimi walkę? — zawołał Elpidio — mamy rewolwery, strzelby i pistolet.

— Ich może być kilkudziesięciu, no i rewolwery nie biją na taką odległość, ażeby nas

nie dosięgły ich strzały z łuków. To niema sensu... dalej, do strumienia!

Łatwiej jednak było to powiedzieć, aniżeli wykonać. Muły ślizgały się po gładkich kamieniach, a przez złomy skalne w potoku nie chciały wcale iść.

— Zostawmy im muły na pastwę — zaproponował Elpidio — a sami uciekajmy pieszo.

— Zgoda! Wpierw wypędźmy je jednak w jaką dolinę boczną, a sami wrócimy do potoku.

Nie uszli wodą więcej jak kilometr, gdy posłyszeli ujadanie psów na muły, a po pewnym czasie ogromny wrzask Indjan.

Elpidio chciał wyskoczyć z potoku i biedz suchą ziemią, powstrzymał go Jasiek przemocą:

— Zgubisz siebie i mnie. Psy nie zwęszą nas po wodzie, a Indjanie będą nas szukali w pobliżu mułów.

— Dopędzą nas końmi na brzegu — rzekł Elpidio.

— Konie mają pomęczone bardziej od naszych mułów... chodźmy wodą.

Skaliste brzegi potoku stawały się bardziej strome i wkrótce posłyszeli szum wodospadu.

— Teraz chyba musimy wyleźć—powiedział zniechęcony Elpidio.

— Zobaczymy; może uda się nam przejść bokiem wodospadu.

Gdy się zbliżyli, ujrzał Jasiek na lewo od potoku ciemną jaskinię, z której wypływał mały strumyczek, wpadający do potoku.

— Schrońmy się tutaj, może Indjanie nas ominą, ale idź wodą, nie zostawiaj śladów po sobie — przypominał.

Jaskinia okazała się małą i nizką, tak, że z trudnością pomieścili się w niej, ale po wrażeniach niewoli i pogoni wydała się im bardzo wygodną.

— Jeśli nas odkryją — przemówił Elpidio po pewnym czasie — to naszpikują nas strzałami, bo nie mamy gdzie się ukryć.

— Pomyśl, że mogą do nas strzelać tylko z potoku, a naszemi kulami nie pozwolimy im zbliżyć się do nas.

— Czy sądzisz, Jaśku, żeśmy tu bezpieczni?

— Hm... nie bardzo, bo mogą nas otoczyć i ogłodzić.

Mimo szumu kaskady posłyszeli tuż nad sobą nawoływania Indjan na psów, zachęcające do poszukiwania zbiegów.

Wkrótce głosy te oddaliły się, wreszcie ustały zupełnie, jednak chwilami zdawało się im, że ktoś idzie wodą; nasłuchiwali z bijącem sercem, trzymając palce na cynglach. Lecz były to złudzenia; ku wieczorowi postanowili opuścić kryjówkę i iść dalej.

Po ominięciu wodospadu nakłonił znowu Jasiek niechętnego Elpidia, żeby szedł potokiem.

— Indjanie mogą wracać z psami — mówił — a jeśli te nas wytropią, zginiemy.

Przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca doszli do miejsca, w którem potok opuszczał skaliste łożysko i rozlewał się na płaszczyźnie, tworząc moczarzysko.

Opuścili wodę i weszli na stromy brzeg.

Uradowali się, zobaczywszy, że las się skończył i zaczyna się step z licznemi grupami i gajami araukarji.

Kryjąc się i czając po trawach i krzakach, doszli przy świetle księżyca do lasku araukarji i wyszukawszy stosowne miejsce, układli się na spoczynek.

Zbudzili się zziębnięci przy pełnym dniu. Elpidio dla rozgrzania się chciał rozpalić ognisko; sprzeciwił się temu stanowczo Jasiek.

— Idź na słońce, wygrzej się. Dym może nas zdradzić, a kto wie, w której stronie Indjanie nas szukają?

— Co mam wylegiwać się jak wąż na słońcu — nachmurzył się Elpidio — wolę już iść dalej.

Posuwali się ostrożnie naprzód, a gdy słońce południowe zaczęło prażyć, weszli w gaj araukarji, ażeby odpocząć i przeczekać czas najgorętszy.

Położyli się wygodnie; Elpidio wkrótce usnął. Jasiek drzemał, podesławszy pod głowę chustkę do nosa. Zwrócony uchem do ziemi,

posłyszał daleki tupot, jak gdyby szły konie. Natychmiast rozbudził się, posłuchał i szybko szarpnął za ramię śpiącego Elpidia:

— Ktoś jedzie... może Indjanie!

Elpidio przetarł oczy, nasłuchiwał przez chwilę i rzekł:

— Zdaje ci się, nic nie słyszę.

— Przyłóż ucho do ziemi — radził Jasiek, co też Elpidio uczynił.

— Prawda! Schowajmy się w głębsze krzaki.

— Najpierw opatrzmy broń, kto wie, czy nie przyjdzie nam walczyć.

Stanęli za gęstym krzewem, nasłuchując zbliżającego się tupotu koni.

Rozgorączkowany Elpidio nie mógł ustać na miejscu i ostrożnie posunął się na skraj gaju.

Spojrzał, zbladł i skinął na Jaśka, ażeby przyszedł. W milczeniu pokazał mu zbliżających się Indjan.

Na czele jechał na mule Elpidia Taimor, który ich był pochwycił na cmentarzysku; za nim, na koniach, ośmiu Indjan, a pomiędzy nimi, przywiązany do muła Jaśka, lat średnich Brazylijczyk z pokrwawioną twarzą, w podartej koszuli, po przez którą widać było rany.

— Skryjmy się szepnął Elpidio — może nas ominą.

— Nie! Czy zostawimy tego nieszczęśliwego w ich rękach? Ich dziewięciu, a mamy na nich osiemnaście kul.

— Tak, masz słuszność. Ja biorę na siebie tego, co jedzie na moim mule.

— On jest dowódcą—szepnął Jasiek—mierz dobrze, w samo serce, ten musi wpierw zginąć.

— A ty którego bierzesz, Jaśku?

— Tego, co prowadzi muła z więźniem.

— No, gotów jesteś?—zmierzył się Elpidio.

— Już!

Huknęły dwa strzały i dwóch Indjan zwaliło się na ziemię. Inni, przerażeni niespodziewanym napadem, stali przez sekundę osłupiali i bezradni. Znów padły dwa strzały i jeden z Indjan zleciał z konia z roztrzaskaną głową.

Sześciu pozostałych Indjan rzuciło się do ucieczki na oślep i rozbiegli się na koniach w różne strony; Elpidio, chcąc ich jeszcze nastraszyć, strzelił kilkakrotnie za nimi, wiedząc jednak, że kule ich nie dosięgną.

Muł ze skrępowanym więźniem, przerażony strzałami i wrzaskami uciekających Indjan, puścił się cwałem za końmi indyjskiemi. Spostrzegł to Jaśko, skoczył do muła, z którego spadł Taimor, rozplątał go ze sznurów, dosiadł i na przełaj zabiegł drogę tamtemu mułowi. Już zamyślał go zastrzelić, gdyby go nie dopędził, ale skrępowany sznurami muł z więźniem zwolnił biegu. Dla Jaśka było teraz rzeczą łatwą pochwycić go i zmusić do stania.

Najpierw zeskoczył z siodła, porozcinał wię-

zy, krępujące nogi i ręce Brazylijczyka, które przetarły mu skórę i wpiły się aż w mięśnie.

Uwolniony więzień zsunął się z muła i omdlał. Jasiek stał nad nim bezradny, wiedział, że trzeba co prędzej wody, a nigdzie jej nie dostrzegał. Pod laskiem, z którego strzelali do Indjan, ujrzał Elpidia, uganiającego się za dwoma końmi indyjskiemi.

Zostawiając tedy zemdlonego Brazylijczyka na ziemi, dosiadł muła, drugiego zabrał luzem i szybko pojechał do Elpidia. Przy pomocy mułów udało się im wkrótce pochwycić dwa konie indyjskie, a Jaśko rzekł:

— Słuchaj, Elpidio, ten ocalony więzień leży zemdlony... nie wiesz, gdzie tu woda?

Elpidio rozejrzał się bacznie po stepie i powiedział:

- Przypuszczam, że w tej stronie, gdzie są te liściaste krzewy — wskazał kierunek — zaczekaj tu na mnie.

Po chwili, dojechawszy do krzaków, dał znak Jaśkowi, że znalazł wodę. Powrócił, przywożąc w skórzanej, indyjskiej flaszce, znalezionej przy trupie Taimora, wodę i obaj pojechali do Brazylijczyka wraz ze złowionemi końmi.

Ten już oprzytomniał, uśmiechnął się do swych wybawców i uścisnął ich rękę, mówiąc:

— Ocaliliście mi życie.

— Głupstwo — zaśmiał się Elpidio — ale oszczędziliśmy panu mąk straszliwych.

Brazylijczyk napił się wody, obmył sobie rany, obwiązał je przy pomocy chłopców i na pytanie Elpidia, jakim sposobem dostał się do niewoli, odpowiedział:

— Wyjechałem na step obejrzeć moją stadninę, a powiedzieli mi pastuchy, że w krzakach, o jakie dwa kilometry od stada skryły się trzy pekaris...

— Co to pekaris? — spytał Jasiek.

— Gatunek jelenia—objaśnił Brazylijczyk.— Postanowiłem zapolować, jechałem bowiem na koniu, który mógł iść w zawody z wiatrem. Istotnie wypłoszyłem jelenie i jednego zraniłem. Pędziłem za nim może kilka kilometrów i już prawie dopędzałem, gdy nagle ściągnął mnie z konia arkanem Indjanin. Wlókł mnie po krzakach i kamieniach, aż wreszcie straciłem przytomność, a gdy się obudziłem, byłem już skrępowany... Resztę wiecie sami, panowie.

— A co się stało z koniem? – spytał Elpidio.

— Zapewne pognał do domu, jeśli go nie zabili Indjanie... Nie przedstawiłem się jeszcze panom—i skłoniwszy się kapeluszem—rzekł:— Fernando le Bry.

Powiedzieli mu swe nazwiska, a Elpidio dodał:

— Od dwóch dni prócz wody nie miałem nic w ustach.

— Czy to być może!? – zdziwił się Fernando—nie natrafiliście na zwierzynę?

— Co prawda, nie spotkaliśmy żadnego pekaris — uśmiechnął się Elpidio — ale dość ptaków, lecz uciekając przed Indjanami, nie mogliśmy strzelać.

— To i wy spotkaliście tych łotrów?

— Nawet byliśmy w niewoli w ich osadzie... ale to długa historja, a jestem szalenie głodny. Jasiek, zapolujmy na ptaki, każdy dobry, byle miał mięso i kości.

Mówiąc to, nabijał śrótem swą strzelbę.

— Przypuszczam, że panowie wyświadczycie mi ten zaszczyt i przyjmiecie gościnę w moim małym i ubogim domku.

— Daleko pan mieszka? — spytał Jasiek, opatrując strzelbę i nasypując prochu.

— O jakie trzydzieści do czterdziestu kilometrów.

— Indjanie często tam napadają?

— Pierwszy to raz od dziesięciu lat. Wogóle siedzą spokojnie, o ile nie zostaną naruszone ich terytorja, a zwłaszcza miejsca święte dla nich.

— Czyś gotów, Jasiek? — spytał niecierpliwie Elpidio.

— Już! – i zostawiwszy muły i konie pod opieką Fernanda, sami poszli na polowanie.

Po upływie może kwadransa usłyszał Fernando strzały, uśmiechnął się na myśl, że coś

zje, gdyż i on od wczorajszego wieczora, od chwili porwania go przez Taimora, nic nie jadł.

— Strzały powtórzyły się w pobliżu i po pewnym czasie dwaj myśliwi przynieśli kilka papug i cztery kuropatwy stepowe, tak zwane kusaki.

Mimo braku soli, upieczone ptaki bardzo im smakowały.

— Wiecie, panowie — zawołał Elpidio — brakuje nam na wety owoców, zaraz wam je dam!

Na poblizkiej araukarji dopatrzył kilka dojrzałych szyszek. O wydrapaniu się po gładkim, wysokim pniu nie mogło być mowy, i Elpidio strącił je celnemi strzałami.

Wewnątrz wielkiej i twardej szyszki były orzeszki, przypominające smakiem nasze laskowe orzechy.

Zaspokoiwszy do pewnego stopnia głód, ruszyli w drogę pod przewodnictwem Fernanda, znającego najlepiej tę część stepu.

Późną nocą, przy blaskach zachodzącego księżyca dotarli do domu Fernanda, który zawołał:

— Oto mój ubogi domek! Raczcie wasze łaskawości uważać go za swój własny! — i skłonił się głęboko kapeluszem.

Elpidio nie pozostał mu dłużny w uprzejmości towarzyskiej i rzekł z równie głębokim ukłonem:

— Tylko zaszczyt poznania waszej miłości ośmieli nas do zwiedzenia tego cudownego pałacu.

Dom ten, w stosunku do marnych i krzywych bud innych kaboklów, przedstawiał się istotnie okazale. Miał bowiem proste drewniane ściany, dach z desek i okna bez szyb wprawdzie, ale z grubemi okiennicami.

Psy w ogrodzeniu zaczęły gwałtownie ujadać, poznawszy jednak głos pana, zapiszczały radośnie.

Fernando klasnął kilkakrotnie w dłonie. W drzwiach domu pokazał się młody człowiek z pistoletem w ręku i spytał:

— Kto tam?

— Fernando le Bry!

— Ach! Ojciec! — skoczył uradowany ku wrotom, wołając: — Byliśmy bardzo niespokojni, wierzchowiec wrócił sam wczorajszej nocy. Co się stało?

— Otwieraj, Oktawio! Mamy szlachetnych gości. Zbudź matkę, siostry, służbę, niech dają wieczerzę!

Zeskoczyli z siodeł i puścili konie i muły wolno na dziedziniec, a gospodarz prosił:

— Raczcie przestąpić me progi ubogie!

Weszli do obszernej izby, w rogu której rozdmuchiwała ogień na kamiennej płycie jedna z córek gospodarza.

— Engracio, dlaczego nie podają wieczerzy naszym najmilszym gościom?

— Zaraz, ojcze, tylko wpierw rozpalę ogień na herwę.

— Pozwól, szlachetna dziewico — rzekł z ukłonem i zwykłą Brazylijczykom przesadą Elpidio — że sam rozpalę, szkoda twych pięknych rączek i drobych usteczek.

— Jesteś pan uprzejmy kawaler - uśmiechnęła się ale ognia nie rozniecisz.

— Ogień, którym mnie natchnęłaś, szlachetna panno, zapali drwa — zbliżył się do zimnego ogniska i wkrótce jasny płomień buchnął wesoło.

Weszła żona Fernanda, a za nią wniosły dwie córki misy cynowe, na nich zimną czarną fasolę i pokrajane mięsiwo.

Zaczęła się ożywiona rozmowa o przygodach Fernanda i gości, a gdy herwa była gotowa, gospodyni przez wyszukaną uprzejmość nadpiła herwy bombą z każdej kui. Stary ten zwyczaj pochodzi z czasów, gdy obawiano się otrucia; coś podobnego zachowało się i u nas, ponieważ gospodarz pierwszy przypija do gościa.

Do herwy zasiedli wszyscy na fotelach z łbów wołów z wielkiemi rogami, a gospodyni skręcała sama papierosy, zapalała je i oddawała gościom. Matka i trzy córki paliły papierosy na równi z Fernandem i Oktawiem.

Dla gości oddano na spanie alkierz, w którym rozesłano na podłodze kilkanaście skór. Cała zaś rodzina spała razem w obszernej izbie, w której spożywano wieczerzę.

Nazajutrz z wielką wdzięcznością Fernando zaopatrzył swych gości w proch i kule; napełnił ich torby mięsiwem i plackami kukurudzianemi, odprowadził kawałek drogi i dokładnie wskazał najbliższy i najpewniejszy kierunek do Rio Negro.

Powrót.

W kilka tygodni później już mijali step i mieli wkrótce wjechać w krainę lasów, a dzień był gorący i parny. Zdawało się, że promienie słońca nie grzeją, ale palą i pieką Żaden powiew wiatru nie poruszał liśćmi, nastała martwa, upalna cisza. Zwierzęta i owady gdzieś ukryły się głęboko i nie dawały żadnego znaku życia. Z mułów, chociaż szły wolno, lał się pot, a Jaśko i Elpidio, mimo, że zrzucili opończe i jechali w koszuli i spodniach letnich, kupionych przygodnie u wendysty, z trudnością oddychali spieczonem powietrzem.

— Pewno będzie burza — zrobił uwagę Elpidio, ocierając pot z czoła.

— Wolałbym burzę od tej spiekoty — westchnął Jasiek.

— I będziesz ją miał — uśmiechnął się Elpidio, który odwrócony na siodle, patrzał w stronę północno-wschodnią, w kierunku równika i morza.

Zanim Elpidio zdołał uskoczyć w bok, pchnął go faką (str. 278).

Obejrzał się i Jaśko, a zobaczywszy niewielką, białawą chmurkę na krańcu widnokręgu, powiedział niedowierzająco:

— I z tej chmurki ma być burza? Wkrótce zginie bez śladu, wiatru przecież niema.

— Zobaczysz — uśmiechnął się Elpidio — znam ja stepowe burze!

Nie upłynął i kwadrans, gdy owa blada chmurka przemieniła się w wielką szarą chmurę, która z niesłychaną szybkością nadciągała w stronę jadących.

Po chwili zaszumiał wiatr, wyniosłe araukarje zaskrzypiały, gnąc się ku ziemi. Gdzieniegdzie słychać było łomot i trzask walących się drzew, zgasł blask słońca, a czarne, skłębione chmury zasnuły błękit nieba.

Gdzieś zdala rozległ się huk grzmotu, za nim drugi, trzeci i dziesiąty, wśród nich ostry i przejmujący trzask piorunów i deszcz nie siekł, nie padał, ale lał strugami.

W jednej chwili chłopcy przemokli do nitki, a na trakcie, którym jechali po pochyłości ku dolinie rzeki Rio Negro, utworzyły się rwące potoki, tak, że musieli zjechać z traktu, obawiając się o całość nóg mułów.

Pioruny po piorunach grzmiały i huczały jeden po drugim, jak gdyby chciały rozbić ziemię, grzmoty nie ustawały, a deszcz lał wciąż z taką siłą i tak gęsty, że zalewał oczy, nos, uszy, a przy oddychaniu woda napływała do ust.

Muły, mimo szarpania cuglami, pobiegły pod osłonę drzew i stanęły, nie chcąc iść dalej.

— Piorun może w drzewo uderzyć—powiedział Jasiek.

— Wszystko mi jedno — odburknął Elpidio — nie będę się bił z mułem.

Burza nie trwała nawet godziny, przeszła dalej ku południowi, a nad ziemią, porytą spienionemi potokami, rozmiękłą i oślizłą, zabłysło gorące słońce brazylijskie. Zaperliły się krople na drzewach, liściach, trawach. W powietrzu czuć było orzeźwiający chłód po nawałnicy deszczowej.

Posuwali się bardzo wolno, gdyż muły grzęzły głęboko. Gdy Elpidio spostrzegł zdala dom jakiś, rzekł:

— Przenocujemy w tej osadzie; jestem mokry cały, głodny i po nocy nie trafimy do wendy.

— Ano, spróbujemy, nie odmówią nam chyba dachu!

— I jedzenia — zaśmiał się Elpidio — czy chcą, czy nie chcą, dać muszą.

Już słońce miało się ku zachodowi, gdy dotarli do fazendy i klasnęli w dłonie na znak, że chcą wejść do domu. Był on sklecony z drzewa, z dwoma małemi oknami.

— Czego chcecie? — spytał niechętnie gospodarz, nizki, krępy, szpakowaty brunet.

— Pozwól, wasza łaskawość, osuszyć się

nam przy twem gościnnem ognisku. Schwyciła nas burza i suchej nitki niema na nas — odpowiedział Elpidio.

— Dokąd jedziecie? — zawołał.

— Do kolonji Luceny przez Rio Negro — rzekł Jasiek — i my i nasze muły potrzebują spoczynku

— Wejdźcie, ale pod warunkiem, że pomożecie mi przepłoszyć szkodników; widzę po strzelbach, że polujecie.

To mówiąc, otworzył wrota, ukłonił się i rzekł uprzejmie:

— Raczcie wejść do mego domu, zacni panowie.

Gospodarz był Portugalczykiem, który wydzierżawił tę fazendę od bogatego Brazylijczyka. Przyjął ich gościnnie, nakarmił, napoił herwą i w czasie rozmowy oświadczył:

— Zasadziłem pięć hektarów kukurudzy, urosła doskonale, kiście są już na dojrzeniu, aż tu wczoraj nad ranem budzi mnie ujadanie psa. Zerwałem się, pochwyciłem broń, a gdy wyszedłem na pole, ujrzałem zdala, jak to złodziejskie plemię, małpy przeklęte, uciekały w las z moją kukurudzą.

— Strzeliłeś pan? — spytał Elpidio.

— Naturalnie, ale były zbyt daleko. Idzie o to, żebyście mi pomogli, panowie, przepłoszyć tych złodziejów, którzy ukradli mi jaką trzecią część zbioru.

— Bardzo chętnie — powiedział Jaśko — ale czy ich dopadniemy?

— Każdego ranka te łotry koncertują mi pod bokiem, a gdy obżarły się moją kukurudzą, będą wrzeszczały tem głośniej.

— W takim razie musimy wstać, zanim słońce wejdzie — radził Jasiek — inaczej nas dostrzegą.

Zgodzono się na ten projekt, a nazajutrz przed świtem poszli w las, prowadzeni przez gospodarza.

Gdy pierwsze promienie słońca padły na wierzchołki drzew, las począł się ożywiać i dość daleko posłyszeli pierwsze pomruki wyjców.

Rozeszli się w trzy strony, ażeby okrążyć wyjców i posuwali się dalej z wielką ostrożnością. Cały las grzmiał teraz wrzaskiem:

— Rochuu! Rochuu!

Jasiek po przez liany i konary dostrzegł, jak mu się zdawało, sylwetkę wyjca, która jednak tylko mignęła i znikła. Czekał cierpliwie, wypatrując małpy. Ujrzał i dwóch swych towarzyszy, którzy, ze strzelbami gotowemi do strzału, również wypatrywali wyjców.

Wtem dostrzegł wyjca, który, zwieszony na ogonie, okręconym około dość grubej gałęzi, rozchylił gęste sploty lian i przednią łapą sięgał zapewne po jakiś owoc.

Jasiek strzelił i zranił śmiertelnie małpę.

Na oślep, w kierunku okrutnego wrzasku małp, strzelili gospodarz i Elpidio. Po owych strzałach małpy podniosły przeraźliwy okrzyk trwogi i uciekły.

— Do czegoś strzelał? — zawołał Elpidio.

— Do wyjca, widziałem go dobrze.

— Trafiłeś pan?

— Prawie pewien jestem.

Wszyscy trzej zaczęli rozpatrywać miejsce, gdzie Jasiek obaczył wyjca, i nagle Elpidio zawołał:

— Widzę go!

Złożył się i strzelił.

Małpa jednak nie spadła, chociaż przez liany widzieli dokładnie wiszącego na ogonie trupa.

— Winszuję panu strzału, zabiłeś złodzieja - uścisnął rękę Jaśka Portugalczyk—nie dostaniemy go jednak, chyba gdyby można było odrąbać ogon.

Wrócili do domu, a po śniadaniu ruszyli w dalszą drogę.

Już mieli do Luceny tylko dziesięć kilometrów, gdy zaskoczyła ich ciemna noc i zmusiła do noclegu w przydrożnej wendzie.

Zastali tam pięciu Brazylijczyków, którzy wkrótce poznajomili się z Elpidiem i Jaśkiem. Po wieczerzy zaproponowali grę w kości. Jasiek odmówił, lecz Elpidio tyle wymógł na

nim swoją wymową, że dał mu do wspólnej gry pięć milreisów.

Elpidio grał z odmiennem szczęściem, ale bądź co bądź nie przegrał pierwszych dziesięciu milreisów.

Stopniowo zapalał się do gry, a wysokość stawek rosła. Uwagę Elpidia zwrócił ten dziwny szczegół w grze, że, gdy stawka była wysoka, sąsiad jego zawsze wygrywał, a przy drobnej stawce przegrywał. Zaczął się tedy bacznie przypatrywać jego manipulacjom, zachowując dla siebie swe podejrzenie.

Znudzony Jasiek poszedł opatrzyć muły, a Elpidio grał dalej. Na stole położono stawkę dwudziestu milreisów. Z kolei rzucał kości sąsiad Elpidia, nie odwracającego oczu od jego rąk.

Nagle spostrzegł, że przy wyrzucaniu kości z kubka grający pomaga sobie nieznacznie palcami, ażeby wyszła większa liczba oczek.

Roznamiętniony i oburzony Elpidio schwycił rękę gracza i zawołał:

— Oszuście! fałszywie grasz!

Przyłapany wyrwał rękę i krzyknął:

— Sameś oszust! Podły kłamco!

Zanim Elpidio zdołał uskoczyć w bok, pchnął go faką.

Bluznęła krew. Elpidio zbladł i osunął się na ziemię. Gracze podnieśli krzyk, jedni ratowali Elpidia, inni pobiegli po wodę, a wśród

tego rozgardjaszu wysunął się cichaczem winowajca, dopadł konia i zniknął w cieniach nocy.

Jasiek na razie nie zwracał uwagi na krzyk, ale posłyszawszy wołanie o wodę, zdziwił się i poszedł do izby. Ujrzał Elpidia bladego, bez życia, skrwawionego, a nad nim nachylonych ludzi, którzy go cucili. O nic nie pytając, ukląkł przy Elpidiu i poprzez skrwawioną koszulę dojrzał wielką ranę, z której płynęła krew.

— Wody i szmat! — zawołał — trzeba krew zatamować.

— Usuń się, młodzieńcze! - ramienia Jaśka dotknął starszy człowiek — jestem felczerem, ja sam go opatrzę.

Jasiek wstał, a felczer kazał Elpidia położyć na wielkim stole, obmacał ranę i zawołał do gospodarza, stojącego we drzwiach:

— Octu i spirytusu! Prędzej!

Kawałkiem szmaty obmył krew z lewego boku Elpidia, nacisnął ranę palcami i rzekł spokojnym głosem:

— Faka prześliznęła się po kości, rana szeroka, ale nie głęboka. Nic mu nie będzie, trochę bólu, trochę osłabienia i wstanie zdrów.

Przy bandażowaniu rany pomagał Jasiek, a ponieważ medalik, zawieszony na szyi Elpidia, zawadzał, zdjął go felczer i oddał na przechowanie Jaśkowi.

Elpidio otworzył oczy, spojrzał po obecnych, a dostrzegłszy Jaśka, spytał go:

— Czy będę żył?

— Za dwa, trzy tygodnie będziesz pan skakał — śmiał się felczer.

Następnie przeniesiono Elpidia na łóżko i wkrótce usnął.

Jasiek, chowając rzeczy przyjaciela, dobył też w obecności felczera pugilares; ciekawy Brazylijczyk zobaczył kilkadziesiąt milreisów.

— Sądziłem, że to nędzarz — rzekł — a widzę, że ma pieniądze. Zapłać mi pan za fatygę.

Po krótkich targach zgodził się na wzięcie pięciu milreisów i za te same pieniądze miał jutro rano zmienić opatrunek. Jasiek zaprosił go na kieliszek wina.

Rozmawiano naturalnie o świeżym wypadku, a zdaniem felczera, Elpidio miał nadzwyczajne szczęście, że nóż nie naruszył kości.

Przysiadł się zafrasowany gospodarz wendy do stołu i rzekł:

— Ranny nie może u mnie pozostać: to odstręczyłoby mi gości. Przyjechaliście panowie razem i jutro powinien go pan zabrać.

— Pan, jako wendzista, musi przyjąć każdego gościa — odparł Jasiek — i ja nie pozwolę wyrzucić mego przyjaciela.

— Nie ucz mnie pan praw mego fachu —

oburzył się gospodarz — czy wiesz pan, że mi nie wolno chorych przyjmować do wendy?

— Może i nie wolno chorych, ale nie takiego, który został u pana raniony. Zresztą, jeśli doktór pozwoli mu wstać i jechać, bardzo chętnie opuścimy tę przeklętą wendę.

Gospodarz mrugnął porozumiewawczo do felczera, który spytał:

— Daleko jedziecie panowie?

— Do Luceny.

— A, to bliziutko, zaledwie dziesięć kilometrów! — zawołał gospodarz — i ja sądzę, że chorego będzie można przetransportować... co, panie doktorze?

— Hm... na koniu nie sposób, może rozluźnić się bandaż, nastąpi nowy upływ krwi, a i tak dość jej stracił.

— Traktem przy mojej wendzie jadą często furmani do Luceny — powiedział gospodarz — i jestem pewien, że jutro znajdzie się fura, a chyba na miękkiem posłaniu nie zaszkodzi rannemu?

— Jeśli wóz dobrze się wymości i będzie się ostrożnie jechało — dodał felczer po na myśle.

Jasiek, powodowany chęcią opuszczenia niegościnnej wendy, spytał gospodarza:

— Czy pan nie ma wozu?

— Mam, ale jutro wysyłam w drogę, konie nie mogą próżnować, muszą zarobić!

— Ile żądałby pan za odwiezienie rannego do Luceny? — spytał Jasiek.

— No... dziesięć milreisów.

Zaczęły się targi, w których brał udział i felczer. Ułożyli się wreszcie za sześć milreisów, i Jasiek poszedł na spoczynek do izby, w której leżał ranny Elpidio.

Mimowolnie nasunęło mu się pytanie, gdzie umieści rannego? Najlepiej byłoby u siebie, w domu, ale macocha napewno nie zechce i tak dokuczałaby Elpidiowi, że rozchorowałby się bardziej.

W myśli zaczął przechodzić wszystkich swych przyjaciół i znajomych i nikogo nie znalazł takiego, u któregoby dobrze było rannemu.

Wynajmie chyba izbę w wendzie i sam dopilnuje Elpidia. Izba jednak będzie dużo kosztowała. Chciał policzyć, ile pieniędzy posiada, i wyjął pugilares. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oczy, był medalik Elpidia ze skrwawionym sznurkiem.

Przez prostą ciekawość podszedł do lampy, ażeby przyjrzeć się medalikowi. Patrzał czas jakiś i szepnął:

— Zupełnie taki, jak mój.

Rozpiął koszulę, wyjął medalik, dany mu przez Brzozową, i istotnie oba medaliki były do siebie najzupełniej podobne.

Przyjrzał się bliżej i dostrzegł taki, jak na

swoim, polski napis: „Marjo bez grzechu poczęta, m. s. za n.".

Teraz żywo przypomniała mu się historja o zaginionym Karolku, który miał taki sam medalik. Przyszły mu na myśl zwierzenia Elpidia, wymyślania mu od znajdów, jego łatwość w wyuczeniu się polskiego języka i inne drobne szczegóły.

Czyżby Elpidio był zaginionym Karolkiem Brzozą?

Przy usilnem natężeniu pamięci przypomniał sobie słowa Brzozowej, że jej mały synek miał znamię na lewem ramieniu i bliznę od kosy na prawej nodze.

Spojrzał na Elpidia, który spał głęboko i tylko chwilami zajęczał cicho przez sen. Niepodobna było budzić śpiącego, ażeby sprawdzić znamię i bliznę.

W izbie było tylko jedno łóżko, a że nie chciał opuścić rannego, ułożył się na szerokiej ławie i przespał noc.

Zbudziło go wołanie Elpidia. Zerwał się z ławy, był już jasny dzień.

— Jasiek, daj mi wody!

— Może herwy ci przynieść, pewno już gotowa?

— To później, daj wody.

— Jakże ci dzisiaj, Elpidio? — spytał, podając mu wodę.

— Głupio, głowa mi cięży, osłabłem... czy

ten łotr, który mnie dźgnął, uszedł cały? Nie zabiłeś go?

— W zamieszaniu wymknął się z izby; pamiętasz, że mnie nie było. Siadł niepostrzeżony na konia i uciekł.

— Dlaczegóż nie pogoniłeś za nim?—zrobił mu zarzut.

— Noc była... no, i pierwej trzeba było ciebie ratować.

— A rana duża?

— Tak sobie; rozciął ci bok, ale na twoje szczęście nóż ześlizgnął się po kości, gdyby nie to, nie żyłbyś.

— Odpłacę temu łotrowi, już ja go poszukam. — Poruszył się na łóżku i jęknął:

— Aj, boli!

— Zawołam doktora, on ma ci opatrunek zrobić dzisiaj.

— Daj mi wpierw herwy... i djabli mi nadali, że grałem w kości.

— A odradzałem ci!

— Ba, nie przewidziałem pchnięcia, ale już grać nie będę... a herwa?

— Zaraz!

Gdy Jasiek przyniósł dla niego i dla siebie herwy, Elpidio spytał:

— A teraz co będzie, Jaśku? Na muła nie siądę, a tu nie chcę leżeć i pewno wendzista mnie wyrzuci.

— Doktór pozwolił zawieźć cię na wozie do Luceny.

— I co z tego? Macocha twoja nie pozwoli mi leżeć u was.

— Hm... znajdzie się inne miejsce. Powiedz mi, Elpidio, czy ty masz bliznę na prawej nodze od kosy?

— Nie wiem, czy od kosy, ale mam.

— A na lewem ramieniu znamię?

— Cóż tobie do tego? — zniecierpliwił się Elpidio — mam, czy nie mam, nie twoja rzecz!

— No, powiedz, zależy mi na tem.

— Więc mam; i co z tego?

— To wiesz, Elpidio, ty jesteś Polak i nazywasz się Karol Brzoza.

— Bajki! Coś ci się uroiło, albo przyśniło... i skąd ci to przyszło do głowy?

Jaśko opowiedział zwierzenia Brzozowej, a gdy wspomniał o medaliku, przerwał mu Elpidio:

— A, tak, tak.. więc to nie był sen...

— Jaki?

— Bo widzisz, ja coś nie coś pamiętam z dawnych lat... jakąś kobietę, która mnie całowała.. wielką wodę... a ten medalik noszę, od kiedy tylko siebie pomnę... i może to prawda?

— Ale z wszelką pewnością--mówił Jasiek z ożywieniem — wszystko się zgadza. Teraz masz rodziców i siostry... wiesz, ta dziewczyna,

co to była na drzewie, kiedy strzelałem do jaguara.

— Aha, to ona... niby moja siostra.

— Rodzoniuteńka i taka zapalczywa, jak i ty.

Wszedł felczer, a widząc wielkie ożywienie Elpidia, rzekł surowo do Jaśka:

— Czy chcesz pan choroby rannego? Nie wolno mówić nic takiego, coby mogło go rozgniewać.

— Stało się, panie doktorze, co miał mi po wiedzieć, powiedział — uśmiechnął się Elpidio.

— Hm... jak się pan czuje? bok mocno boli? – pytał felczer z namaszczeniem.

— No, nie świerzbi—rzekł Elpidio—ale powiedz mi pan, kiedy będę zdrów?

— A, zaraz: zdrów! - nachmurzył się — podziękuj pan Bogu, że żyjesz.

— To swoją drogą, ale kiedy będę mógł wstać?

— Za tydzień, może za dwa, bo rana wielka.

— Ja czuję tylko trochę osłabienia i, gdy podjem sobie, będę zdrów.

— No, no... Zato będziesz się pan czuł później gorzej, przyjdzie gorączka... a teraz zrobię opatrunek, bo jadę dalej.

Gdy Elpidio po świeżem obandażowaniu odpoczywał, Jaśko zajął się przygotowaniem wozu do wygodnego przewiezienia rannego.

Po kilku godzinach ostrożnej jazdy wjechali

do Luceny, i Jaśko skierował wóz na piąty kilometr do domu Macieja Brzozy.

W izbie zastał gospodynię i Kasię. Nie poznały go na razie w tem przebraniu brazylijskiem.

— Toś ty, Jasiek Łyskowski!? — zawołała gospodyni zdziwiona — a poco wystroiłeś się tak po cudacku?

— Na dalekich wendach nie znalazłem innego ubrania.

— Aleś zmizerowany, biedaku — przypatrywała mu się bacznie — wprawdzie urosłeś, zmężniałeś...

— A kto to na wozie?—spytała Kasia.

— Na wozie leży ranny mój towarzysz i przyjaciel... To wasz syn, a twój brat, Kasiu.

— Jezu Chryste! Matko Przenajświętsza! — zerwała się z krzesła Brzozowa—jeśli zwodzisz, toś niegodziwy!

— Na miły Bóg, mówię prawdę. Ma znamię na ramieniu i bliznę na nodze, obaczcie sami!

Już nie słuchała, szybko szła do wozu, a Jasiek za nią, mówiąc:

— Wczoraj pchnął go jakiś kabokl faką, ale doktór powiedział, że za kilka dni będzie zdrów.

Przy wozie stała już Kasia i, przypatrując się bacznie Elpidiowi, mówiła:

— Jasiek powiedział nam, żeś ty mój brat... aleś ty tak urósł, taki wielki...

— No, mam swoje lata — uśmiechnął się przyjaźnie.

— Chłopcze mój! Synu kochany! — wołała ze łzami Brzozowa — chyba rozum stracę z tej radości!

I nachyliła się, ażeby go ucałować i objąć rękami.

— Ranny jest — odsunął ją Jasiek — trzeba go przenieść, doktór zakazał mu się ruszać. Przygotujcie łóżko, a my go zaniesiemy.

— Kasiu, biegaj — rozkazała córce — pościel moje łóżko. Sama go przeniosę; jakiś ty podobny do ojca, te same włosy, te same usta i oczy... Boże miłosierny, zlitowałeś się nade mną, niegodną!

Jasiek wraz z furmanem podłożyli pod rannego ręce, ażeby go podnieść z posłania na wozie, aż Elpidio przy dotknięciu rany syknął.

Posłyszała to matka i zawołała gniewnie:

— Jak wy go bierzecie!? To przecież nie kłoda drzewa. Ustąp, Jasiek!

— Zaraz, tylko go zaniosę — zaśmiał się i rzekł do Elpidia: — zarzuć mi ręce na szyję, łatwiej mi będzie.

Za niosącymi szła matka, zabiegając to z tej, to z tamtej strony, byle być bliżej odzyskanego syna.

Gdy go wnieśli, sama go bardzo ostrożnie rozebrała, włożyła czystą koszulę i kilkakrotnie

całowała jego twarz i włosy, dopytując się troskliwie:

— Czy dobrze ci tutaj? Może poduszka twarda? — a po chwili — czy bardzo cię boli? chcesz jeść? a może pić?

— Nie kłopoczcie się mną, mamo — powiedział z uśmiechem — nie nawykłem do tego; tak mi to wszystko dziwne!

— A gdzie ojciec? — spytał Jaśko Kasię.

— Prawda! Zapomniałam! — zawołała matka — biegaj, Kasiu, w pole i powiedz, niech ojciec duchem przyjdzie do Karolka.

— Pójdę i ja z tobą.

Wziął Jasiek kapelusz.

— Zostań, zjesz co, pewnoś głodny, zaraz podam — zapraszała gospodyni.

— Zjem, jak wrócę — i wyszedł z Kasią.

— Aż mi dziwno, że i brata mi przywiozłeś i sam wróciłeś — mówiła Kasia — tu wszyscy rozpowiadali, że zmarniejesz w drodze.

— Jednak wróciłem — rozśmiał się.

— No i odszukałeś stryja?

— Po to przecież poszedłem, byliśmy u niego razem z Elpidiem dobry kawał czasu.

— Z jakim Elpidiem?

— Tak nazwał twego brata ten, który go odchował.

— A któż to był taki?

— Nie znam go, został zabity, ale to roz-

powie ci sam Karol... Nie wiesz ty, co słychać u mojej macochy?

– Dobrze nie wiem, bo to przecież na pierwszym kilometrze, ale tatuś coś rozpowiadali, że chcieli cię wyzuć z ojcowizny.. Dużo też polowałeś?

— A z czegóżbym żył w drodze? Na stepie i w lasach nie było ani domów, ani wend.

— To taką pustynią szedłeś?

– I jaką jeszcze, całemi tygodniami nie widziałem ludzi, i gdyby nie Elpidio, nie miałbym do kogo słowa przemówić.

— O, tatuś idą!

I zawołała:

— Tatusiu, Karolek i Jasiek wrócili! chodźcie żywiej do domu.

I sama podbiegła do ojca.

— Jaki Karolek? — dziwił się nadchodzący.

— A nasz przecie! Wychował się u kabokla jakiegoś i Jasiek przywiózł go rannego, leży na łóżku mamy.

— Co ty pleciesz? Gadaj. Jasiek, bo nic nie rozumiem.

Jasiek w krótkości opowiedział o znalezieniu Karolka, o zranieniu jego, a Kasia niecierpliwie dodała:

— Chodźcie, tatusiu, sami obaczycie.

— Prawdziwy to cud i łaska Boska — potrząsnął głową — jeśli to prawda, całe życie będę ci wdzięczny.

Przyśpieszał kroku.

— I ma znamię na prawem ramieniu? — spytał po chwili.

— Ma.

— I bliznę na lewej nodze?

— Ma, a nawet medalik, co mu matka dali.

— No, no, aż mi wierzyć się nie chce, takie to dziwne, a niespodziewane.

— Ojcze Macieju, a co u mnie słychać na kolonji?

— Rozgłaszali, żeś zginął i chcieli sprzedać kolonję, ale nie dopuściliśmy do tego.

— Bóg wam zapłać.

— A ten szwab rządzi się tam, jak szara gęś i podobno silnie dopieka twojej macosze, że aż pomizerniała z wielkiego zmartwienia.

— Dlaczegóż go nie przepędzi?

— Alboż wiem, coś musi tam być, kiedy siedzi i nie odchodzi.

Słowa Macieja zaniepokoiły Jaśka; przyszło mu na myśl, że może Wilhelm ożenił się z macochą, kiedy tak rządzi. Umyślił też zaraz jechać do swego domu i przekonać się o prawdzie.

— Pilno mi do domu — powiedział na dziedzińcu — wieczorem wpadnę do was i dowiem się, jak jest z rannym.

— A ten muł, to czyj? — spytała Kasia.

— Brata twego No, bywajcie zdrowi!

— Zostań, zjedz po takiej długiej drodze — zapraszała Kasia.

— Nie mogę, chcę wpierw dowiedzieć się, co w domu.

— Nie uciekniesz od złego—uśmiechnął się gospodarz — chodź, posil się.

— Nie, pojadę!

Przyciągnął popręgi u kulbaki, pożegnał się i siadł na swego muła.

Zajechał przed pusty ganek; dom ojcowski wydał mu się dziwnie smutnym i opuszczonym. Stodoła groziła zawaleniem, płoty świeciły dziurami, pusty okólnik stał otworem.

W sieni spotkał się z macochą, ucałował jej rękę i spytał:

— Nie poznajecie mnie? Jam Jasiek.

— Jasiek!—zawołała uradowana—to żyjesz!?

— Jak widzicie. Co u was słychać?

— Chodź do izby, rozpowiem ci... U nas źle, bardzo źle.

— A gdzie Marysia? Franek?

— Pasą krowę, ta jedna tylko nam została - zalała się łzami — konie sprzedane za byle co, tak zmarnował je ten łotr, Wilhelm, furmanką.

— A on gdzie?—usiadł Jaśko za stołem.

— Pewno w wendzie, bo tam prawie mieszka.

I dopiero zaczęła wyrzekać i skarżyć się na Wilhelma. Często brakowało i chleba, zadłużyła się, żyta i kukurudzy zbiór był mały z powodu niedbalstwa i lenistwa Wilhelma w każ-

dej robocie, a musiała sprzedać co do ziarna i potem na zasiew kupować. Jednego konia ochwacił, drugi okulał i trzeba było sprzedać. Wilhelm nic nie robi, i wszystko się marnuje.

— Czemuż go trzymacie?

— Winna mu jestem umówione zasługi i nie mam skąd zapłacić.

— A dużo? — spytał Jasiek.

— Sto dwadzieścia milreisów, a mam w domu ledwie czterdzieści oszczędzonych na spłacenie go.

— Gdzież się podziały pieniądze za zboże?— dziwił się.

— Toż robotników musiałam najmować do każdej roboty w polu, a wiesz przecie, ile to kosztuje. I żeby Wilhelm chociaż dopilnował; ale on albo w wendzie siedział, albo w polu spał gdzie pod drzewem.

— No, tego się pozbędziemy dzisiaj jeszcze — rzekł stanowczo Jasiek.

— Dałby to Bóg, błogosławię ten dzień, żeś wrócił i nadzieja wstąpiła we mnie, że coś poradzisz.

— Toście mi nie krzywi? — uśmiechnął się.

- O, nie, tyś był dobry i pracowity. Nie zaznałam też przy tobie biedy.

W tej chwili dostrzegła przez okno Wilhelma.

— Idzie! — zawołała zastraszona.

— To i dobrze — rzekł Jaśko — zaczekamy na niego.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął Wilhelm, krzycząc:

— Dawajcie jeść... śpieszno mi! — a spostrzegłszy Jaśka — czego ten chce tutaj?

Jasiek wstał, zrobił dwa kroki w stronę Wilhelma.

— Powiem ci najpierw po dobroci, wynoś się natychmiast z mego domu, a nie usłuchasz, ty łotrze i złodzieju, to mam prawo w łeb ci strzelić.

Niemiec pobladł i cofając się do sieni, wybełkotał:

— To ty!?... Jasiek!?

— Kiedyś mnie poznał, to wynoś się

Położył rękę na pistolecie.

— Gospodyni, a moje zasługi? Oddajcie mi, to zaraz sobie pójdę.

— Ani grosza, matko! Zmarnowałeś konie, krowę, gospodarstwo! Jeśli będziesz zwlekał, dam twój dokument do sądu. Wybieraj!

— To już pójdę — mruknął i poszedł do swej izby.

— Jasiek! Jasiek! — cieszyła się macocha — życie mi wracasz. Dopiero teraz poznałam się na tobie.

TREŚĆ

Na kolonii 5
Jaguar 33
Wilhelm Kostriner 64
List 96
Niespodziewany towarzysz 107
Essetamaipu 145
Hervales 176
Wśród swoich 206
Indjanie 241
Powrót 272